3 1761 08822327 6

H. Sienkiewicz

PISMA

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk

Pisma

Henryka Sienkiewicza

TOM LXXII

PAN WOŁODYJOWSKI

CZĘŚĆ III

486128
17. 2. 49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Марта 1904 г.

PAN WOŁODYJOWSKI

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ I.

Luta zima pokryła grubą okiścią lasy i wypełniła jary po brzegi zwałami śniegu, tak, iż kraj cały zdawał się być jedną białą równiną. Przyszły nagle zawieje nocne, w czasie których giną ludzie i stada pod śnieżnym całunem, drogi stały się błędne i niebezpieczne, jednakże pan Bogusz zdążał wszystkiemi siłami do Jaworowa, aby się co prędzej z hetmanem wielkimi zamysłami Azyowymi podzielić. Szlachcic z rubieży, wychowany w ciągłej grozie kozackiej i tatarskiej, przejęty myślą o niebezpieczeństwach, jakie ojczyznie od buntów, od zagonów i od całej potęgi tureckiej groziły, widział w tych zamysłach niemal zbawienie ojczyzny, wierzył święcie, że uwielbiany przez niego, jak i przez wszystkich kresowców hetman, ani na chwilę się nie zawaha, gdy o pomnożenie potęgi Rzeczypospolitej chodzi, więc jechał z radością w sercu, mimo zawiei, błędnych dróg i nawałności.

Spadł wreszcie którejś niedzieli razem ze śniegiem do Jaworowa i zastawszy szczęśliwie hetmana, kazał mu się zaraz oznajmić, choć go przestrzegano, że hetman dzień i noc zajęty ekspedycyami i pisaniem listów, prawie że na posiłek nawet nie ma czasu.

Lecz hetman kazał go nadspodziewanie wołać zaraz. Więc po małej jeno chwili czekania między dworskimi, skłonił się stary żołnierz do kolan swemu wodzowi.

Znalazł pana Sobieskiego zmienionego bardzo i z obliczem pełnem troski, bo też to były prawie najcięższe lata jego żywota. Imię jego nie rozegrzmiało jeszcze po wszyst-

kich krańcach świata chrześcijańskiego, ale w Rzeczypospolitej otaczała go już sława wielkiego wodza i groźnego bisurmaństwa pogromcy.

Gwoli tej sławie powierzono mu w swoim czasie wielką buławę i obronę granicy wschodniej, ale do godności hetmańskiej nie dodano ni wojsk, ni pieniędzy. Zwycięstwo jednak szło mimo tego aż dotąd tak wiernie w jego ślady, jak idzie cień za człowiekiem. Z garścią wojska zbił pod Podhajcami, z garścią wojska przeszedł, jak płomień, wzdłuż i wszerz Ukrainę, ścierając w proch wielotysięczne czambuły, zdobywając buntownicze grody, szerząc postrach i grozę polskiego imienia.

Ale teraz zawisła nad nieszczęsną Rzecząpospolitą wojna z najstraszliwszą z ówczesnych potęg, bo wojna z całym światem muzułmańskim. Nie było już dla Sobieskiego tajemnicą, że gdy Doroszeńko poddał Ukrainę i Kozaków sułtanowi, ten obiecał poruszyć Turcyę, Azyę Mniejszą, Arabię, Egipt aż do wnętrza Afryki, ogłosić wojnę świętą i iść własną osobą upomnieć się u Rzeczypospolitej o nowy „paszalik“. Zagłada unosiła się, jak ptak drapieżny, nad całą Rusią, a tymczasem w Rzeczypospolitej był nieład, szlachta burzyła się w obronie swego niedołężnego elekta i zebrana w zbrojne obozy, jeśli na jaką, to na domową chyba wojnę była gotowa. Wyczerpany niedawnemi wojnami i konfederacyami wojskowemi kraj zubożał; wichrzyła w nim zawiść, wzajemna nieufność jątrzyła serca. W wojnę z potęgą muzułmańską nikt nie chciał wierzyć i posądzano wielkiego wodza, że umyślnie wieści o niej puszcza, by umysły od spraw domowych odwrócić; posądzano go okrutniej jeszcze, że sam Turków wezwać gotów, byle zwycięstwo swemu stronnictwu zapewnić; czyniono go zdrajcą po prostu i gdyby nie wojsko, nie wahanoby się go przed sąd pociągnąć.

On zaś wobec przyszłej wojny, na którą od wschodu krocie tysięcy dzikiego ludu miały pociągnąć, stał bez wojska, z garścią tylko, tak małą, że dwór sułtański więcej sług liczył; bez pieniędzy, bez środków do opatrzenia zruj-

nowanych fortec, bez nadziei zwycięstwa, bez możności obrony, bez przekonania, że śmierć jego, jak ongi śmierć Żółkiewskiego, przebudzi zdrętwiały kraj i zbudzi mściciela. To też troska osiadła na jego czole, a wspaniała twarz, podobna do twarzy tryumfatorów rzymskich, z czołem w wawrzynach, nosiła ślady tajonego bólu i nieprzespanych nocy.

Na widok jednak pana Bogusza, dobrotliwy uśmiech rozjaśnił oblicze hetmana; kłaniającemu się do kolan, położył ręce na ramionach i rzekł:

— Witaj żołnierzu, witaj! Nie spodziewałem się ujrzeć cię tak prędko, ale tem milszyś mi w Jaworowie. Skąd jedziesz? Z Kamieńca?

— Nie, jaśnie wielmożny panie hetmanie. Nawet-em nie wstępował do Kamieńca, jadę prosto z Chreptiowa.

— Co tam mój mały żołnierzyk porabia? Zdrów-li i czy uszyckie puszcze choć trocha oczyścił?

— Puszcze już tak spokojne, że małe dziecko może niemi iść bezpiecznie. Łotrzykowie wywieszani, a w ostatnich dniach Azba-bey, z całą watahą, tak zniesion, że i świadek klęski nie pozostał. Przyjechałem właśnie tego dnia, kiedy go zniesiono.

— Poznaję Wołodyjowskiego. Jeden Ruszczyc w Raszkowie może się z nim porównać. A co tam stepy gadają? Są jakie świeże wieści od Dunaju?

— Są, ale złe. W Adryanopolu ma być na ostatnie dni zimy wielki wojska kongressus.

— To już wiem. Niema teraz innych wieści, jeno złe: złe z kraju, złe z Krymu i ze Stambułu.

— Wszelako nie ze wszystkiem, jw. panie hetmanie, bo ja sam taką szczęsną przywożę, że gdybym był Turkiem, albo Tatarzynem, pewniebym się o munsztułuk upomniał.

— A toś mi z nieba spadł! Nuże! mów prędko, rozpędź frasunki!

— Kiedym tak zmarzł, wasza wielmożność, że aż mi rozum we łbie skostniał.

Hetman zaklaskał w dłonie i kazał pachołkowi przynieść miodu.

Po chwili przyniesiono omszały gąsiorek, a z nim razem i świeczniki z jarzącemi świecami, bo chociaż było jeszcze wcześnie, śnieżyste chmury uczyniły dzień tak posępny, że i na dworze i w komnatach panował, jakby zmierzch.

Hetman nalał i przepił do gościa, ów zaś, skłoniwszy się nizko, wychylił swoją szklanicę i rzekł:

— Pierwsza nowina, że ten Azya, któren tu miał rotmistrzów lipkowskich i czeremiskich nazad do służby naszej przywieść, nie nazywa się Mellechowicz, ale jest synem Tuchay-beya!

— Tuchay-beya?... — spytał ze zdziwieniem pan Sobieski.

— Tak jest, wasza wielmożność. Wykryło się, że jego pan Nienaszyniec dzieckiem jeszcze z Krymu porwał, ale go w powrocie uronił, a Azya dostał się do panów Nowowiejskich i u nich się hodował, w nieświadomości, że od takiego ojca pochodzi.

— Dziwne mi to było, że on, tak młody, miał taki mir u Tatarów, ale teraz rozumiem: przecie i Kozacy, ci nawet, którzy wierni Matce zostali, Chmielnickiego za jakowąś świętość uważają i nim się szczycą.

— A owo właśnie, a owo właśnie! To samo mówiłem Azyi! — rzekł pan Bogusz.

— Dziwne sądy Boże — odpowiedział po chwili hetman — stary Tuchay-bey rzeki krwi z ojczyzny naszej wytoczył, a młody jej służy, a przynajmniej dotąd wiernie służył, bo nie wiem, jeżeli teraz nie zechce mu się krymskiej wielkości zakosztować.

— Teraz? Teraz on jeszcze wierniejszy i tu się druga moja nowina pocznie, w której być może, że i moc i rada i ratunek dla utrapionej Rzeczypospolitej się zawiera. Tak mi dopomóż Bóg, jakem dla tej właśnie nowiny na fatygi i niebezpieczeństwa nie zważał, by jako najprędzej z gęby ją wypuścić i stroskane serce waszej dostojności pocieszyć.

— Słucham pilnie — rzekł pan Sobieski.

Bogusz począł przedstawiać zamysły Tuchay-beyowicza, a przedstawiał z takim zapałem, że istotnie stał się wymowny. Od czasu do czasu drżącą ze wzruszenia ręką nalewał sobie szklanicę miodu, przelewając szlachetny napitek przez brzegi i mówił, mówił...

Przed zdumionemi oczyma wielkiego hetmana przesuwały się jakoby jasne obrazy przyszłości: więc tysiące i dziesiątki tysięcy Tatarów ciągnęły wraz z żonami, z dziećmi i ze stadami na ziemię i wolę; więc przerażeni Kozacy, widząc tę nową siłę Rzeczypospolitej, bili kornie czołem przed nią, przed królem i przed hetmanem; więc nie było już więcej buntów na Ukrainie, więc staremi szlakami nie szły, niszczące, jak płomień lub powódź, zagony na Ruś, a natomiast, obok wojsk polskich i kozackich, buszowały po niezmiernych stepach, z graniem trąb i hukiem kotłów, czambuły ukraińskiej szlachty-Tatarów...

I przez lata całe ciągnęły arby za arbami, a na nich, wbrew rozkazom chana i sułtana, mnogi lud, który prawo i wolę nad uciemiężenie, czarnoziem ukrainny i chleb nad głodne dotychczasowe siedziby przełożył... I dawna wroga siła szła na usługi Rzeczypospolitej — Krym się wyludniał; chanowi i sułtanowi wymykała się z rąk dawna potęga i strach ich zdejmował, bo od stepów, od Ukrainy, patrzył im groźnie w oczy nowy hetman nowej tatarskiej szlachty, Rzeczypospolitej stróż i wierny obrońca, straszliwego ojca sławny syn — młody Tuchay-beyowicz.

Rumieńce wybiły na twarz Boguszową; zdawało się, że upajały go własne słowa, więc wkońcu obie ręce podniósł do góry i zakrzyknął:

— Oto, co przywożę! Oto, co owo smocze szczenię wylęgło w puszczach chreptiowskich. A teraz trzeba mu jeno pisma i pozwolenia waszej wielmożności, by puścił głos do Krymu i nad Dunaj! Wasza wielmożność! choćby Tuchay-beyowicz nic nie uczynił nad to, że wąr w Krymie i nad Dunajem uczyni, że niesnaski sprowadzi, hydrę wojny domowej rozbudzi, jedne ałusy przeciw drugim uzbroi, to i tak, w przededniu wojny,

powtarzam, wielką i nieśmiertelną Rzeczypospolitej odda przysługę!

Lecz pan Sobieski chodził wielkimi krokami po komnacie, milcząc.

Wspaniała twarz jego była mroczną, prawie groźna; chodził i widać w duszy rozmawiał — nie wiadomo, ze sobą, czy z Bogiem.

Nareszcie rozdarłeś w swej duszy jakowąś kartę wielki hetmanie, boś się do mówcy w te oto ozwał słowa:

— Bogusz, ja takiego pisma i takiego pozwolenia, choćbym je miał prawo dać, pókim żyw, nie dam!

Słowa padły tak ciężko, jakby z roztopionego ołowiu, albo żelaza były ulane i przycisnęły tak Bogusza, że aż na chwilę oniemiał, głowę pochylił i po długiej dopiero chwili wyjąkał:

— Dlaczego to, wasza wielmożność, dlaczego?...

— Naprzód odpowiem ci, jako statysta: Imię Tuchaybeyowicza mogłoby wprawdzie certum quantum Tatarów pociągnąć, gdyby się im przytem ziemię, wolę i przywileje szlacheckie obiecało. Ale nie przyszłoby ich tylu, iluście sobie uroili. A krom tego, szalony to byłby uczynek Tatarów na Ukrainę wołać, nowy naród tam osadzać, gdy i z samymi Kozakami rady sobie dać nie możemy. Mówisz, że między nimi zaraz-by powstały zwady i wojny, że byłby gotowy miecz na szyję kozacką, a kto ci uręczy, czyby się ów miecz i w polskiej krwi nie ubroczył? Ja tego Azyi dotąd nie znałem, teraz zaś widzę, że w jego piersi mieszka smok pychy i ambicyi, więc powtórnie pytam: kto ci uręczy, że w nim drugi Chmielnicki nie siedzi? Będzie on bił Kozaków, lecz gdy Rzeczpospolita w czemkolwiek go nie ukontentuje, lub za jakowyś gwałtowny uczynek prawem i karą mu zagrozi, to się właśnie wówczas z Kozaki połączy, nowe mrowia ze Wschodu tak powoła, jak Chmielnicki Tuchay-beya wołał; samemu sułtanowi się podda, jako Doroszeńko się poddał i zamiast pomnożenia naszej potęgi, nowy krwi przelew nastąpi, nowe klęski na nas spadną.

— Wasza wielmożność! Tatarzy, szlachtą zostawszy, wiernie się Rzeczypospolitej trzymać będą.

— Lipków i Czeremisów mało było? Od dawna szlachtą byli i dlatego na sułtańską stronę przeszli.

— Lipkom nie dotrzymano przywilejów.

— A co będzie, jeśli szlachta, jak to jest rzecz pewna, z góry się takiemu rozszerzeniu prerogatyw szlacheckich sprzeciwi? Jakiem czołem, jakiem sumieniem, chcesz dzikim i drapieżnym tłumom, które dotąd ustawicznie tę ojczyznę naszą niszczyły, dawać moc i prawo, by o losie jej teraz stanowiły, królów obierały, deputatów słały na sejmy? Za co im dawać taką nagrodę? Co za szaleństwo przyszło temu Lipkowi do głowy i jaki zły duch ciebie, stary żołnierzu, opętał, żeś się dał tak pobałamucić i uwieść, żeś w taką niepoczciwość i w takie niepodobieństwo uwierzył.

Bogusz spuścił oczy i odrzekł niepewnym głosem:

— Wasza wielmożność! Wiedziałem ja o tem z góry, że stany się sprzeciwią, ale owóż Azya powiada, że gdy Tatarzy raz, za pozwoleniem waszej wielmożności, osiądą, tedy się rugować nie dadzą.

— Człeku! Więc on już groził, już mieczem nad Rzecząpospolitą potrząsał, a tyś się na tem nie poznał?

— Wasza wielmożność! — odrzekł z desperacyą Bogusz — możnaby wreszcie wszystkich Tatarów szlachtą nie czynić, chyba znaczniejszych, a zresztą wolnymi ludźmi ogłosić. I tak oni na wezwanie Tuchay-beyowicza przyciągną.

— To czemu lepiej Kozaków wszystkich wolnymi ludźmi nie ogłosić? Przeżegnaj się, stary żołnierzu, bo mówię ci, iż cię zły duch opętał.

— Wasza wielmożność...

— I to ci jeszcze powiem — (tu pan Sobieski zmarszczył swoje lwie czoło i oczy mu zabłysły) — że choćby wszystko miało być tak, jak mówisz, choćby potęga nasza miała przez to urosnąć, choćby wojna z Turczynem została przez to odwrócona, choćby szlachta sama o to wołała, jeszcze, póki

ta oto ręka szablą władnie i znak krzyża uczynić może, przenigdy! tak mi dopomóż Bóg! tego nie dopuszczę!

— Dlaczego, wasza wielmożność? — powtórzył, łamiąc ręce, pan Bogusz.

— Bom ja jest hetman nie tylko polski, ale i chrześcijański; bo na straży krzyża stoję! A choćby też Kozacy okrutniej jeszcze wnętrzności Rzeczypospolitej szarpali, ja karków zaślepionego, ale chrześcijańskiego ludu, pogańskim mieczem nie będę ścinał. Bo czyniąc to, ojcom i dziadom naszym, dziadom moim własnym, popiołom ich, krwi, łzom, całej dawnej Rzeczypospolitej, powiedziałbym: „rakka!“ Na Boga! jeśli nas zguba czeka, jeśli imię nasze ma być imieniem zmarłych nieżyjących, to niechże sława po nas zostanie i wspominek onej służby, którą nam Bóg wyznaczył; niechże potomni, patrząc na one krzyże i mogiły, powiedzą: „Tu chrześcijaństwa, tu krzyża przeciw mahometańskiej sprosności, póki tchu w piersi, póki krwie w żyłach, bronili i za inne narody polegli“. To służba nasza, Bogusz! Otośmy forteca, w której Chrystus mękę swoją zatknął na murze, a ty mnie prawisz, abym ja, żołnierz Boży, ba, komendant, pierwszy bramę otwierał poganom, jako wilków do owczarni puszczał i Jezusowe owieczki na rzeź wydawał? Wolej nam od czambułów cierpieć, wolej nam bunty znosić, wolej nam na ową straszną wojnę pociągnąć, wolej poledz mnie i tobie, wolej całej Rzeczypospolitej zginąć, niźli imię pohańbić, sławy zbyć i owo stróżowanie, ową służbę Bożą, zdradzić!

To rzekłszy, wyprostował się pan Sobieski w całej swej wielkości i na twarzy miał zorzę taką, jaką musiał mieć Godfryd de Bouillon, gdy na mury Jerozolimy z okrzykiem: „Bóg tak chce!“ wpadał; a pan Bogusz wydał się sam sobie, wobec tych słów, prochem i Azya wydał mu się wobec pana Sobieskiego prochem, a płomienne młodego Tatara zamysły zczerniały i stały się nagle w Boguszowych oczach czemś nieuczciwem i zgoła bezecnem.

Cóż-bo mógł rzec po oświadczeniu hetmańskiem, że lepiej poledz, niźli służbę Bożą zdradzić? Jaki jeszcze przytoczyć

argument? Więc sam nie wiedział biedny rycerz, czy do kolan hetmańskich przypaść, czy w piersi się bić, powtarzając: „Mea culpa, mea maxima culpa!“

A wtem w poblizkiej dominikańskiej kolegiacie rozległ się odgłos dzwonów.

Dosłyszawszy go pan Sobieski, rzekł:

— Dzwonią na nieszpór! Bogusz, pójdźmy się Bogu polecić.

ROZDZIAŁ II.

O ile pan Bogusz spieszył się, jadąc z Chreptiowa do hetmana, o tyle jechał zwolna z powrotem. W każdem większem mieście popasał tydzień lub dwa, święta spędził we Lwowie i tam go zastał Nowy rok.

Wiózł on wprawdzie instrukcye hetmańskie dla Tuchaybeyowicza, ale że zawierały one tylko polecenia prędkiego kończenia sprawy z lipkowskimi rotmistrzami i suchy, a nawet groźny rozkaz poniechania wielkich zamysłów, nie miał więc powodu z niemi się kwapić, bo i tak Azya nie mógł nic poczynać między Tatarami, nie posiadając hetmańskiego dokumentu.

Wlókł się więc pan Bogusz, nawiedzając często po drodze kościoły i pokutę czyniąc za swoje do Azyowych zamysłów przystąpienie. A tymczasem Chreptiów, zaraz po Nowym Roku, zaroił się od gości. Przyjechał z Kamieńca Nawiragh, delegat patryarchy uzmiadzińskiego, z nim dwóch Anardratów, biegłych teologów z Kaffy i służba liczna. Dziwili się wielce żołnierze ich strojom cudacznym, fioletowym i czerwonym krymkom, długim szalom z aksamitu i atłasu, czarniawym obliczom i powadze wielkiej, z którą chodzili, jako dropie, albo żórawie, po chreptiowskiej stannicy. Przybył pan Zacharyasz Piotrowicz, słynny ze swoich ustawicznych do Krymu, ba! do samego Carogrodu, podróży, a słynniejszy jeszcze z gorliwości, z jaką odszukiwał i wykupywał jeńców na rynkach wschodnich; ten

towarzyszył, jako przewodnik, Nawiraghowi i Anardratom. Pan Wołodyjowski wyliczył mu zaraz kwotę, potrzebną na pana Boskiego wykupienie; że zaś wdowa nie miała dość pieniędzy, więc ze swego dołożył, a Basia swoje zauszniczki z perłami przydała, aby strapionej wdowie i miłej Zosi tem skuteczniej dopomódz. Przyjechał także pan Seferowicz, pretor kamieniecki, bogaty Ormianin, którego brat jęczał w tatarskich łykach i dwie niewiasty, młode jeszcze i urody dość niepośledniej, choć czarniawe: Neresowiczowa i Kieremowiczowa. Obydwom o zabranych małżonków chodziło.

Byli to wszystko goście po większej części strapieni, ale i wesołych nie brakło, bo ksiądz Kamiński przysłał na Zapusty do Chreptiowa, pod Basiną opiekę, swoją synowicę, pannę Kamińską, łowczego zwinigrodzkiego córkę, a oprócz tego, pewnego dnia spadł, jak piorun, młody pan Nowowiejski, który, dowiedziawszy się o pobycie ojca w Chreptiowie, natychmiast wziął od pana Ruszczyca permisyę i na spotkanie pospieszył.

Młody pan Nowowiejski zmienił się wielce przez ostatnich lat kilka, bo naprzód wierzchnia jego warga już zacieniła się mocno wąsem krótkim, białych, wilczych zębów nie przysłaniającym, ale pięknym i kręconym. Powtóre, zawsze chłop był duży, ale teraz rozrósł się prawie w olbrzyma. Zdawało się, że tak gęsta i zwichrzona czupryna tylko na tak ogromnej głowie rosnąć może, a tak ogromna głowa tylko w tak bajecznych barkach należytą znajduje podporę. Twarz miał zawsze czarną, wichrami opaloną, oczy jarzące, jak węgle; zawadyactwo, jakby wypisane na twarzy. Gdy chwycił spore jabłko, ukrywał je tak łatwo w swojej potężnej dłoni, że mógł się w „zgaduj zgadula“ bawić, a gdy garść orzechów położył sobie na udzie i ręką przycisnął, to potem tabakę wydobywał.

Wszystko poszło w nim w siłę, bo zresztą chudy był i brzuch miał wpadnięty, jeno piersi nad nim, jak kaplicę. Podkowy łamał z łatwością, nie bardzo się natężając; toż pręty żelazne żołnierzom na szyi zawiązywał, a wydawał

się jeszcze większy, niż był w istocie; gdy stąpił, trzeszczały pod nim deski, a gdy przypadkiem o ławę zawadził, to szczapę z ławy odłupywał.

Słowem, był to chłop setny, w którym życie, zdrowie, odwaga i siła kipiały, jak kipi war w saganie, nie mogąc się w tak nawet ogromnem ciele pomieścić. Zdawało się, że płomień ma w piersi i w głowie i mimowoli patrzyłeś, czy mu się już z czupryny nie dymi. Jakoż dymiło się często, bo i do wypitki był dobry. Do bitwy szedł ze śmiechem, przypominającym rżenie końskie i walił tak, że żołnierze po każdem spotkaniu wszystkie trupy jego oglądali, aby nadzwyczajne cięcia podziwiać.

Zresztą od dziecka do stepu, stróżowania i wojny nawykły, mimo całej zapalczywości, czujny był i przezorny: znał wszystkie tatarskie fortele, a po panu Wołodyjowskim i Ruszczycu uchodził za najlepszego zagończyka.

Stary Nowowiejski, wbrew pogróżkom i zapowiedziom, nie przyjął syna zbyt surowo, bo bał się, że ów, zrażony, znów sobie pójdzie i nie pokaże się przez drugich lat jedenaście.

A w gruncie rzeczy szlachcic samolub kontent był z tego syna, który pieniędzy z domu nie brał, sam dawał sobie doskonale radę na świecie, pozyskał sławę między towarzyszami, łaskę hetmańską i szarżę oficerską, której niejeden, mimo protekcyi, nie mógł się dochrapać. Wyrachował też sobie ojciec, że zdziczały w stepach i w wojnie młodzian, może nie ugiąć się przed powagą ojcowską, a w takim razie lepiej jej na próbę nie wystawiać.

Syn, lubo padł mu do nóg, jak przystało, przecie w oczy śmiele patrzył i bez ogródki na pierwsze przygany odrzekł:

— Ojciec przyganę masz w gębie, w sercu radeś ze mnie i słusznie, bom zakały nie przyniósł, a żem do chorągwi uciekł, potom szlachcic.

— Ale może bisurmanin — odrzekł stary — skoroś przez jedenaście lat w domu się nie pokazał?

— Nie pokazałem się z bojaźni kary, któraby mojej oficerskiej szarży i powadze była przeciwną. Czekałem listu z darowaniem win. Nie było listu, nie było i mnie.

— A teraz to się nie boisz?

Młody pokazał swe białe zęby w uśmiechu;

— Tu wojskowa władza rządzi, przed którą, choćby i rodzicielska, ustąpić musi. Wiecie co dobrodzieju, ot lepiej uściskajcie mnie, bo duszną do tego macie ochotę!

To rzekłszy, ramiona otworzył, a pan Nowowiejski, ojciec, sam nie wiedział, co ma czynić. Jakoż nie mógł się połapać z tym synem, który pacholęciem z domu wyszedł, a teraz wracał dojrzałym mężem i oficerem, otoczonym sławą bojową. I to i owo pochlebiało wielce ojcowskiej dumie pana Nowowiejskiego, więc istotnie radby był go przycisnąć do piersi, tylko się jeszcze ze względu na powagę wahał.

Lecz ów go porwał. Zatrzeszczały w tym niedźwiedzim uścisku kości szlachcica i to rozczuliło go do reszty.

— Co robić! — zawołał, sapiąc — czuje szelma, że na swoim własnym koniu siedzi i ani dba! Proszę! Żeby to było w domu u mnie, pewniebym tak nie zmiękł, ale tu, co robić? A pójdźno jeszcze!

I uściskali się po raz drugi, zaczem młody jął spiesznie wypytywać o siostrę.

— Przykazałem jej na uboczu się trzymać, póki nie zawołam — odrzekł ojciec — dziewka tam ledwie ze skóry nie wyskoczy.

— Dla Boga! gdzie ona jest? — zakrzyknął syn.

I otworzywszy drzwi, począł wołać tak gromko, aż echo odpowiadało mu ze ścian:

— Ewka! Ewka!

Ewka, która czekała w przyległej izbie, wpadła natychmiast, lecz zaledwie zdołała zakrzyknąć: „Adam!“ — już potężne ramiona porwały ją i podniosły od ziemi. Brat kochał ją zawsze bardzo; częstokroć, za dawnych jeszcze czasów, chroniąc ją od tyranii ojca, nieraz brał na się jej winy i należną jej chłostę.

Wogóle pan Nowowiejski był w domu despotą, prawie okrutnym, więc teraz dziewka witała w tym potężnym bracie nie tylko brata, ale i przyszłą swoją ucieczkę i ochronę. On zaś całował ją po głowie, po oczach i po rękach, chwilami zaś odsuwał ją od siebie, patrzył w twarz i wykrzykiwał ochoczo:

— Harna dziewka! jak mi Bóg miły!

Poczem znów:

— Oto wyrosła! Piec, nie dziewka!

Jej zaś oczy śmiały się do niego. Poczęli następnie rozmawiać bardzo prędko o długiej rozłące, o domu i o wojnach. Stary pan Nowowiejski chodził koło nich i pomrukiwał. Syn imponował mu wielce, ale chwilami chwytał go jakby niepokój o przyszłe panowanie. Były to już czasy wielkiej władzy rodzicielskiej, która w przyszłości urosła aż do bezgranicznej przewagi, lecz ten syn był to zagończyk, żołnierz z dzikich stannic, który, jak to pan Nowowiejski od razu zrozumiał, na swoim własnym koniu jeździł. Pan Nowowiejski zazdrosny był o swe panowanie. Miał przecie pewność, że syn uszanuje go zawsze, odda mu, co powinien, ale czy się będzie giął, jak wosk, czy zniesie wszystko, jak znosił, gdy był wyrostkiem?

— Ba — myślał stary szlachcic — czy ja sam odważę się traktować go, jak wyrostka? Jucha, porucznik, imponuje mi, jak Pana Boga kocham!

Na dobitkę czuł przytem pan Nowowiejski, że mu afekt ojcowski z każdą minutą rośnie i że będzie miał słabość do tego olbrzymiego synala.

Tymczasem Ewka szczebiotała, jak ptak, zarzucając brata pytaniami: a kiedy wróci, a czy się nie osiedli, a czy się nie ożeni? Ona bo wprawdzie nie wie dobrze i nie jest pewna, ale, jak tatkę kocha, tak słyszała, że żołnierze bywają kochliwi. Ba, nawet przypomina sobie, że to jej pani Wołodyjowska mówiła. Jaka ona śliczna i dobra ta pani Wołodyjowska! Gładszej i lepszej ze świecą w całej Polsce nie znaleźć! Chyba jedna Zosia Boska może się z nią porównać.

— Co za Zosia Boska? — pytał Adam.

— Ta, która tu z matką bawi, co to jej orda ojca ogarnęła. Obaczysz ją sam i polubisz!

— Dawajcie Zosię Boską! — począł wołać młody oficer.

Ojciec i Ewka śmieli się z takiej gotowości, syn zaś rzekł im:

— Jakże! kochanie, jak i śmierć, nikogo nie minie. Gołowąsem jeszcze byłem, a pani Wołodyjowska panną, gdym się w niej okrutnie rozkochał. Ej, miły Boże! jakżem ja tę Baśkę kochał! Ale cóż! powiadam jej to kiedyś, a tu, jakby mi kto w pysk dał: Zasię kocie od mleka! Pokazało się, że ona już pana Wołodyjowskiego miłowała — i — co tu gadać, miała słuszność!

— Czemu to? — spytał stary pan Nowowiejski.

— Czemu? Oto dlatego, że jabym, nie chwaląc się, każdemu na szable wytrzymał, a on jeden i dwóch pacierzyby się ze mną nie zabawił. A przytem zagończyk to jest incomparabilis, przed którym sam pan Ruszczyc czapkę zdejmuje. Co pan Ruszczyc! Tatarowie nawet się w nim kochają. Największy to żołnierz w Rzeczypospolitej!

— A jak oni się z żoną kochają! Aj! aj! aż oczy bolą patrzyć! — wtrąciła Ewka.

— Oskoma cię bierze! Ha! oskoma cię bierze! bo ci też już i czas! — zawołał Adam.

I wziąwszy się w boki, począł nad siostrą rzucać głową, jak koń i śmiać się, ona zaś rzekła skromnie:

— Mnie tam to nie w myśli.

— A tu przecie oficerów i towarzystwa grzecznego nie brak!

— Ale! — rzekła Ewa — nie wiem, czy ci ojciec wspominał, że Azya jest?

— Azya Mellechowicz, Lipek? Znam go, to dobry żołnierz!

— Nie wiesz jeno — rzekł stary pan Nowowiejski — że on nie Mellechowicz, tylko ów nasz Azya, który się z tobą chował.

— Dla Boga! co słyszę! Patrzcie się! Mnie to czasem po głowie chodziło, ale powiedzieli mi, że ten się zwie Mellechowicz, więc myślę sobie: no, to nie tamten, a że Azya, to u nich imię powszechne. Tyle lat go nie widziałem, nie dziw, żem nie był pewien! Nasz był dość szpetny i przysadzisty, a ów jest gładysz!

— Nasz to, nasz! — rzekł stary Nowowiejski — a raczej nie nasz już, bo wiesz, co się pokazało? czyj to syn?

— Skąd mam wiedzieć?

— Wielkiego Tuchay-beya!

Młody uderzył się potężnie dłońmi po kolanach, aż się rozległo.

— Uszom nie wierzę! Wielkiego Tuchay-beya? A to on kniaź i chanom pokrewny! Niemasz przedniejszej krwi w Krymie nad Tuchay-beyową!

— Wraża to krew!

— Wraża była w ojcu, ale syn nam służy! Sam go mało dwadzieścia razy w potrzebach widziałem! Ha! Teraz rozumiem, skąd w nim ta dyabelska odwaga się bierze! Pan Sobieski-że jego wobec całego wojska wysławiał i setnikiem go mianował. Rad z duszy go powitam! Tęgi żołnierz! Z całego serca go powitam!

— Jeno się z nim nie spoufalaj zbytecznie!

— A to czemu? Czy on mój sługa, albo nasz? Ja żołnierz, on żołnierz, ja oficer, on oficer. Ba! żeby to jaki łyk od piechoty, co trzciną regiment sprawuje, nie mówię; ale jeśli on Tuchay-beyowicz, to przecie nie ladajaka krew w nim płynie. Kniaź i kwita, a o szlachectwie sam hetman dla niego pomyśli. Jakże mnie nad nim nosa zadzierać, gdy ja z Kułak-murzą pobratym, z Bakczy-agą pobratym, z Sukymanem pobratym, a ci wszyscy nie wstydziliby się owiec u Tuchay-beyowicza pasać!

Ewka uczuła nagle ochotę ucałowania na nowo brata, poczem siadłszy tak blizko, poczęła go gładzić piękną ręką po wichrowatej czuprynie.

Wejście pana Wołodyjowskiego przerwało te pieszczoty.

Młody Nowowiejski zerwał się na równe nogi witać

starszego oficera i zaraz tłómaczyć się począł, dlaczego najpierw komendantowi powinnych służb nie złożył: mianowicie, że właśnie nie po służbie, ale jako prywatny przyjechał.

Wołodyjowski uściskał go łaskawie i odrzekł:

— A ktoby ci miał za złe, miły towarzyszu, żeś po tylu leciech rozłąki najpierw do kolan rodzicielskich przypadł! Co innego, gdyby o służbę chodziło, ale pewnie polecenia żadnego od Ruszczyca nie masz?

— Jeno ukłony. Pan Ruszczyc też hen ku Jahorlikowi ruszył, bo mu dali znać, że na śniegu siła śladów końskich. Pisanie waszej mości mój komendant odebrał i zaraz do ordy posłał, do swoich rodzonych i pobratymców, żeby tam szukali i pytali, ale sam nie odpisuje, bo powiada, że ma rękę za ciężką i eksperyencyi w tej sztuce żadnej.

— Nie lubi on tego, wiem — rzekł Wołodyjowski. — Szabla u niego zawsze grunt!

Tu ruszył wąsikami i nie bez pewnej dodał chełpliwości:

— A przecie za Azbą-beyem ganialiście się ze dwa miesiące na próżno.

— Ale wasza mość go połknął, jak szczuka klenia — zawołał z zapałem pan Nowowiejski. — No! Bóg mu chyba rozum pomieszał, że on, panu Ruszczycowi się wymknąwszy, pod waszą mość poszedł. To trafił, ha!

Mile połechtały małego rycerza te słowa i chcąc polityką za politykę odpłacić, zwrócił się do pana Nowowiejskiego i rzekł:

— Mnie Pan Jezus nie dał dotąd syna, ale gdyby kiedykolwiek użyczył, tobym chciał, żeby był do tego oto kawalera podobny!

— Nic tam takiego! Nic tam takiego! — odparł stary szlachcic. — Nequam i kwita.

I pomimo tych słów, aż sapać począł z zadowolenia.

— Wielki mi znów rarytet!...

Tymczasem mały rycerz jął gładzić po twarzy Ewkę i rzekł do niej:

— Widzi waćpanna, ja nie jestem żaden młodzik, ale Baśka moja nieledwie w waćpanny leciech, dlatego poczuwam się w tem, aby zaś miała czasem jakowąś uciechę grzeczną, a młodemu wiekowi przystojną... Prawda, że ją tu wszyscy nad podziw miłują, ale spodziewam się, że i waćpanna przyznasz, iż jest za co?

— Boże kochany! — zawołała Ewka — niema na świecie takiej drugiej! Dopiero co tom powiedziała!

Mały rycerz uradował się niezmiernie, aż mu twarz pojaśniała i odrzekł:

— Powiedziała-żeś to istotnie waćpanna? Aha! co?

— Jako żywo powiedziała! — zawołali razem ojciec i syn.

— No, to przystrój-że się waćpanna jako najozdobniej, bom w tajemnicy przed Baśką kapelę dziś z Kamieńca sprowadził. Kazałem im instrumenta w słomę pochować, a jej powiedziałem, że to cygany do koni kucia przyjechali. Dziś wieczór tańce okrutne wyprawuję. Lubi to ona, lubi, chociaż poważną matronę rada udaje.

To rzekłszy, pan Michał począł zacierać ręce i bardzo był z siebie zadowolony.

ROZDZIAŁ III.

Śnieg sypał tak gęsty, że wypełnił całkiem rów stanniczy i wałem osiadł na częstokole. Na dworze była noc i zawieja, a główna izba chreptiowskiej fortalicyi gorzała od świateł. Było dwóch skrzypków, trzeci basetlista, dwóch czekanistów i jeden z waltornią. Skrzypkowie cięli od ucha, aż chwilami ich zawracało, owym zaś grającym na czekanach i waltorni nabrzmiewały policzki i oczy krwią zachodziły. Najstarsi z oficerów i towarzystwa poobsiadali ławy pod ścianami, jeden przy drugim, jako siwe gołębie obsiadają zręby dachu i popijając miód a wino, spoglądali na tańczących.

W pierwszą parę szedł pan Muszalski, mimo podeszłych lat, tancerz tak zawołany, jak i łucznik, z Basią. Ona, przybrana w suknię ze srebrnej lamy, obszytą gronostajowym szlakiem, wyglądała tak, jakoby kto świeżą różę w świeży śnieg zatknął. Dziwili się jej urodzie starzy i młodzi, a okrzyk: „rety!“ wyrywał się mimowoli z wielu piersi, bo chociaż Nowowiejska i Boska były od niej nieco młodsze i nad zwykłą miarę urodziwe, przecie ona była między niemi najpiękniejsza. W oczkach paliła jej się radość i ochota; przesuwając się obok małego rycerza, dziękowała mu za uciechę uśmiechem, a przez rozchylone różowe usta błyskały białe ząbki i lśniąc się cała w swej srebrnej lamie, migając, jak promień lub gwiazdka, olśniewała zarazem oczy i serca urodą dziecka, niewiasty i kwiatu.

Goniły za nią rozcięte rękawy, podobne do skrzydeł dużego motyla, a gdy, podnosząc rękoma poły jubki, czyniła dyg przed tancerzem, to myślałeś, że w ziemię spływa, jako zjawisko jakieś, lub jak owe poniki, w letnie, jasne noce nad brzegami jarów skaczące.

Zewnątrz pocztowi przyciskali do szyb oświeconych srogie, wąsate twarze i płaszcząc sobie o nie nosy, zaglądali do środka. Wielce to pochlebiało im, że uwielbiana pani gasi wszystkie inne urodą, bo wszyscy trzymali zapamiętale za Basią, więc nie szczędząc przytyków ni Nowowiejskiej, ni Boskiej, gromkim krzykiem witali każde jej zbliżenie się do okna.

Wołodyjowski rósł, jak na drożdżach i głową w takt Basinym ruchom kiwał; pan Zagłoba, stojąc z kuflem obok niego, przytupywał i ronił płyn na podłogę, a chwilami zwracali się z małym rycerzem ku sobie i patrzyli na się, milcząc z nadzwyczajnego zachwytu i sapiąc.

A Baśka migała i migała po całej izbie, coraz weselsza, coraz wdzięczniejsza. To jej dopiero była pustynia! Raz bitwa, to znów łowy, to uciecha i tańce i kapela i żołnierzy moc — i mąż największy między nimi, a kochający i kochany; czuła Basia, że ją wszyscy lubią, że ją podziwiają, wielbią, że mały rycerz coraz przez to szczęśliwszy,

więc i sama czuła się tak szczęśliwa, jak ptaki, gdy za nadejściem wiosny bujają w majowem powietrzu, krzycząc mocno a radośnie.

W drugą parę za Basią tańczyła, przybrana w karmazynowy kubraczek, Nowowiejska z Azyą. Młody Tatar nic do niej nie mówił, upojony zupełnie białem zjawiskiem, błyszczącem w pierwszej parze, lecz ona myślała, że to wzruszenie tak tamuje mu głos w piersiach i lekkiemi z początku, a potem coraz mocniejszemi uściśnieniami dłoni starała się dodać mu odwagi.

Azya też czasem oddawał jej uściski tak silne, że ledwie okrzyk bólu mogła stłumić, lecz czynił to mimowoli, bo o niczem nie myślał, tylko o Basi, niczego nie widział poza Basią, a w duszy powtarzał straszną obietnicę, że choćby mu przyszło pół Rusi spalić, to ona musi być jego.

Chwilami zaś, gdy wracało mu nieco przytomności, miał ochotę porwać Ewkę za gardło i dusić i pastwić się nad nią, za jej uściśnienia dłoni i za to, że stawała między jego miłością i Basią. Wówczas przeszywał biedną pannę swym sokolim, okrutnym wzrokiem, a jej serce poczynało bić mocniej, bo myślała, że on z miłości patrzy na nią tak drapieżnie.

W trzecią zaś parę tańcował młody pan Nowowiejski z Zosią Boską. Ta, podobna do niezapominajki, dreptała ze spuszczonemi oczyma obok niego, a on wyglądał, jak rozhukany tabuńczyk i skakał, jak rozhukany tabuńczyk. Z pod okutych pięt jego leciały drzazgi, czupryna wichrem podniosła się do góry, lice ubarwiło się rumieńcami, rozdął szerokie chrapy, jak turecki bachmat i zakręcał Zosią, jak wicher liściem i unosił ją w powietrze. Rozochociła się w nim dusza bez miary, a że siedząc na krańcu Dzikich Pól, po całych miesiącach niewiast nie widywał, więc mu Zośka tak od razu przypadła do serca, że w jednej chwili na umór się w niej rozkochał.

Od czasu do czasu spoglądał na jej spuszczone oczki, to na rumiane policzki i aż parskał na ów luby widok i tem mocniej skry podkówkami krzesał i tem mocniej na

zwrotach przygarniał ją do swej szerokiej piersi i śmiechem ogromnym, z nadmiaru ochoty, wybuchał i kipiał i coraz mocniej kochał.

Zosia aż zlękła się w lubem serduszku, jeno że nie był to przykry strach, bo spodobał się jej także ten wicher, który ją oto porwał i nosił. Czysty smok! Widywała ona różnych kawalerów w Jaworowie, ale tak ognistego nie widziała dotychczas i żaden tak nie tańcował i żaden tak nie przygarniał. Naprawdę, czysty smok!... Co z takim robić, kiedy niepodobna mu się oprzeć...

W następnej parze tańcowała z grzecznym towarzyszem panna Kamińska, a dalej Kieremowiczowa i Neresewiczowa, które, choć mieszczanki, zaproszono jednak do kompanii, bo obie były niewiasty dość dwornych manier i wielce zamożne.

Poważny Nawiragh i dwaj Anardraci patrzyli ze wzrastającem zdziwieniem na polskie pląsy; starzy przy miodzie czynili gwar coraz mocniejszy, podobny do gwaru, jaki czynią koniki polne na ściernisku. Kapela jednak głuszyła wszystkie głosy — w środku zaś izby ochota w sercach rosła i rosła.

Wtem Baśka opuściła swego tancerza i przybiegłszy zdyszana do męża, złożyła przed nim ręce:

— Michałku! — rzekła — żołnierzom tak zimno za oknami, każ im dać beczkę!

Ów zaś rozweselony nadzwyczajnie, począł ją całować po piąstkach i zakrzyknął:

— Jabym i krwi nie żałował, byle cię ucieszyć!

Poczem sam skoczył na dwór, by powiedzieć żołnierzom, za czyją instancyą będą mieć beczkę, bo chciał, żeby Basi byli wdzięczni i tem bardziej ją kochali.

Więc gdy w odpowiedzi uczynili krzyk tak okrutny, że aż śnieg począł się sypać z dachu, mały rycerz zawołał jeszcze:

— A huknąć tam z muszkietów! pani na wiwat!

Wróciwszy do izby, zastał Basię tańczącą z Azyą Lipkowi, gdy objął ramionami tę słodką postać, gdy uczuł

bijące ciepło od niej i tchnienie jej na swojej twarzy, źrenice uciekły prawie całkiem pod czaszkę i świat cały zakręcił mu się w oczach; w duszy wyrzekał się raju, wieczności i za wszystkie rozkosze, za wszystkie hurysy, chciał tej jednej.

Wtem Basia, ujrzawszy w przelocie karmazynowy kubrak Nowowiejskiej i zaciekawiona, czy Azya nie wyznał już miłości dziewczynie, spytała:

— Nie deklarowałeś waćpan?

— Nie!

— Czemu?

— Jeszcze nie czas! — odrzekł z dziwnym wyrazem twarzy Tatar.

— A bardzo się waść kochasz?

— Na śmierć, na śmierć! — zawołał Tuchay-beyowicz cichym, ale chrapliwym, podobnym do krakania kruka głosem.

I tańczyli dalej, zaraz za Nowowiejskim, któren wysunął się w pierwszą parę. Inni pozmieniali już tanecznice, lecz on dotąd Zosi nie puścił, chwilami tylko sadzał ją na ławie, by wypocząć i oddech złapać mogła, a potem znów hulał.

Nakoniec stanął przed kapelą i objąwszy jedną ręką Zosię, drugą wsparłszy się w bok, krzyknął na muzykantów:

— Krakowskiego, grajki! Nuże!

Ci zaś, baczni na komendę, od razu ucięli krakowskiego. Wówczas pan Nowowiejski przytupywać począł i zaśpiewał ogromnym głosem:

Płyną jasne zdroje,
Potem w Dniestrze giną,
Tak w tobie dziewczyno
Ginie serce moje!
U—ha!

I owo: „U—ha!“ wrzasnął tak po kozacku, że aż Zosieńka przysiadła ze strachu.

Uląkł się także, stojący w pobliżu, poważny Nawiragh, zlękli się dwaj uczeni Anardraci, a pan Nowowiejski powiódł taniec dalej, dwakroć zatoczył wokół izby i stanąwszy przed muzyką, znów tak o sercu zaśpiewał:

Ginie, lecz nie zginie,
Na przekór Dniestrowi,
I jeszcze w głębinie
Pierścionek wyłowi!
U—ha!

— Bardzo grzeczne rytmy! — zawołał pan Zagłoba. — Jać się znam na tem, bom też ich niemało ułożył! Doławiaj, kawalerze, doławiaj! A jak się pierścienia dołowisz, to ja ci wówczas zaśpiewam w takim sensie:

Każda dziewka hubka,
Każdy chłop krzesiwo,
Będzie iskier kupka,
Jeno krzeszcie żywo,
U—ha!

— Vivat! vivat pan Zagłoba! — krzyknęli tak ogromnym głosem oficerowie i towarzysze, że aż zląkł się poważny Nawiragh, zlękli się dwaj uczeni Anardraci i z nadzwyczajnem zdumieniem poczęli na się spoglądać.

A pan Nowowiejski zatoczył jeszcze dwa koła i posadził wreszcie na ławie, zarówno zdyszaną, jak i przestraszoną śmiałością kawalera, Zosię. Miły on jej był bardzo, taki dzielny i szczery, istny płomień, ale właśnie dlatego, że takich nie spotykała dotąd, ogarnęło ją wielkie zmieszanie, więc spuściwszy jeszcze niżej oczki, siedziała cichutko, jak trusia.

— Czego waćpanna milczysz? czegoś smutna, co? — spytał pan Nowowiejski.

— Bo tatuś w niewoli! — odpowiedziała cienkim głosikiem Zosia.

— Nic to! — rzekł junak — godzi się potańcować! Spojrz waćpanna po tej izbie: jest tu nas kilkadziesiąt

kawalerstwa i bodaj żaden swoją śmiercią nie umrze, jeno od strzał pogańskich, albo w łykach. Temu dziś, temu jutro! Każden też tu na tych kresach kogoś ze swoich utracił, a dlatego się weselim, aby Pan Bóg nie mniemał, że się na służbę skarżym! Ot, co! Godzi się potańcować! Uśmiechnij się waćpanna, pokaż oczki, bo pomyślę, że mnie nienawidzisz!

Zosia nie podniosła wprawdzie oczek, ale za to poczęły się podnosić kąciki jej ust i dwa dołeczki ukazały się na jej rumianych policzkach.

— Lubisz-że mnie waćpanna choć trocha? — spytał znów kawaler.

A Zosia na to, jeszcze cichszym głosikiem:

— I... owszem...

Usłyszawszy to pan Nowowiejski, podskoczył na ławie, a porwawszy ręce Zosi, począł okrywać je pocałunkami i mówić:

— Przepadło! niema co! Rozkochałem się w waćpannie na śmierć! Nie chcę nikogo, jeno waćpanny! Moje śliczności najmilsze! Rety! jak ja waćpannę kocham! Jutro matce padnę do nóg! Co jutro! dziś padnę, bylem miał pewność, żeś mi przyjacielem!

Huk straszliwy wystrzałów za oknem zgłuszył odpowiedź Zosi.

To uradowani żołnierze palili tak Baśce na wiwat; zadrżały szyby, zatrzęsły się ściany. Zląkł się po raz trzeci poważny Nawiragh, zlękli się dwaj uczeni Anardraci, lecz stojący obok Zagłobba począł ich po łacinie uspokajać:

— Apud Polonos — rzekł im — nunquam sine clamore et strepitu gaudia fiunt.

Jakoż zdawało się, że wszyscy czekali tylko na ów huk rusznic, aby rozweselić się do najwyższego stopnia. Zwykła szlachecka dworność poczęła teraz ustępować stepowej dzikości. Kapela zagrzmiała; tańce zerwały się znów, jak burza, oczy stały rozpalone i ogniste, opar unosił się z czupryn. Najstarsi nawet puścili się w taniec, gromkie okrzyki rozlegały się co chwila i pito, hulano, spełniano zdrowie

z trzewika Basi, paleno z pistoletów do korków Ewki i huczał i brzmiał i śpiewał Chreptiów do samego rana, aż zwierz w przyległych puszczach ukrył się ze strachu w najgłębsze gąszcze.

A że było to niemal w wigilię straszliwej wojny z potęgą turecką, że nad tymi wszystkimi ludźmi wisiała groza i zagłada, więc dziwił się niezmiernie tym polskim żołnierzom poważny Nawiragh, a niemniej dziwili się dwaj uczeni Anardraci.

ROZDZIAŁ IV.

Spali wszyscy nazajutrz do późna, prócz żołnierzy strażowych i małego rycerza, który nigdy dla żadnej uciechy służby nie zaniechał.

Młody pan Nowowiejski zerwał się także dość wcześnie, bo mu Zosia Boska od wywczasu milszą była. Przybrawszy się więc od rana pięknie, poszedł do owej izby, w której wczoraj tańczono, nadsłuchiwać, czy w przyległych niewieścich komorach niema jeszcze ruchu i krzątaniny.

W izbie, zajętej przez panią Boską, słychać już było ruch, ale niecierpliwemu młodzieńcowi tak pilno było Zosię zobaczyć, że chwyciwszy za kindżał, począł nim mech i glinę między belkami wyłupywać, aby bodaj przez szparutkę, jednem okiem, na Zosię spojrzeć.

Zastał go przy tej robocie pan Zagłoba, który właśnie z różańcem nadszedł i poznawszy zaraz, co się święci, zbliżył się na palcach i począł okładać sandałowemi paciorkami plecy rycerza.

Ów uciekał, wykręcał się, niby się śmiejąc, ale zmieszany był bardzo, stary zaś gonił i bił, powtarzając:

— A Turku jakiś, a Tatarzynie, a naści! a naści! exorciso te! A gdzie mores? To niewiasty będziesz podglądał? A naści! a naści!

— Dobrodzieju! — wołał pan Nowowiejski — nie go-

dzi się ze świętych paciorków kańczuga czynić! Zaniechajcie mnie, bom grzesznej intencyi nie miał!

— Nie godzi się, mówisz, świętemi paciorkami bić? Nieprawda! Palma w kwietnią niedzielę też święta, a przecież nią biją! Ha! to był dawniej pogański różaniec i do Supankazego należał, alem mu go pod Zbarażem wydarł, a potem nuncyusz apostolski go poświęcił. Patrz, sandał prawdziwy!

— Jeśli prawdziwy sandał, to pachnie.

— Mnie pachnie różaniec, a tobie dziewczyna. Muszę ci jeszcze bardzo plecy przetrzepać, bo właśnie dla wypędzenia dyabła z ciała niemasz nad święte paciorki!

— Nie miałem grzesznej intencyi, żebym tak zdrów był!...

— Jeno przez pobożność dziurkę dłubałeś co?

— Nie przez pobożność, ale przez miłość tak ekstraordynaryjną, że nie wiem, jeśli mnie nie rozsadzi, jako granat! Co tu klimkiem rzucać, kiedy prawda! Bąki tak konia latem nie ćwiczą, jak mnie afekty ćwiczą!

— Patrz, żeby to nie były grzeszne żądze, bo kiedym tu wszedł, toś ustać nie mógł, jeno tak piętą o piętę tłukłeś, jakobyś na głowniach stał.

— Nie widziałem nic, jak Boga najszczerzej kocham, bom przecie dopiero szparutkę dłubał!

— Ha! młodość!... krew nie woda!... Ja się też czasem dotąd hamować muszę, bo jeszcze we mnie leo mieszka, qui querit quem devoret! Jeśli masz czyste intencye, to o ożenku myślisz?

— Czy o ożenku myślę? Mocny Boże! A o czemżebym myślał? Nie tylko myślę, ale tak mi jest, jakby mnie kto szydłem ekscytował! To wasza mość chyba nie wiesz, że ja już wczoraj pani Boskiej deklarowałem i od ojca konsens mam?

— Z siarki i prochu chłop! daj cię katu! Kiedy tak, to co innego, ale powiadaj, jak to było?

— Pani Boska poszła wczoraj do komory, chustę dla Zosienki przynieść, ja za nią! Obróci się: „Kto tam?“ A ja

buch do nóg! „Bijcie, matko, ale Zośkę dajcie, moją szczęśliwość, moje kochanie!“ Pani Boska zaś, ochłonąwszy, tak rzecze: „Wszyscy waści chwalą i za godnego kawalera go mają; mój mąż w niewoli, a Zośka bez opieki na tym świecie; wszelako ja dziś responsu nie dam, ani też jutro, jeno później, waszmość zaś też pozwoleństwa rodzicowego potrzebujesz“. To powiedziawszy, poszła, myśląc, że ja po pijanemu to czynię. Jakoż miałem w głowie...

— Nic to! wszyscy mieli w głowie! Uważałeś, jako owemu Nawiraghowi i Anardratom spiczaste czapki wkońcu na bakier zjechały?

— Nie uważałem, bom sobie już w duszy układał, jakby najłatwiej od ojca konsens uzyskać.

— A ciężko przyszło?

— Nad ranem poszliśmy oba do kwatery, a że to żelazo póty dobrze kuć, póki gorące, pomyślałem sobie wraz, że trzeba, choć z daleka wymacać, jak też ojciec imprezę przyjmie. Więc mówię mu: „Słuchaj ojciec, chcę Zośki na gwałt i konsensu mi trzeba, a nie da ojciec, to bodaj do Wenecyanów pójdę służyć i tyle mnie będziecie widzieli“. Kiedy to nie wpadnie na mnie z wielką furyą: „O taki synu! — powiada — umiesz ty się bez pozwoleństwa obchodzić! Idź do Wenecyanów, albo bierz dziewkę, to jeno ci zapowiadam, że grosza nie dam, nie tylko z mego, ale i z macierzyńskiego, bo to wszystko moje!“

Pan Zagłoba wysunął naprzód dolną wargę:

— O źle!

— Czekaj waść. Jakem to usłyszał, tak zaraz mówię: „A czy to ja proszę, albo potrzebuję? Błogosławieństwa mi trzeba, niczego więcej, bo tego dobra pogańskiego, co na moją szablę wypadło, na dobrą dzierżawę, ba! na chudopacholską wieś wstrzyma! Co jest macierzystego, to niech będzie dla Ewki na wiano, jeszcze przygarstkę jedną i drugą turkusów dołożę i hatłasów i lamy sztuczynę, a przyjdzie zły rok, to i ojca gotówką poratuję“.

Dopieroż ojciec rozciekawił się okrutnie:

— Taki żeś to bogaty? — pyta. — Dla Boga! skąd z łupów? Boś wyjechał, jak święty turecki?

— Bój się ojciec Boga! — odpowiem — toż jedenaście lat tą pięścią macham i jako powiadają, niezgorzej i nie miało się zebrać? Byłem przy szturmie zrebelizowanych grodów, w których hultajstwo i Tatarstwo kupy łupów, co najprzedniejszych, nagromadziło; biło się murzów i watahy zbójeckie, a zdobycz szła i szła. Brałem jeno to, co mi przyznano — bez niczyjej krzywdy — ale rosło i gdyby człek nie hulał, byłoby na dwie takie substancye, jako jest wasza rodzicielska.

— Cóż stary na to? — pytał rozweselony Zagłoba.

— Ojciec zdumiał, bo się tego nie spodziewał i zaraz na moje marnotrawstwo narzekać począł: „Byłaby (prawi) kresc ytywa, ale taki pędziwiatr, taki odmigęba, co tylko puszyć lubi, a za magnata się wydawać, wszystko zmarnuje, niczego nie utrzyma“. Potem ciekawość go przemogła i począł wypytywać szczegółowie, co mam, a ja widząc, że tą smołą smarując, prędko zajadę, nie tylkom nic nie utaił, alem jeszcze dołgał trochę, choć zwykle nierad koloryzuję, bo tak sobie myślę, że prawda, to owies, a łgarstwo, sieczka. Ojciec za głowę się brał i nuż w zamysły: „To a toby się dokupiło (powiada), ten a ten procesik poparło; mieszkalibyśmy o miedzę, a pod niebytność twoją, jabym wszystkiego doglądał“. I zapłakało poczciwe ojczysko: „Adam! — powiada — ta dziewka okrutnie mi się dla ciebie spodobała, ile że ona pod pana hetmańską opieką, z czego także może być korzyść; Adam! — powiada — jeno ty mi tę drugą moją córkę szanuj i nie zmarnuj mi jej, bobym ci w godzinę śmierci nie przebaczył“. A ja, mości dobrodzieju, na samą supozycyę Zosinej krzywdy, jak ryknę! Padliśmy sobie z ojczyskiem w ramiona i płakaliśmy acurate do pierwszych kurów!

— Szelma stary! — mruknął Zagłoba.

Poczem głośno dodał:

— Ha! wprędce może być weselisko i nowa w Chreptiowie uciecha, zwłaszcza, że to mięsopust!

— Jutroby było, żeby ode mnie zależało — zawołał porywczo Nowowiejski — ale, ot co, dobrodzieju! Mnie się permisya niedługo kończy, a służba służbą i wracać do Raszkowa muszę. No! pan Ruszczyc da mi drugą permisyę, wiem! Alem niepewien, czy ze strony niewiast zwłoki nie będzie. Bo co do matki sunę, ta mówi: „Mąż w niewoli“ — co do córki, ta prawi: „Tatuś w niewoli“. A cóż to? ja tego tatusia w łykach trzymam, czy co? Okrutnie się takich impedymentów boję, bo żeby nie to, tobym księdza Kamińskiego za sutannę złapał i póty nie puszczał, pókiby nas z Zośką nie związał. Ale jak sobie co baby wbiją w głowę, obcęgami nie wyciągniesz. Ostatni groszbym oddał, poszedłbym sam po tatusia, ale niema jak! Nikt przecie nie wie, gdzie on jest, może zmarł i masz robotę! Jak mi każą na niego czekać, to do ostatniego sądu będę czekał!

— Piotrowicz z Nawiraghem i Anardratami jutro w drogę ruszają; prędka będzie wiadomość.

— Jezu, ratuj! Ja mam dopiero na wiadomości czekać! Przed wiosną nie mogłoby nic być, a tymczasem uschnę, jak mi Bóg miły! Dobrodzieju! wszyscy w wasz rozum i eksperyencyę wierzą, wybijcie wy babom z głowy to czekanie! Dobrodzieju, na wiosnę wojna! Bóg wie, co się stanie; przecie ja się z Zośką chcę żenić, nie z tatusiem, za cóż ja mam do niego wzdychać?

— Namów niewiasty, by do Raszkowa jechały i tam osiadły. Tam i o wiadomość łatwiej, a jeśli Piotrowicz znajdzie Boskiego, to mu będzie do was blizko. Powtóre: ja uczynię, co zdołam, ale ty proś i pani Baśki, żeby się za tobą wstawiła.

— Nie zaniecham, nie zaniecham, bo mnie dyabl...

Wtem drzwi skrzypnęły i weszła pani Boska. Lecz zanim pan Zagłoba zdołał się obejrzeć, młody Nowowiejski już grzmotnął się do jej nóg, jak długi i zająwszy ogromną przestrzeń podłogi swem olbrzymiem ciałem, począł wołać:

— Jest konsens rodzicielski! Dawajcie, matko, Zośkę! Dawajcie, matko, Zośkę! Dawajcie, matko, Zośkę!

— Dawajcie, matko, Zośkę! — zawtórował basem Zagłoba.

Hałasy owe wywabiły ludzi z przyległych komór; weszła Baśka, wyszedł z kancelaryi pan Michał, a wkrótce po nich ukazała się i Zosia. Dziewczynie nie wypadało się niby domyślać, o co chodzi, ale oblała się natychmiast ponsem i złożywszy co prędzej ręce w małdrzyk, a buzię w długi ciup, stanęła ze spuszczonemi oczyma pod ścianą. Pan Michał skoczył po starego pana Nowowiejskiego. Ten przybywszy, zgorszył się bardzo, że syn nie powierzył mu funkcyi i nie zostawił sprawy jego wymowie, jednakże przyłączył się do prośby.

Pani Boska, której istotnie brakło jakiejkolwiek bliższej na świecie opieki, rozpłakała się wreszcie i zgodziła zarówno na prośbę pana Adama, jak i na to, że do Raszkowa z Piotrowiczami wyjedzie i tam na męża czekać będzie. Dopieroż, zalana łzami, zwróciła się do córki:

— Zośka — rzekła — a tobie po sercu-li panów Nowowiejskich zamysły?

Wszystkie oczy zwróciły się na Zosię, a ona, stojąc przy ścianie, oczy trzymała, wedle zwyczaju, wbite w podłogę i dopiero po chwili milczenia, cała spłoniona do szczętu, wyrzekła ledwie dosłyszalnym głosikiem:

— Chcę do Raszkowa!...

— Moje śliczności! — huknął pan Adam i skoczywszy do niej, porwał dziewczynę w ramiona.

Poczem zaś krzyczeć począł, aż ściany drgały:

— Moja już Zośka, moja! moja!...

ROZDZIAŁ V.

Młody pan Nowowiejski wyjechał zaraz po oświadczynach do Raszkowa, aby tam kwaterę jakowąś dla pani i panny Boskiej wynaleźć i opatrzyć; w dwa tygodnie zaś

po jego wyjeździe ruszyła cała karawana dotychczasowych gości chreptiowskich.

Składali ją Nawiragh, dwaj Anardraci, Kieremowicza, Neresowiczowa, Seferowicz, panie Boskie, dwóch panów Piotrowiczów i stary pan Nowowiejski, nie licząc kilku Ormian kamienieckich i licznych sług, oraz zbrojnych pachołków do pilnowania wozów i pociągowego, a także jucznego bydła. Piotrowicze i duchowni delegaci patryarchy uzmiadzińskiego mieli tylko wypocząć w Raszkowie, zasięgnąć tam wieści o drodze i dalej do Krymu ruszać. Reszta kompanii postanowiła osiąść na czas w Raszkowie i czekać przynajmniej do pierwszych roztopów na powrót jeńców, mianowicie Boskiego, młodszego Seferowicza i dwóch kupców, których stroskane małżonki w tęskności od dawna oczekiwały.

Droga to była trudna, bo szła przez głuche puszcze i przepaściste jary. Szczęściem obfite, a suche śniegi usłały sannę wyborną, obecność zaś komend wojskowych w Mohilowie, Jampolu i Raszkowie zapewniała bezpieczeństwo. Azba-bey był zniesion, zbójcy wywieszani lub rozproszeni, a Tatarzy, zimową porą, dla braku traw, nie zapuszczali się na zwykłe szlaki.

Wreszcie pan Nowowiejski obiecał, jeśli tylko pozwolenie od pana Ruszczyca otrzyma, wyskoczyć w kilkadziesiąt koni na spotkanie. Jechano zatem raźno i ochotnie. Zosia gotowa była za panem Adamem na koniec świata jechać. Pani Boska i dwie niewiasty ormiańskie spodziewały się wkrótce mężów odzyskać. W strasznych puszczach na krańcu chrześcijaństwa leżał wprawdzie ów Raszków, ale przecie nie jechano tam na całe życie, ani nie na długi pobyt. Z wiosną miała być wojna; mówiono o niej na rubieżach powszechnie, więc trzeba było, odzyskawszy kochanych, z pierwszym cieplejszym powiewem wracać, by głowy od zagłady uchronić.

Ewka została w Chreptiowie, zatrzymana przez panią Wołodyjowską.

Ojciec nie napierał też bardzo, by ją wziąć ze sobą, zwłaszcza, zostawiając ją w domu ludzi tak zacnych.

— Już ja ją przezpiecznie odeślę, albo i sama odwiozę — mówiła mu Baśka — prędzej zaś sama odwiozę, bo raz w życiu chciałabym widzieć całe owo straszne pogranicze, o którem się tyle od małości nasłuchałam. Na wiosnę, gdy się szlaki zaczernią od czambułów, mąż mi nie pozwoli, ale teraz, jeśli Ewka tu zostanie, będę miała dobry pozór. Za jakie dwie niedziele zacznę się napierać, a za trzy pewnikiem pozwoleństwo otrzymam.

— Mąż też, spero, bez zacnej eskorty waćpani i w zimie nie puści.

— Jeśli będzie mógł, to sam ze mną pojedzie, a jeśli nie, to nas odprowadzi Azya w jakie dwieście, albo więcej koni, bo słyszałam i tak, że on ma być do Raszkowa komenderowany...

Na tem skończyła się rozmowa i Ewka została. Basia jednak, prócz istotnych powodów, które panu Nowowiejskiemu wyłuszczyła, miała i inne wyrachowanie.

Oto chciała ułatwić Azyi zbliżenie się do Ewy, bo młody Tatar poczynał ją niepokoić. Ilekroć był z nią, na pytania odpowiadał wprawdzie, że Ewkę kocha, że dawny afekt w nim nie wygasł, ale ilekroć znalazł się z Ewką — milczał. Tymczasem dziewczyna rozkochała się w nim na tem chreptiowskiem odludziu bez pamięci. Jego dzika, ale przepyszna uroda, jego dzieciństwo pod twardą ręką pana Nowowiejskiego spędzone, jego książęce pochodzenie, ta długa tajemnica, która nad nim ciążyła, a wreszcie sława wojenna, oczarowały ją zupełnie. I czekała tylko chwili, by mu otworzyć serce gorące, jak płomień, by mu powiedzieć: „Azya! jam cię od dziecka kochała!“ — by paść w jego ramiona i przysiądz mu miłość do zgonu. Tymczasem on zaciskał zęby i milczał.

Ewka myślała z początku, że obecność ojca i brata wstrzymuje Azyę od wyznania. Później jednak ogarnął i ją niepokój, bo jeśli ze strony ojca i brata trafiłyby się niezawodnie przeszkody, zwłaszcza dopóki Azya indygenatu

nie posiadał, to przecie mógł chociaż przed nią samą serce otworzyć i powinien był otworzyć tem spieszniej, tem szczerzej, im więcej przeszkód jeżyło się na ich drodze.

A on milczał.

Wątpliwości wkradły się wreszcie w duszę dziewczyny i poczęła skarżyć się na swoją niedolę przed Basią, ta zaś uspokajała ją, mówiąc:

— Nie neguję ci, że to jest człowiek dziwny i okrutnie skryty, ale jestem pewna, że cię miłuje, bo naprzód mnie to wielekroć razy powtórzył, a powtóre, inaczej na cię patrzy, niż na innych.

A na to Ewka, potrząsając smutnie głową:

— Inaczej, to pewno, ale nie wiem, czy to jest kochanie, czy też nienawiść w tem patrzeniu.

— Miła Ewko, oto nie pleć, za cóżby cię miał nienawidzieć?

— A za co mnie ma kochać?

Tu Basia poczęła ją głaskać drobną rączką po twarzy.

— A za co mnie Michał kocha? A za co twój brat, ledwie zobaczył Zośkę, już ją pokochał?

— Adam zawsze był prędki.

— Azya zasię jest pyszny i odmowy się boi, zwłaszcza ze strony twojego ojca, bo brat, sam pokochawszy, snadniejby mękę afektów wyrozumiał. Oto co jest! Nie bądź głupia, Ewka i nie bój się. Zburczę ja dobrze Azyę i obaczysz, jaki będzie rezolut.

Jakoż tego samego dnia Baśka widziała się z Azyą, po którem widzeniu wbiegła wielkim pędem do Ewki.

— Już! — zawołała w progu.

— Co? — pytała, płonąc, Ewka.

— Powiedziałam mu tak: „Co waćpan sobie myślisz? niewdzięcznością mnie nakarmić, czy co? Umyślnie zatrzymałam Ewkę, abyś mógł korzystać z okazyi, ale jeśli nie skorzystasz, to wiedz, że za dwie, najdalej trzy niedziele, odeślę ją do Raszkowa i może sama z nią pojadę, a waćpan na koszu zostaniesz“. Jemu twarz się zmieniła, gdy usłyszał o tym wyjeździe do Raszkowa i aż mi czołem

począł bić do nóg. Pytam go tedy, co myśli, a on na to: „W drodze (powiada) wyznam, co mam w piersi. W drodze (powiada) będzie najlepsza okazya, w drodze się stanie, co się ma stać, co przeznaczono. Wszystko (powiada) wyznam, wszystko odkryję, bo mi nie żyć dłużej z tą męką!“ I aż mu się wargi poczęły trząść, ile że poprzednio był strapiony, bo jakoweś listy niepomyślne dziś rano z Kamieńca odebrał. Mówił mi, że do Raszkowa i takby musiał iść, że jest na to dawny u mego męża hetmański rozkaz, jeno pory w rozkazie niema wskazanej, bo to zależy od układów, które on tam z rotmistrzami lipkowskimi prowadzi. „A właśnie (powiada) pora się zbliża i ja muszę aż za Raszków ku nim podejść, więc za jedną drogą i waszą miłość i pannę Ewę odprowadzę“. Powiedziałam mu na to, że niewiadomo, czyli i ja pojadę, bo to będzie zależało od Michałowego pozwoleństwa. Usłyszawszy to, zląkł się bardzo. Ha! Oj, głupia ty Ewka! Mówisz, że on cię nie kocha, a on mi do nóg padł i jak mnie zaczął prosić, żebym także jechała, to powiadam ci, skomlał po prostu, aż mi się płakać nad nim chciało. A wiesz, dlaczego to uczynił? Zaraz mi powiedział: „Ja (mówi) wyznam, co w sercu, ale bez instancyi waszej miłości nic u panów Nowowiejskich nie wskóram, jeno gniew i nienawiść i w nich i w sobie rozbudzę. W rękach waszej miłości mój los, moja męka, moje zbawienie, bo jeśli wasza miłość nie pojedzie, to wolejby mnie ziemia pożarła, albo żywy ogień spalił!“ Tak to on ciebie miłuje. Strach po prostu myśleć! A żebyś go widziała, jak wtedy wyglądał, zlękłabyś się!

— Nie, ja się go nie boję! — odrzekła Ewka.

I poczęła całować po ręku Basię.

— Jedź z nami, jedź z nami! — powtarzała w uniesieniu — jedź z nami! Ty jedna możesz nas poratować, ty jedna nie będziesz się bała powiedzieć ojcu, ty jedna coś wskórać możesz! Jedź z nami! Do nóg panu Wołodyjowskiemu upadnę, żeby ci dał pozwoleństwo. Bez ciebie ojciec z Azyą z nożami do siebie skoczą! Jedź z nami, jedź z nami!

I to mówiąc, obsunęła się do kolan Basinych i poczęła je z płaczem obejmować.

— Da Bóg, pojadę! — odrzekła Basia. — Michałowi wszystko przedstawię i molestować go nie przestanę. Bezpiecznie teraz choć samej jechać, a cóż dopiero z taką strażą liczną. Może i Michał pojedzie, a nie, to on ma serce, zgodzi się. Zrazu zakrzyknie, ale niech się jeno zasmucę, zaraz zacznie koło mnie chodzić, a w oczy mi zaglądać i zgodzi się. Wolałabym, żeby i sam mógł jechać, bo mi okrutnie będzie bez niego tęskno, ale cóż robić! i tak pojadę, by wam jakowąś ulgę przynieść... Toć to już nie o zachcenie moje chodzi, ale o dolę was obojga. Michał ciebie lubi i Azyę lubi — zgodzi się.

Azya zaś, po owem widzeniu się z Basią, poleciał do swojej izby tak pełen radości i otuchy, jakoby po ciężkiej chorobie nagle do zdrowia przyszedł i odżył.

Przed chwilą bowiem wściekła rozpacz targała jego duszę. Oto właśnie tego ranka odebrał suchy i krótki list od pana Bogusza, następującej treści:

„Mój kochany Azya! Zatrzymałem się w Kamieńcu i do Chreptiowa teraz nie przyjeżdżam, raz dlatego, że mnie fatygi zmogły, a powtóre, że nie mam poco. W Jaworowie byłem. Pan hetman, nie tylko, że ci pozwolenia na piśmie nie daje i swoją powagą osłaniać twoich szalonych zamysłów nie myśli, ale surowie i pod utratą łaski przykazuje ci, abyś ich natychmiast poniechał. Ja się też zreflektowałem, że to wszystko, coś mi mówił, nic po tem, bo chrześcijańskiemu politycznemu narodowi wdawać się w takie praktyki z pogaństwem grzech, a byłoby i wstydliwie wobec całego świata szlacheckie przywileje złodziejom, drapieżnikom i przelewcom niewinnej krwie nadawać. W czem się sam miarkuj i o hetmaństwie nie myśl, bo ci nie do tego, chociażeś Tuhay-beya syn. A chcesz-li rychło łaskę hetmańską restaurować, to się swoją szarżą kontentuj, a szczególniej tamtę robotę z Kryczyńskim, Tworowskim, Adurowiczem i innymi przyspiesz, bo tem się najlepiej zasłużysz.

Konotatkę hetmańską, co masz czynić, posyłam ci z tem pismem, a panu Wołodyjowskiemu rozkazanie od buławy, aby ci wyjeżdżać i przyjeżdżać wraz z twoimi ludźmi nie było wzbronno. Na spotkanie owych rotmistrzów pewno wyskoczyć musisz — a spiesz się — i donoś mi do Kamieńca pilnie, co tam na drugiej stronie słychać. Przyczem polecając cię opiece Boskiej, pozostaję z nieodmienną życzliwością Marcin Bogusz z Zięblic, podstoli nowogrodzki".

Młody Tatar, gdy odebrał ten list, wpadł w furyę straszliwą: naprzód pismo starł w ręku na proch, potem kindżałem stół raz przy razie dziobał, wreszcie groził własnemu życiu i wiernemu Halimowi, który go na klęczkach błagał, by nie przedsiębrał nic, zanim nie ochłonie z gniewu i desperacyi.

Bo też ów list był dla niego ciosem okrutnym. Gmachy, jakie wznosiła jego pycha i ambicya, zostały jakoby prochem wysadzone, zamysły zniszczone. Oto mógł zostać trzecim w Rzeczypospolitej hetmanem i poniekąd dzierżyć jej losy w ręku, a teraz ujrzał, że musi pozostać nieznanym oficerem, dla którego szczytem ambicyi będzie indygenat. Oto w ognistej swej wyobraźni widywał codzień tłumy, bijące mu czołem, a teraz jemu wypadnie czołem bić przed innymi.

I na nic mu się to nie zdało, że był Tuhaj-beyowiczem, że krew władnych wojenników płynęła w jego żyłach, że wielkie myśli zrodził w duszy — na nic! — wszystko na nic! Będzie żył zapoznany i umrze w jakiejś odległej fortalicyi zapomniany.

Jedno słowo pokruszyło mu skrzydła, jedno: „nie!" sprawiło, że odtąd nie będzie mu wolno szybować, jako orłom, pod niebem, jeno musi pełzać, jako robak, po ziemi.

Lecz to wszystko jeszcze jest niczem, w porównaniu do szczęścia, jakie utracił. Ta, za której posiadanie oddałby krew i wieczność, ta, dla której płonął, jak ogień, którą umiłował oczyma, sercem, duszą, krwią — nie będzie już nigdy jego. Ten list odbierał mu ją tak samo, jak i hetmańską buławę. Bo mógł Chmielnicki porwać Czaplińską,

mógł równie potężny Azya, Azya-hetman, porwać cudzą żonę i obronić, choćby nawet przeciw całej Rzeczypospolitej, ale jakim sposobem wydrze ją Azya, porucznik lipkowski, pod komendą jej męża służący?...

Gdy o tem myślał, świat czerniał mu w oczach, stawał się pusty, posępny i nie wiedział Tuhay-beyowicz, zali nie lepiej będzie mu umrzeć, niż żyć bez racyi do życia, bez szczęścia, bez nadziei, bez ukochanej niewiasty? Przygniotło go to tem straszniej, że się takiego ciosu nie spodziewał, owszem, biorąc poprzednio pod uwagę stan Rzeczypospolitej, z każdym dniem utwierdzał się w przekonaniu, że hetman na te zamysły się zgodzi.

Tymczasem rozwiały się nadzieje, jak mgła pod wichrem. Co mu zostawało? Wyrzec się sławy, wielkości, szczęścia. Ale on nie był do tego zdolny. W pierwszej chwili porwał go szał gniewu i rozpaczy. Ogień począł mu chodzić po kościach i palić go boleśnie, więc wył i zgrzytał, a równie ogniste i mściwe myśli przelatywały mu przez głowę. Chciał zemsty nad Rzecząpospolitą, hetmanem, Wołodyjowskim, nad Basią nawet. Chciał podnieść swych Lipków, wyciąć w pień załogę, wszystkich oficerów, cały Chreptiów, zabić Wołodyjowskiego, a Baśkę porwać i ujść z nią za multański brzeg, a potem hen, na Dobruczę i dalej, choćby do samego Carogrodu, choćby w azyatyckie pustynie.

Lecz wierny Halim czuwał nad nim, a i on sam, ochłonąwszy z pierwszej furyi i rozpaczy, uznał całe niepodobieństwo tych zamysłów.

Azya i w tem jeszcze podobny był do Chmielnickiego, że jak w Chmielnickim, tak i w nim, mieszkał zarazem lew i wąż. Uderzy z wiernymi Lipkami na Chreptiów — i cóż stąd? Zali czujny, jak żóraw, Wołodyjowski da się zejść niespodzianie, a choćby i tak, zali da się pokonać ten przesławny zagończyk, mając zwłaszcza większą liczbę i lepszych żołnierzy pod ręką? Wreszcie, gdyby go Azya nawet pokonał, co potem uczyni? Pójdzie w dół rzeki, hen, ku Jahorlikowi, to po drodze musi zetrzeć komendy w Mohilowie, Jampolu i Raszkowie. Przejdzie na multański brzeg,

tam Perkułaby, przyjaciele Wołodyjowskiego i sam Habareskul chocimski, jego druh zaklęty. Pójdzie ku Doroszowi, tam pod Bracławiem komendy polskie, a w stepie zimą nawet pełno podjazdów.

Wobec tego wszystkiego uczuł Tuchay-beyowicz swoją bezsilność i złowroga dusza jego, wyrzuciwszy naprzód płomienie, pogrążyła się w głuchej rozpaczy, jak ranny, dziki zwierz pogrąża się w ciemnej pieczarze skalnej — i pozostała cichą.

I jako ból nadmierny sam siebie zabija i w odrętwieniu znika, tak i on zdrętwiał wreszcie.

Wtedy to właśnie dano mu znać, że pani komendantowa życzy sobie z nim mówić.

Halim nie poznał Azyi, gdy ów wrócił z tej rozmowy. Odrętwiałość znikła z twarzy Tatara, oczy grały mu, jak u dzikiego zdebia, twarz była blasków pełna, a białe kły połyskiwały mu z pod wąsa — i w dzikiej swej urodzie zupełnie był podobny do strasznego Tuchay-beya.

— Panie mój — spytał Halim — jakim sposobem Bóg pocieszył duszę twoją?

A Azya na to:

— Halim! po ciemnej nocy Bóg dzień na ziemi czyni i słońcu z morza wstawać każe. Halim! (tu chwycił starego Tatara za ramiona) za miesiąc ona będzie moja na wieki!

I taki blask szedł od jego czarniawej twarzy, że stał się piękny, a Halim począł mu pokłony wybijać.

— Synu Tuchay-beya, tyś wielki, potężny i złość niewiernych nie zmoże cię!

— Słuchaj! — rzekł Azya.

— Słucham, synu Tuchay-beya!

— Pojedziem nad morze sine, gdzie śniegi jeno na górach leżą, a jeśli wrócim kiedy w te strony, to na czele czambułów, jako piasek nadmorski, jako liście w tych puszczach nieprzeliczonych — miecz a ogień niosąc. Ty, Halim, synu Kurdłukowy, dziś jeszcze ruszysz w drogę. Znajdziesz Kryczyńskiego i powiesz mu, aby pod Raszków

z tamtej strony ze swoim ściahem podemknął. A Adurowicz, Morawski, Aleksandrowicz, Grocholski, Tworkowski i który żyw z Lipków i Czeremisów, niech mi także ze ściahami pod wojska podejdą. A czambułom, co przy Doroszu na zimownicach są, niech dadzą znać, aby od strony Humania wielki niepokój nagle uczyniły, by wyszły lackie komendy z Mohilowa, Jampola i Raszkowa i poszły w step daleki. Niech na tej drodze, którą ja ruszę, wojsk nie będzie, to wówczas, gdy z Raszkowa wyjadę, jeno popioły i zgliszcza po mnie zostaną!

— Boże ci dopomóż, panie! — odrzekł Halim.

I począł bić pokłony, a Tuchay-beyowicz pochylił się nad nim i powtórzył jeszcze kilkakroć:

— Gońców rozsyłaj, gońców rozsyłaj, bo miesiąc czasu tylko zostaje.

Poczem odprawił Halima i pozostawszy sam, modlić się począł, bo miał piersi przepełnione szczęściem i wdzięcznością dla Boga.

A modląc się, spoglądał mimowoli przez okno na swych Lipków, którzy właśnie wyprowadzali konie, by je napoić przy studniach. Majdan zaczernił się od tego tłumu. Lipkowie, śpiewając z cicha monotonne swe pieśni, poczęli ciągnąć skrzypiące żórawie i wychlustywać wodę w koryta. Para wychodziła dwoma słupami z nozdrzy każdego konia i przesłaniała obraz.

Nagle z głównego budynku wyszedł pan Wołodyjowski, przybrany w kożuch i jałowicze buty, a zbliżywszy się do Lipków, począł coś mówić. Oni zaś słuchali go, prostując się i zdejmując, przeciwko wschodniemu obyczajowi, z głów kapuzy. Na jego widok, Azya przestał się modlić i pomruknął:

— Sokół ty jesteś, ale nie dolecisz tam, gdzie ja dolecę i pozostaniesz w Chreptiowie, w żałości i zgryzocie!

Pan Wołodyjowski, rozmówiwszy się z żołnierzami, zawrócił do izby i na majdanie na nowo rozległy się śpiewy Lipków, parskanie koni i skrzyp żałośny a przeraźliwy studziennych żórawi.

ROZDZIAŁ VI.

Mały rycerz, zgodnie z przewidywaniem Basi, zakrzyknął zrazu, gdy się o jej zamiarach dowiedział, że nigdy się na nie nie zgodzi, bo sam jechać nie może, a bez siebie jej nie puści, lecz wówczas zaczęły się ze wszystkich stron prośby i nalegania, które wkrótce zachwiać miały jego postanowieniem.

Baśka nalegała wprawdzie mniej, niż się spodziewał, bo jej się bardzo chciało z mężem jechać, a bez niego wyprawa straciła dla niej część powabu, lecz Ewka klękała przed nim i całując go po rękach, zaklinała na jego afekt dla Basi, by pozwolił.

— Nikt inny do mego ojca nie odważy się przystąpić — mówiła mu — i takową rzecz oznajmić: ni ja, ni Azya, ni nawet mój brat; jedna pani Basia może to uczynić, bo on jej niczego nie odmówi!

Na to Wołodyjowski:

— Baśce się w swaty nie bawić! A oprócz tego, przecie wracać musicie tędy, niechże to za waszym powrotem uczyni.

Ewka odpowiedziała płaczem. Bóg wie, co się do powrotu stanie i jest nawet pewna, że zamrze ze strapienia; ale dla takiej sieroty, nad którą niema miłosierdzia, tak będzie najlepiej.

Mały rycerz posiadał niezmiernie czułe serce, więc poczynał wąsikami ruszać i po izbie chodzić. Żywnie nie chciało mu się ze swoją Baśką rozłączać, choćby na jeden dzień, a cóż dopiero na parę tygodni.

Jednakże widocznie bardzo go owe prośby poruszały, bo w parę dni po tych szturmach ozwał się któregoś wieczora:

— Żebym mógł razem jechać, nie mówię! Ale nie może to być, bo mnie służba trzyma!

Basia skoczyła do niego i przyłożywszy różane swe usta do jego policzka, poczęła powtarzać:

— Jedź, Michałku, jedź, jedź!

— Żadną miarą nie może być! — odrzekł stanowczo Wołodyjowski.

I znów upłynęło dni parę. Przez ten czas radził się mały rycerz pana Zagłoby, co mu czynić przystoi? Lecz ów rady odmówił.

— Jeśli niema innych przeszkód, jeno twój sentyment — rzekł — to co ja mam gadać? Sam postanów. Jużci pustka tu będzie bez hajduczka. Żeby nie mój wiek i trudna droga, to i jabym pojechał, bo bez niej nijak.

— A widzisz wasze! Przeszkód istotnie niema: pora trochę mroźna, ot i wszystko; zresztą spokojnie i komendy wszędzie po drodze, tylko bez niej nijak.

— Tedy ci właśnie mówię: sam postanów!

Po tej rozmowie na nowo począł się pan Michał wahać i na dwoje rzecz rozważać. Ewki mu było żal. Zastanawiał się także nad tem, czy wypada samą dziewczynę wysyłać z Azyą w tak długą drogę, a jeszcze więcej nad tem, czy godzi się życzliwym ludziom nie dopomódz, skoro zdarza się sposobność tak łatwa? O cóż bowiem chodziło? O wyjazd Basi na dwa, lub trzy tygodnie. A choćby szło tylko o dogodzenie Basi, by mogła widzieć Mohylów, Jampol i Raszków, to i czemuby jej nie dogodzić? Azya, czy tak, czy owak, musi iść ze swoją chorągwią do Raszkowa, będzie więc ochrona wszelka, a nawet zbyteczna wobec wyniszczenia zbójów i zimowego spokoju od ordy.

Chwiał się więc coraz bardziej mały rycerz, co spostrzegłszy niewiasty, ponowiły nalegania: jedna, przedstawiając tę sprawę, jako dobry uczynek i swój obowiązek, druga, płacząc i lamentując. Pokłonił się wreszcie komendantowi i Tuchay-beyowicz. Mówił, iż wie, że niegodzien takiej łaski, ale tyle przecie okazał i wierności i przywiązania do państwa Wołodyjowskich, że śmie o nią prosić. Wielkie ma on długi wdzięczności dla obojga, bo nie pozwolili nim poniewierać i wówczas, gdy jeszcze nie wiadomo było, że jest Tuchay-beyowym synem. Nie zapomni nigdy, że pani komendantowa opatrywała jego rany i była mu

nie tylko panią łaskawą, ale jakoby matką. Dowody swej wdzięczności złożył on już w bitwie z Azbą-beyem, więc i w przyszłości, nie daj Bóg okazyi, w potrzebie z radością nałoży za swą panią głową i ostatnią kroplę krwi wyleje.

Potem jął opowiadać o swej dawnej, nieszczęsnej dla Ewki miłości. Nie żyć mu bez tej dziewki! Miłował ją przez całe lata rozłąki, chociaż bez jakiejkolwiek nadziei i miłować jej nigdy nie przestanie. Ale między nim a starym panem Nowowiejskim jest dawna nienawiść i dawny stosunek sługi i pana rozdziela ich, jakoby jarem szerokim. „Pani“ jedna mogłaby ich złądzić, a jeśli i tego uczynić nie zdoła, zasłoni przynajmniej drogą dziewkę przed ojcowskiem tyrańskiem, przed zamknięciem i kańczugiem.

Wołodyjowski wolałby był może, żeby Baśka nie wdawała się w tę sprawę, ale że sam lubił ludziom dobrze czynić, więc się i sercu żony nie dziwił. Wszelako nie odpowiedział jeszcze Azyi zgodą, oparł się nawet nowym łzom Ewki, tylko w kancelaryi się zamykał i rozmyślał.

Aż wreszcie pewnego dnia wyszedł na wieczerzę z pogodną twarzą i po wieczerzy spytał nagle Tuchay-beyowicza:

— Azya, a kiedy ci termin ruszać?

— Za tydzień wasza wielmożność! — odrzekł niespokojnie Tatar. — Halim musiał już tam pokończyć układy z Kryczyńskim.

— Każ-że i wielkie sanie wymościć, bo dwie białogłowy powieziesz do Raszkowa.

Usłyszawszy to Basia, poczęła w ręce klaskać i obces do męża.

Za nią skoczyła Ewka, za nią schylił się do jego kolan z szalonym wybuchem radości i Azya, aż mały rycerz musiał się opędzać.

— Dajcie spokój! — mówił — cóż znowu! Jak można ludziom pomódz, to i ciężko nie pomódz, chyba-by kto całkiem był zatwardziały; ja zaś przecie nie żaden tirannus.

Ty oto, Baśka, wracaj prędko, kochanie, a ty, Azya, opiekuj się nią szczerze, tem mi najlepiej podziękujecie. No, no! dajcie spokój!

Tu począł wąsikami mocno ruszać, poczem rzekł już weselej, dla dodania sobie fantazyi:

— Najgorsze te babskie śluzy. Jak jeno śluzy obaczę, zaraz nic po mnie! A ty, Azya, masz dziękować nie tylko mnie i mojej żonie, ale i tej oto panience, która tu za mną, jako cień, chodziła, żałość swoją ciągle przed oczy moje wystawując. Musisz jej za takowy afekt zapłacić!

— Zapłacę, zapłacę! — odrzekł dziwnym głosem Tuchay-beyowicz i porwawszy ręce Ewki, począł je całować tak gwałtownie, że możnaby myśleć, iż je chciał raczej pokąsać.

— Michale! — zawołał nagle Zagłoba, wskazując na Basię. — Co my tu będziem robić bez tego kociaka?

— A no, ciężko będzie! — odrzekł mały rycerz — dalibóg ciężko!

Poczem dodał ciszej:

— Ale może dobry uczynek Pan Bóg później pobłogosławi... rozumiesz waść?...

Tymczasem „kociak“ wsunął między nich ciekawą, jasną główkę.

— Co powiadacie?...

— I... nic! — odrzekł Zagłoba — mówimy, że na wiosnę bociany pewnie przylecą...

Baśka poczęła się ocierać twarzyczką o twarz męża, jak kot prawdziwy.

— Michałku! ja tam nie będę długo siedziała — rzekła z cicha.

I po tej rozmowie zaczęły się znów narady, kilka dni trwające, ale już nad podróżą.

Pan Michał sam wszystkiego doglądał, sanie kazał ładzić przy sobie i wymościć je skórami, uszczwanych jesienią liszek. Pan Zagłoba tuzłuczki własne znosił, by było czem w drodze nogi przykryć. Miały pójść wozy z pościelą i ży-

wnością; miał pójść i dzianecik Basi, aby w miejscach zatoczystych i niebezpiecznych mogła się na niego z sani przesiąść, bo szczególniej bał się pan Michał zjazdu do Mohilowa, do którego się istotnie na złamanie karku zjeżdżało.

Jakkolwiek nie było najmniejszego prawdopodobieństwa jakiegoś napadu, przykazał mały rycerz Azyi wszelkie ostrożności zachować, kilkunastu ludzi na parę stai naprzód zawsze wysyłać i na noclegi nie stawać nigdzie po drodze, jeno tam, gdzie są komendy; wyjeżdżać skoro świt, stawać przed nocą, a w nocy nie marudzić. Tak dalece o wszystkiem myślał mały rycerz, że własną ręką nabił króciczki do olster przy Basinej kulbace.

Nadeszła nakoniec chwila wyjazdu. Jeszcze ciemno było, gdy dwieście koni Lipków stanęło w pogotowiu na majdanie. W głównej izbie komendanckiego domu panował już także ruch. Na kominach buzowały się jasnym płomieniem smolne szczapy. Wszyscy oficerowie: więc mały rycerz, i pan Zagłoba, i pan Muszalski, i pan Nienaszyniec, i pan Hromyka i pan Motowidło, a z nimi towarzysze z pod górnych chorągwi, zebrali się na pożegnanie. Basia i Ewka, ciepłe jeszcze i zarumienione od snu, piły winną polewkę na drogę.

Wołodyjowski siedział obok żony, obejmując ją wpół; Zagłoba sam nalewał polewkę, powtarzając za każdem dolaniem: „Jeszcze, bo mrozik!“ I Basia i Ewka ubrane były po męsku, bo tak zwykle podróżowały na kresach niewiasty; Basia była przy szabelce; szubkę na sobie miała żbiczą, łasicami bramowaną; gronostajowy z uszami kołpaczek; hajdawerki bardzo obszerne, kształt spódnicy czyniące i buty do kolan, miękkie, podszyte wyporkami. Na to wszystko miały pójść jeszcze ciepłe delijki i szuby z kapturami, do osłonięcia twarzy.

Tymczasem jednak twarz ta była jeszcze odsłonięta i dziwili się, jako zwykle, jej urodzie żołnierze; inni zaś spoglądali łakomie na Ewkę, która miała usta wilgotne, jakoby do pocałunku złożone; inni wreszcie nie wiedzieli, na którą patrzeć i tych aż ciągoty brały po końcach izby,

tak im obie były ponętne, a szeptali zaś jeden drugiemu w ucho:

— Ciężko człeku żyć na takiem odludziu. Szczęsny komendant! szczęsny Azya... Uch!...

Ogień na kominach trzaskał wesoło, a po zapłociach poczęło się pianie kurów. Zwolna wstawał dzień, dość mroźny i pogodny. Pokryte grubym śniegiem dachy szop i kwater żołnierskich, stały się jasno-różowe.

Z majdanu dochodziło parskanie koni i skrzyp chodzących pieszo żołnierzy z chorągwi towarzyskich, a również dragońskich, którzy zebrali się z szop i karczem, by pożegnać Basię i Lipków.

Nakoniec Wołodyjowski rzekł:

— Czas!

Usłyszawszy to Baśka, porwała się z miejsca i padła w ramiona mężowskie. On przycisnął usta swoje do jej ust, potem tuląc ją ze wszystkich sił do piersi, całował jej oczy i czoło i znowu usta. Długa była ta chwila, bo kochali się oboje niezmiernie.

Po małym rycerzu przyszła kolej na pana Zagłobę, następnie inni oficerowie przystępowali do całowania Basinej ręki, a ona powtarzała co chwila swoim dźwięcznym, jak srebro, dziecinnym głosikiem:

— Ostawajcie waćpanowie w zdrowiu! Ostawajcie w zdrowiu!...

I obie z Ewką poszły przywdziać delijki, z otworami na ręce zamiast rękawów, na to kapturzaste szuby, aż całkiem znikły w tych ubiorach. Otworzono im szeroko drzwi, przez które wpadła para mroźna — i całe zgromadzenie znalazło się na majdanie.

Na świecie czyniło się coraz widniej od śniegu i zorzy. Sadź osiadła na szerści lipkowskich bachmatów i na kożuchach żołnierzy, tak, iż zdało się, że cała chorągiew biało jest przybrana i na białych koniach siedzi.

Baśka z Ewką wsiadły do wymoszczonych skórami sani. Dragoni i pocztowi z towarzyskich chorągwi zakrzyknęli na szczęsną drogę odjeżdżającym.

Na ów odgłos liczne stada wron i kruków, które sroga zima przygnała w pobliże zabudowań ludzkich, zerwały się z dachów i z wielkiem krakaniem poczęły krążyć w różanem powietrzu.

Mały rycerz pochylił się nad saniami i pogrążył twarz w kapturek, okrywający głowę żony.

Długa była ta chwila — wreszcie oderwał się od Basi i czyniąc znak krzyża ręką, zawołał:

— W imię Boże!

Wówczas Azya podniósł się w strzemionach. Dzika twarz jego promieniała od radości i zorzy. Machnął buzdyganem, aż burka podniosła mu się w kształcie skrzydeł drapieżnego ptaka i krzyknął przeraźliwym głosem:

— Rusza-a-a-aj!

Zaskrzypiały w śniegu kopyta. Par obficiej wyszedł z nozdrzy końskich. Pierwsze szeregi Lipków ruszyły zwolna; za niemi drugie, trzecie, czwarte — za niemi sanie, za niemi następne szeregi — i cały oddział począł oddalać się po pochyłym majdanie ku wrotom.

Mały rycerz żegnał ich krzyżem świętym, wreszcie, gdy sanie minęły już bramę, złożył ręce przy ustach i zawołał:

— Bywaj zdrowa Baśka!

Ale odpowiedziały mu tylko głosy piszczałek i wielkie krakanie czarnego ptastwa.

ROZDZIAŁ VII.

Oddział Czeremisów, kilkanaście koni liczący, szedł w mili naprzód, by drogę opatrywać i komendantów o przejeździe pani Wołodyjowskiej uprzedzać, aby kwatery wszędy mieli gotowe. Za owym oddziałem postępowała główna siła Lipków, za nią sanie z Basią i Ewką, drugie z usługą niewieścią i znów pomniejszy oddział, zamykający pochód. Droga była dość ciężka z powodu zasp śnieżnych. Bory sosnowe, nie tracąc na zimę swego iglastego poszycia, mniej

przepuszczają śniegów na podłoże, lecz puszcza, ciągnąca się wzdłuż dniestrowego brzegu, złożona po największej części z dębów i innych drzew liściastych, obnażona teraz ze swego przyrodzonego sklepienia, zasypana była do pół pni. Śnieg zapełnił również co węższe jary; miejscami wznosił się nakształt fal morskich, których spiętrzone czuby zwieszały się tak, jakby miały runąć za chwilę i spłynąć się z ogólną białą powierzchnią.

W czasie przejazdu trudnych jarów i na pochyłościach, Lipkowie podtrzymywali sanie powrozami; tylko na wysokich równinach, na których wiatry wygładziły skorupę śnieżną, jechali szybko, śladem tej karawany, która wraz z Nawiraghem i dwoma uczonymi Anardratami wyruszyła przedtem z Chreptiowa. Droga była ciężka, nie tak jednakże, jak czasem bywała, w tych puszczańskich, pełnych rozpadlin, rzek i strumieni i jarów, krainach, więc się cieszyli, że nim zapadnie noc głęboka, potrafią zdążyć do przepaścistego jaru, na dnie którego leżał Mohylów.

Przytem zanosiło się na długą pogodę. Po rumianej zorzy wstało słońce i wnet w jego promieniach rozbłysły jary, równie i puszcza. Gałęzie drzew zdawały się skrami oblepione; skry lśniły na śniegu, aż oczy bolały od blasków. Z wysokich miejsc przez polany, jakby przez okna puszczy, wzrok leciał aż hen ku Multanom i gubił się na białym i sinawym, a zalanym słońcem widnokręgu.

Powietrze było suche, raźne. W taką pogodę ludzie, zarówno jak i zwierzęta, czują krzepkość i zdrowie; to też konie parskały okrutnie po szeregach, wyrzucając z nozdrzy kłęby pary, a Lipkowie, choć mróz szczypał ich po nogach, tak, że podkurczali je ustawicznie pod hałaty, śpiewali wesołe pieśni.

Słońce weszło wreszcie na sam szczyt niebieskiego namiotu i jęło przygrzewać. Basi i Ewce aż zbyt było ciepło pod skórami w saniach, więc rozluźniwszy wiązania na głowach i odsunąwszy kaptury, ukazały na świat swoje różowe twarze i poczęły się rozglądać, Baśka po okolicy, a Ewka za Azyą, którego przy saniach nie było. Jechał

on w przodzie z tym oddziałkiem Czeremisów, któren rozpatrywał drogę, a w potrzebie rozgarniał śniegi. Ewka zaczęła się nawet chmurzyć z tego powodu, lecz pani Wołodyjowska, znająca na wylot służbę wojskową, rzekła jej na pociechę:

— Tacy oni wszyscy. Kiedy służba, to służba! Michalisko moje też ani na mnie spojrzy, kiedy funkcya wojskowa przyjdzie. I źle, żeby było inaczej, bo jeśli żołnierza kochać, to dobrego.

— Ale na popasie on będzie z nami? — pytała Ewka.

— Patrz, żebyś go nie miała nadto. Zakonotowałaś, jaki był radosny, gdy wyjeżdżał? Aż od niego łuna biła.

— Widziałam! Bardzo był radosny!

— A co dopiero będzie, kiedy pozwoleństwo od pana Nowowiejskiego otrzyma!

— Oj! co mnie jeszcze czeka! Dziej się wola Boża! chociaż serce zamiera we mnie, gdy o ojcu pomyślę. Nuż zakrzyknie, nuż się zatnie i pozwoleństwa odmówi? Będę się miała potem z pyszna, gdy do domu wrócim.

— Wiesz, Ewka, co ja myślę?

— A co?

— Bo to z Azyą niema żartów! Brat twój mógłby się siłą sprzeciwić, ale ojciec twój komendy nie ma. Otóż ja myślę, że jeśli od razu się zatnie, to Azya cię i tak weźmie.

— Jakże to?

— Ot, po prostu, porwie cię. Mówią, że z nim niema żartów... Tuchay-beyową krew... Weźmie ślub u pierwszego księdza po drodze... Gdzieindziej, to trzeba zapowiedzi, metryk, pozwoleństwa, ale tu dzikie strony, tu wszystko trocha po tatarsku...

Rozjaśniła się twarz Ewki.

— Tego się boję! Azya gotów na wszystko, tego się boję! — rzekła.

A Baśka, zwróciwszy głowę, popatrzyła na nią bystrzej i nagle wybuchła swym dźwięcznym, dziecinnym śmiechem.

— Tak ty się tego boisz, jako właśnie mysz słoninki! O! znają cię!

Ewka, zarumieniona od chłodnego powietrza, zarumieniła się jeszcze bardziej i odrzekła:

— Przekleństwa ojcowskiego-bym się bała, a wiem, że Azya gotów na nic nie zważać!

— Bądź dobrej myśli — rzekła jej na to Basia. — Prócz mnie, masz brata do pomocy. Prawdziwe amory zawsze postawią na swojem. Powiedział mi to pan Zagłoba, wtedy jeszcze, kiedy Michałowi ani się śniło o mnie.

I rozgadawszy się, poczęły na wyścigi mówić, jedna o Azyi, druga o swoim Michale. Tak upłynęło parę godzin, póki karawana nie zatrzymała się na pierwszy krótki popas w Jaryszowie. Z miasteczka, zawsze dość nędznego, została po inkursyi chłopskiej jedna tylko karczma, którą odrestaurowano od czasu, jak częste przechody żołnierskie zysk poczęły obiecywać pewny.

Basia i Ewka znalazły w niej przejezdnego kupca ormiańskiego, rodem z Mohilowa, któren wiózł safiany do Kamieńca.

Azya chciał go wyrzucić na dwór wraz z Wołochami i Tatarami, którzy mu towarzyszyli, lecz niewiasty pozwoliły mu pozostać i tylko sama straż musiała się usunąć. Kupiec, dowiedziawszy się, że podróżna pani jest panią Wołodyjowską, począł bić jej czołem i pod niebiosa męża jej wysławiać, czego słuchała z radością wielką.

Nakoniec poszedł do wijuków i wróciwszy, ofiarował jej czuhub osobliwszych bakalii i małe puzderko, pełne wonnej dryakwi tureckiej, wielce przeciw różnym chorobom pomocnej.

— To ja przez wdzięczność składam — mówił. — Już my tu wcale przedtem z Mohilowa nie śmieli głowy wychylić, tak Azba-bey grasował i tylu zbójów we wszystkich jarach i po tamtej stronie w odojach siedziało, a teraz droga bezpieczna i targ bezpieczny. Teraz my znowu jeździm. Niech Bóg pomnoży dni chreptiowskiego komendanta, a każdy dzień uczyni tak długim, aby wystarczył na drogę

z Mohilowa do Kamieńca, a każdą godzinę dnia niech także tak przydłuży, by się dniem wydawała. Nasz komendant, pan pisarz polny, woli w Warszawie siedzieć, a pan komendant chreptiowski sam czuwał i zbójów wymiótł tak, że teraz milsza im śmierć od Dniestru.

— To pana Rzewuskiego niema w Mohilowie? — pytała Basia.

— On tylko wojsko przyprowadził i nie wiem, czyli trzy dni sam bawił. Niech wielmożność pozwoli, tu jest suchy winograd w tym czuhubie, a z tego brzegu takowy owoc, którego i w Turcyi niema, jeno z Azyi z daleka przychodzi, a tam na palmach rośnie... Pana pisarza niema, a teraz i jazdy wcale niema, bo ku Bracławiu wczoraj nagle poszła... I tu są daktyle, aby obum waszym wielmożnościom były na zdrowie... Został tylko pan Gorzeński z piechotą, a jazda wszystka wyszła...

— Dziwno mi to, że jazda wszystka wyszła — rzekła Basia, spoglądając pytającym wzrokiem na Azyę.

— Poszła, by się konie nie odstały — odpowiedział Tuchay-beyowicz — teraz spokojnie!

— W mieście mówili, że Dorosz się ruszył niespodzianie — rzekł kupiec.

Azya roześmiał się:

— A czem będzie konie pasł, śniegiem? — rzekł do Basi.

— Pan Gorzeński najlepiej wam, wielmożnoście, objaśni — dodał kupiec.

— Ja też myślę, że to nic — odrzekła po chwili namysłu Basia — bo żeby co było, toby mój mąż najpierwszy wiedział.

— Nieodmiennie w Chreptiowie najpierw byłaby wiadomość — rzekł Azya — niech się wasza miłość nie boi.

Basia podniosła swą jasną twarz ku Tatarowi i poruszyła nozdrzami.

— Ja się boję! To wyborne! Co waćpanu w głowie? Słyszysz Ewka, ja mam się bać!

Ewka nie mogła odpowiedzieć, bo będąc z natury dość łakomą i lubiąc nad miarę słodycze, usta miała pełne daktylów, co zresztą nie przeszkadzało jej wpatrywać się chciwie w Azyę, więc dopiero przełknąwszy, dodała:

— Przy takim oficyjerze i ja się nic nie boję!

Poczem spojrzała czule i znacząco w oczy Tuchay-beyowicza, lecz on, od czasu, jak mu zaczęła być przeszkodą, miał tylko dla niej tajony wstręt i gniew, więc zachowując nieruchomą postawę, odrzekł ze spuszczonemi oczyma:

— W Raszkowie się pokaże, czylim na ufność zasłużył!

I było w jego głosie coś niemal groźnego. Ale obie niewiasty tak już były przyzwyczajone do tego, że młody Lipek, we wszystkiem, co mówi i czyni, zupełnie odróżnia się od innych, że nie zwróciło to ich uwagi. Zresztą Azya począł zaraz nalegać, by jechano dalej, bo przed Mohilowem były góry strome i do przebycia trudne, które należało przebyć za dnia.

Niebawem ruszono dalej.

Jechali bardzo szybko aż do owych gór. Tam Basia chciała przesiadać się na koń, lecz z namowy Tuchay-beyowicza została dla towarzystwa Ewki w saniach, które wzięto na arkany i z największemi ostrożnościami spuszczano z pochyłości.

Azya przez cały ten czas szedł pieszo przy saniach, lecz nie rozmawiał prawie wcale, ni z Basią, ni z Ewką, cały zajęty ich bezpieczeństwem i wogóle komendą. Słońce zaszło jednakże, nim zdołali przebyć góry, ale wówczas oddział Czeremisów, idący w przodku, począł rozniecać ognie z suchych gałęzi. Posuwali się tedy wśród czerwonych ogni i stojących przy nich dzikich postaci. Za temi postaciami widać było w mroku nocnym i w półświetle płomienia groźne urwiska o niepewnych, strasznych zarysach.

Wszystko to było nowe, ciekawe, wszystko miało pozór jakowejś niebezpiecznej i tajemniczej ekspedycyi, dlatego dusza Basina była w siódmem niebie, a serce wzbierało wdzięcznością i dla męża, że na wyprawę do nieznanych

krain pozwolił, i dla Azyi, że tę wyprawę tak wieść umiał. Teraz dopiero zrozumiała Basia, co to są pochody żołnierskie, o trudnościach, o których tyle się nasłuchała od wojskowych; co drogi przepaściste, a zawrotne. Ogarnęła ją też szalona wesołość. Byłaby z pewnością przesiadła się na dzianeta, gdyby nie to że siedząc koło Ewki, mogła z nią rozmawiać i straszyć ją. Więc gdy w zawrocistych wąwozach idące w przodzie oddziały nikły z oczu i poczynały się obwoływać dzikimi głosami, których przytłumione echo rozbrzmiewało wśród wiszarów, Baśka zwracała się do Ewki i chwytając jej ręce, mówiła:

— Oho! lewensy z odojów, albo orda!

Lecz Ewka, co wspomniała na Azyę, syna Tuchay-beyowego, to uspakajała się natychmiast.

— Jego i lewensy i ordy szanują i boją się go! — odpowiadała.

A później, pochylając się do ucha Basi:

— Choćby do Białogrodu, choćby do Krymu, byle z nim!...

Księżyc wypłynął już wysoko na niebo, gdy wyjeżdżali z gór. Wówczas ujrzeli hen w dole, jakoby na dnie przepaści, kupę światełek.

— Mohilow pod nogami — ozwał się jakiś głos za Basią i Ewką.

Obejrzały się; był to Azya, stojący z tyłu sani.

— To tak na dnie jaru ów gród leży? — pytała Basia.

— Tak jest. Góry całkiem go od zimnych podmuchów zasłaniają — mówił, wsunąwszy głowę między ich głowy — niech wasza miłość zauważy, że tu i aura inna; zaraz cieplej i zaciszniej. Wiosna też tu o dziesięć dni wcześniej przychodzi, niż z tamtej strony gór i drzewa prędzej liści dostają. To szare, co na pochyłościach widać, to winograd, jeno teraz jeszcze pod śniegiem.

Śnieg leżał wszędy, ale istotnie było tu i cieplej i zaciszniej.

W miarę, jak spuszczali się zwolna ku dołowi, jedne światła pokazywały się za drugiemi i było ich coraz więcej.

— Zacne jakieś miasto i dosyć ogromne — odrzekła Ewka.

— Bo go Tatarzy czasu inkursyi chłopskiej nie spalili, gdyż tu wojska kozackie zimowały, a Lachów tu prawie nigdy nie było.

— Któż tu żywie?

— Żywią Tatarzy, którzy swój minarecik drewniany mają, bo w Rzeczypospolitej wolno każdemu swoją wiarę wyznawać. Żywią Włosi, Ormianie i Grecy.

— Greków raz w Kamieńcu widziałam — rzekła Basia — bo chociaż daleko oni mieszkają, ale za handlem wszędy trafią.

— Miasto też inaczej, niż wszystkie inne, stawiane — rzekł Azya. — Siła tu ludu różnego za handlem przychodzi. Ta osada, cośmy ją z daleka na uboczu widzieli, zowie się Serby.

— Już wjeżdżamy — rzekła Basia.

Jakoż wjeżdżali. Dziwny zapach skór i kwasu uderzył zaraz na wstępie ich nozdrza. Był to zapach safianu, którego wyrobem trudnili się po trochu wszyscy mieszkańcy Mohilowa, a w szczególności Ormianie. Jak zapowiedział Azya, było to miasto zupełnie od innych różne. Domy budowane modą azyatycką, miały okna przysłonięte gęstą drewnianą kratą; w wielu brakło zupełnie okien wychodzących na ulicę i tylko z podworców wbijał się blask ognisk. Ulice nie były brukowane, choć przecie kamienia w okolicy nie brakło. Gdzieniegdzie wznosiły się budowle dziwnego kształtu, o ścianach kratowych, przezroczystych. Były to suszarnie, w których świeży winograd zmieniał się na rodzynki. Zapach safianu zapełniał całe miasto.

Pan Gorzeński, dowódzca piechoty, uprzedzony przez Czeremisów o przybyciu pani komendantowej chreptiowskiej, wyjechał konno na jej spotkanie. Był to człowiek niemłody i zająkliwy, a szepleniący, bo twarz miał z janczarki

przestrzeloną, dlatego też, gdy począł, zacinając się co chwila, prawić o gwieździe: „która weszła na mohilowskie niebiosy“ — Basia omal nie parsknęła śmiechem. Ale on podejmował ją, jak umiał najgościnniej. W „fortalicyi“ czekała wieczerza i nocleg arcy-wygodny, w puchach świeżych i czystych, u najbogatszych Ormian w sekwestr wziętych. Przytem pan Gorzeński jąkał się wprawdzie, ale przed nocą opowiadał przy wieczerzy rzeczy tak ciekawe, że warto ich było posłuchać.

Według niego, jakiś niespokojny wiatr powiał naraz nagle a niespodziewanie od stepów. Przyszły posłuchy, że potężny czambuł ordy krymskiej, stojący przy Doroszu, ruszył nagle ku Hasyniowi i w górę od tego miasta, z czambułem zaś poszło na kilka tysięcy kozackiej hassy. Prócz tego nadesłano ni stąd, ni zowąd, wiele innych niepokojących wiadomości, pan Gorzeński nie przywiązywał jednak do nich wielkiej wiary.

— Bo zima jest — mówił — a od czasu, jak Pan Bóg ten oto okrąg ziemski ufundował, Tatarzy ruszali się zawsze jeno na wiosnę, gdyż oni taborów nie mają i komunikiem chodzą, przeto spyży dla koni nigdy nie biorą i brać nie mogą. Wiemy to już wszyscy, że wojnę z potencyą turecką mróz jeno na smyczy trzyma i że po pierwszych trawach będziem mieli gości, ale żeby teraz miało co być, nigdy temu nie uwierzę.

Basia czekała cierpliwie i długo, nim pan Gorzeński swoje wypowie, on zaś zacinał się, poruszając co chwila ustami, jak gdyby coś jadł.

— Co wasza mość tedy o owem poruszeniu się ordy ku Hasyniowi rozumiesz? — spytała wreszcie.

— Rozumiem, że tam, gdzie stali, musiały konie wszystką trawę z pod śniegu wygrzebać, więc chcą w innem miejscu kosz założyć. Przytem być może, że orda, stojąc w pobliżu doroszowych, wadzi się z nimi: zawsze tak bywało. Niby to oni sprzymierzeńcy i wspólnie wojują, a niech tylko siehynie obok zatoczą, to się na pastwiskach i na bazarku zaraz biją.

— Pewnie tak jest — rzekł Azya.

— Bo i co jeszcze — mówił dalej pan Gorzeński — te wieści nie szły directe przez zagończyków, ale to chłopi je przywozili, to Tatarzy tutejsi poczynali gadać ni stąd, ni zowąd. Dopiero trzy dni temu przywiózł pan Jakubowicz ze stepu języków, którzy je potwierdzili i dlatego cała jazda zaraz wyszła.

— To wasza mość tylko z piechotą zostałeś? — pytał Azya.

— Pożal się Boże! Czterdziestu ludzi! Ledwie jest komu fortalicyi ustrzedz i gdyby się tylko Tatarzy ruszyli, którzy tu w Mohilowie mieszkają, nie wiem, jakobym się obronił.

— Ale ci przecie nie ruszą? — spytała Basia.

— Nie ruszą się, bo im nijak. Wielu z nich stale w Rzeczypospolitej zamieszkuje z żonami i dziećmi i ci są nasi, a co jest obcych, to dla handlu tu siedzą, nie dla wojny. To dobry lud.

— Ja waszej mości pięćdziesiąt koni moich Lipków zostawię — rzekł Azya.

— Bóg zapłać! Wielce mi tem waszmość wygodzisz, bo będę miał kogo pod naszą jazdę po wiadomości wysyłać, ale możesz-że zostawić?

— Mogę. Przyjdą do Raszkowa ściahy tych rotmistrzów, którzy swego czasu do sułtana przeszli, a teraz do posłuszeństwa Rzeczypospolitej chcą wrócić. Przyjdzie Kryczyński napewno w trzysta koni, a może i Adurowicz, inni zaś później nadejdą. Nad wszystkimi ja mam z polecenia hetmańskiego objąć komendę i do wiosny cała dywizya się zbierze.

Pan Gorzeński skłonił się Azyi. Znał on go z dawna, ale mniej cenił, jako człowieka niepewnego pochodzenia. Teraz jednak wiedział już, że to jest Tuchay-beyowicz, bo wieść o tem pierwsza karawana przyniosła, ta, w której jechał Nawiragh; więc pan Gorzeński uczcił teraz w młodym Lipku krew wielkiego, choć nieprzyjaznego wojow-

nika, a oprócz tego uczcił w nim i oficera, któremu hetman tak znaczne funkcye powierzał.

Azya zaś wyszedł, aby wydać rozkazy i zawoławszy setnika Dawida, rzekł mu:

— Dawidzie, synu Skanderowy, zostaniesz z pięćdziesięcią koni w Mohilowie i będziesz oczyma patrzył, a uszami słuchał, co się wedle ciebie dzieje. A jakby mały Sokół jakoweś pisma z Chreptiowa za mną wysłał, to posłańca zatrzymasz, pisma mu odejmiesz i przez swojego człowieka mi je przyszlesz. Zostaniesz zaś tu, póki ja rozkazu nie przyszlę, byś wracał; wówczas, jeślić posłaniec powie, że jest noc, to cicho wyjdziesz, a jeślić powie, że dzień blizko, to miasto podpalisz, a sam na multański brzeg przejedziesz i pójdziesz, gdzie ci nakażą...

— Rzekłeś panie! — odpowiedział Dawid — oczyma będę patrzył, a uszami słuchał: posłańców od małego Sokoła zatrzymam i pisma im odjąwszy, tobie je przez naszego człowieka przeszlę. Zostanę, póki rozkazu nie odbiorę, a wówczas, jeśli posłaniec twój powie mi, że noc — spokojnie wyjdę, powie-li, że dzień blizko — to miasto podpalę, sam na multański brzeg przejdę i pójdę, gdzie mi nakażą.

Nazajutrz świtaniem karawana, zmniejszona o pięćdziesiąt koni, ruszyła w dalszą drogę. Pan Gorzeński przeprowadzał Basię aż za mohilowski wądół. Tam, wyjąkawszy pożegnalną oracyę, wrócił do Mohilowa, oni zaś jechali ku Jampolowi bardzo spiesznie.

Azya wesół był nadzwyczajnie i tak gnał ludzi, że aż to zdziwiło Basię.

— Czemu to waćpanu tak pilno? — spytała.

On zaś odrzekł:

— Każdemu do szczęśliwości pilno, moja zaś rozpocznie się w Raszkowie.

Ewka, biorąc te słowa do siebie, uśmiechnęła się czule i zebrawszy odwagę, odrzekła:

— Jeno mój ojciec...

— Pan Nowowiejski w niczem mi nie przeszkodzi — odrzekł Tatar.

I ponura błyskawica przeleciała mu przez twarz.

W Jampolu nie zastano prawie wcale wojska — piechoty tam nie było nigdy, a jazda wyszła wszystka, ledwie kilkunastu ludzi zostało w zameczku, raczej w jego ruinach... Nocleg był przygotowany, ale Basia źle spała, bo ją te wieści poczęły niepokoić. Zwłaszcza rozmyślała o tem, jak niespokojny będzie mały rycerz, jeżeli się okaże, że czambuł doroszeńkowy ruszył istotnie; krzepiła się tylko myślą, że to może nieprawda.

Przychodziło jej do głowy, czyby, wziąwszy dla bezpieczeństwa część Azyowych żołnierzy, lepiej nie wrócić — różne jednak nastręczały się przeszkody. Naprzód Azya, mając wzmocnić załogę raszkowską, mógłby niewielką tylko przydać im straż, więc w razie rzeczywistego niebezpieczeństwa straż ta mogła się okazać niedostateczną; powtóre, dwie trzecie drogi były już uczynione, w Raszkowie zaś był znajomy oficer i silna załoga, która, wzmocniona oddziałem Tuchay-beyowicza i ściahami owych rotmistrzów, do wcale poważnej mogła urosnąć siły. Biorąc to wszystko na uwagę, postanowiła Basia jechać dalej.

Lecz spać nie mogła. Pierwszy raz w czasie tej drogi chwycił ją taki niepokój, jakby zawisło nad nią nieznane niebezpieczeństwo. Być może, że przyczyniał się także do owych niepokojów nocleg w Jampolu, było to bowiem miejsce straszne i krwawe. Basia znała je z opowiadań męża i pana Zagłoby. Tu, czasów Chmielnicczyzny, stała główna siła podolskich rezunów pod Burłajem; tu sprowadzano jeńców i sprzedawano ich na targi wschodnie, lub morzono okrutną śmiercią; tu wreszcie wiosną 1651 roku, podczas tłumnego jarmarku, wpadł pan Stanisław Lanckoroński, wojewoda bracławski i uczynił rzeź straszną, której pamięć świeża była na całem Podniestrzu.

Więc wszędy, nad całą osadą, unosiły się krwawe wspominki, więc tu i owdzie czerniały jeszcze zgliszcza, więc ze ścian pół-zrujnowanego zameczku zdawały się spoglądać

białe twarze porżniętych Kozaków i Polaków. Basia była odważna, ale bała się duchów, mówiono zaś, że w Jampolu samym, przy ujściu Szumiłówki i na poblizkich dniestrowych porohach, co północ słychać płacz wielki i jęki, woda zaś przy księżycu mieni się na czerwono, jakoby krwią zabarwiona. Myśl o tem przepełniała przykrą trwogą Basine serce. Mimowoli nasłuchiwała, czy w ciszy nocnej nie usłyszy wśród porożanego szumu płaczu i jęków. Słychać było tylko przeciągłe „czuwaj-aj“ żołnierzy. Więc przyszła na myśl Basi cicha świetlica chreptiowska, mąż, pan Zagłoba, przyjacielskie twarze pana Nienaszyńca, Muszalskiego, Motowidły, Snitki i innych — i pierwszy raz poczuła, że jest od nich bardzo daleko, w obcej stronie i wzięła ją taka tęsknica za Chreptiowem, że jej się płakać chciało.

Zasnęła nad ranem dopiero, ale miała dziwne sny. Burłaj, rezuny, Tatary, krwawe obrazy rzezi, przesuwały się przez jej senną głowę, a w tych obrazach widziała ciągle twarz Azyi, lecz nie był to ten sam Azya, tylko niby Kozak, niby dziki Tatar, niby sam Tuchay-bey.

Wstała rano, rada, że się skończyła noc i przykre widziadła. Pozostałą drogę postanowiła odbywać na dzianecie, raz dlatego, żeby ruchu zażyć, powtóre, żeby dać sposobność do swobodnej rozmowy Azyi i Ewce, którzy, ze względu na blizkość Raszkowa, potrzebowali zapewne się naradzić, jakim sposobem oznajmić wszystko staremu panu Nowowiejskiemu i pozwolenie onego uzyskać? Azya, podawszy jej własną ręką strzemię, sam nie siadł jednak do sanek z Ewką, ale zrazu wyjechał na czoło oddziału, potem trzymał się w pobliżu Basi.

Ona zaś, spostrzegłszy natychmiast, że jadą znów w szczuplejszej liczbie, niźli przyjechali do Jampola, zwróciła się do młodego Tatara i rzekła:

— Widzę, żeś waćpan i w Jampolu część swoich ludzi ostawił?

— Pięćdziesiąt koni, tak samo, jak i w Mohilowie — odrzekł Azya.

— Na cóż to?

On uśmiechnął się osobliwie; wargi jego podniosły się tak, jak u złego psa, który pokazuje zęby — i po chwili dopiero odpowiedział:

— Bo chcę te komendy mieć w mojej mocy i drogę powrotną waszej miłości zabezpieczyć.

— Jeśli wojska wrócą ze stepów, to i tak tam siła będzie?

— Wojska tak prędko nie wrócą.

— Skąd waćpan wiesz?

— Bo się pierwej muszą dobrze upewnić, co się u Dorosza dzieje, a to im ze trzy, albo cztery niedziele zabierze.

— Jeśli tak, toś dobrze uczynił, ludzi owych zostawując.

Jechali czas jakiś w milczeniu. Azya spoglądał co chwila na różową twarz Basi, nawpół zakrytą przez podniesiony kołnierz delijki i kołpaczek, a za każdem spojrzeniem przymykał oczy, jakby chciał lepiej sobie wrazić w pamięć wdzięczny jej wizerunek.

— Waćpan powinieneś się rozmówić z Ewką — rzekła — wszczynając na nowo rozmowę, Basia. — Waćpan zgoła za mało z nią rozmawiasz, aż jej dziwno to bywa. Nie długo przed obliczem pana Nowowiejskiego staniecie... Mnie samą niepokój chwyta... Powinniście się naradzić, jak sobie począć?

— Ja najpierw z waszą miłością chciałbym się rozmówić — odrzekł dziwnym głosem Azya.

— To czemuż waść nie zaczynasz?...

— Bo czekam na posłańca z Raszkowa... Myślałem, że go już w Jampolu znajdę. Co chwila go wyglądam.

— A co ma posłaniec do rozmowy?

— Myślę, że owo on jedzie! — odrzekł, unikając odpowiedzi, młody Tatar.

I skoczył naprzód, lecz po chwili wrócił:

— Nie! to nie on! — rzekł.

W całej jego postaci, w mowie, w spojrzeniu, w głosie, było coś tak niespokojnego i gorączkowego, że ów niepokój

udzielił się Basi. Najmniejsze jednak podejrzenie nie powstało w jej głowie. Niepokój Azyi dał się doskonale wytłómaczyć blizkością Raszkowa i groźnego ojca Ewki, jednakże Basi było czegoś tak ciężko, jakby o jej własne losy chodziło.

Zbliżywszy się do sani, przez kilka godzin jechała w pobliżu Ewki, rozmawiając z nią o Raszkowie, o starym i młodym panu Nowowiejskim, o Zosi Boskiej, wreszcie o okolicy, która stawała się coraz dzikszą i straszniejszą pustynią. Była ona po prawdzie pustynią zaraz za Chreptiowem, ale tam przynajmniej od czasu do czasu podnosił się na widnokręgu słup dymu, oznajmujący jakiś chutor, jakąś osadę ludzką. Tu nie było nigdzie śladów człowieka i gdyby Baśka nie wiedziała, że jedzie do Raszkowa, gdzie żyją ludzie i stoi załoga polska, mogłaby mniemać, że wiodą ją gdzieś w nieznane pustynie, do cudzych ziem, na kraniec świata.

Rozglądając się po okolicy, wstrzymywała mimowoli konia i wkrótce została w tyle za saniami i oddziałem. Azya przyłączył się do niej po chwili, a że okolicę znał dobrze, więc jął jej wskazywać rozmaite miejsca, wymieniając ich nazwy.

Nie trwało to jednak długo, bo ziemia poczęła dymić. Zima nie miała widocznie w tej południowej stronie tej, co w lesistym Chreptiowie, mocy. Leżało wprawdzie nieco śniegu w wądołach, rozpadlinach, na krawędziach skał, a także i na obróconych ku północy upłazach wzgórz, ale wogóle ziemia nie była nim pokryta i czerniała haszczami, lub połyskiwała wilgotną, zwiędłą trawą.

Z tych traw podnosił się lekki, białawy opar i rozciągał się tuż przy ziemi, czyniąc w dalekościach podobieństwo wielkich wód, wypełniających doliny i szeroko rozlanych po równinach, następnie opar ów podnosił się coraz wyżej ku górze, zakrywając blask słoneczny i zmieniając pogodny dzień na mglisty i posępny.

— Jutro deszcz będzie — rzekł Azya.

— Byle nie dziś. Jak daleko jeszcze do Raszkowa?

Tuchay-beyowicz popatrzył na najbliższą, zaledwie widną już wśród mgły, okolicę i odrzekł:

— Stąd już bliżej do Raszkowa, niż z powrotem do Jampola.

I odetchnął głęboko, jak gdyby wielki ciężar spadł mu z piersi.

W tej chwili tętent konia rozległ się od strony oddziału i jakiś jeździec zamajaczył w tumanie.

— Halim! Poznaję go! — zawołał Azya.

Rzeczywiście był to Halim, który, dopadłszy Azyi i Basi, zeskoczył z bachmata i począł bić czołem w strzemię młodego Tatara.

— Z Raszkowa? — spytał Azya.

— Z Raszkowa, panie mój! — odpowiedział Halim.

— Co tam słychać?

Stary podniósł szpetną, wychudzoną od niesłychanych trudów głowę ku Basi, jakby chciał spytać, czy może przy niej mówić, lecz Tuchay-beyowicz rzekł zaraz:

— Mów śmiele! Wojska wyszły?

— Tak jest, panie. Garść została.

— Kto powiódł?

— Pan Nowowiejski.

— Piotrowicze zaś wyjechali do Krymu?

— Już dawno. Ostały tylko dwie niewiasty i stary pan Nowowiejski z niemi.

— Gdzie Kryczyński?

— Na drugiej stronie rzeki. Czeka!

— Kto z nim jest?

— Jest Adurowicz ze swoim ściahem. Obaj ci głową do strzemienia biją, synu Tuchay-beyowy i pod rękę twoją się oddają — oni — i wszyscy, którzy jeszcze nie nadążyli.

— Dobrze! — rzekł z ogniem w oczach Azya. — Leć do Kryczyńskiego natychmiast i każ im, by zajmowali Raszków.

— Wola twoja, panie!

Po chwili Halim skoczył na konia i zniknął, jak widmo, w tumanie...

Straszny i złowrogi blask bił od twarzy Azyi. Chwila stanowcza, chwila oczekiwana, chwila największego dla niego szczęścia — nadeszła... Serce biło mu jednak tak, że tchu mu brakło... Czas jakiś jechał w milczeniu koło Basi i dopiero, gdy poczuł, że głos go nie zawiedzie, zwrócił ku niej oczy niezgłębione, a świetliste i rzekł:

— Teraz mi rozmówić się szczerze z waszą miłością...

— Słucham — odrzekła Basia, patrząc na niego pilnie, jak gdyby chciała czytać w jego zmienionej twarzy.

ROZDZIAŁ IX.

Azya przysunął swego konia do dzianeta Basi tak blizko, że niemal strzemieniem dotknął jej strzemienia i jeszcze kilkanaście kroków jechał w milczeniu. Przez ten czas starał się uspokoić do reszty i dziwił się, dlaczego ten spokój z takim wysiłkiem mu przychodzi, skoro Basię miał w ręku, skoro nie było już żadnej siły ludzkiej, która zdołałaby była mu ją odjąć.

Ale on sam nie wiedział, że w duszy jego, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu i mimo przeciwnej oczywistości, tliła jakaś iskra nadziei, że pożądana niewiasta odpowie mu wzajemnością. Jeśli zaś ta nadzieja była słaba, to natomiast pragnienie, aby to się stało, było tak silne, że potrząsało nim, jak febra.

Nie otworzy ta pożądana rąk, nie rzuci mu się w ramiona, nie powie tych słów, o których śnił po nocach całych: „Azya, jam twoja!“ — nie zawiśnie ustami na jego ustach — o tem wiedział... Ale jak przyjmie jego słowa? Co powie? Czy straci uczucie wszelkie, jak gołąb w pazurach drapieżnika i pozwoli mu się tak chwycić, jak właśnie gołąb bezradny oddaje się jastrzębowi? Czy będzie żebrać o miłosierdzie łzami, czy krzykiem przestrachu napełni tę pustynię? Czy stanie się od tego wszystkiego coś

więcej, czy coś mniej?... Takie pytania wichrzyły się w głowie Tatara.

A przecież przyszedł czas, w którym trzeba odrzucić udawanie, pozory i pokazać jej prawdziwą, straszną twarz... Ot, strach! ot, niepokój! ot, chwila jeszcze — i spełni się wszystko!

Wreszcie jednak ta duszna trwoga poczęła zmieniać się w Tatarze w to, w co zmienia się najczęściej trwoga dzikiego zwierzęcia, to jest we wściekłość... I począł się sam podniecać tą wściekłością.

— Cokolwiek się stanie — pomyślał — ona moja, moja cała jest i moja będzie dziś jeszcze i moja będzie jutro, a potem już nie wrócić jej do męża, jeno iść za mną...

Na tę myśl dzika radość porwała go za włosy i nagle odezwał się głosem, który jemu samemu wydał się obcy:

— Wasza miłość nie znała mnie dotąd!...

— W tej mgle tak się waści głos zmienił — odrzekła nieco niespokojnie Basia — — iż istotnie zdaje mi się, że kto inny mówi.

— W Mohilowie wojsk niema, w Jampolu niema, w Raszkowie niema! Ja tu jeden pan!... Kryczyński, Adurowicz i owi inni, raby moje, bo ja kniazia, ja władyki syn — ja im wezyr, ja im murza najwyższy, ja im wódz, jako Tuchay-bey był wódz — ja im chan, ja jeden mam siłę, wszystko tu w mocy mojej...

— Czemu zaś waćpan to mówisz?

— Wasza miłość nie znała mnie dotąd... Raszków niedaleko... Ja chciał hetmanem tatarskim być i Rzeczypospolitej służyć, ale pan Sobieski nie dozwolił... Nie być mi dłużej Lipkiem, nie służyć pod niczyją komendą, jeno samemu wielkie czambuły wodzić, na Dorosza, albo na Rzeczpospolitą, jak wasza miłość chcesz, jak wasza miłość rozkażesz!...

— Jak ja rozkażę?... Azya! co z tobą?...

— To ze mną, że tu wszyscy moje raby, a jam twój rab! Co mnie hetman! Pozwolił, czy nie pozwolił! Słowo,

wasza miłość rzeknij, a ja waszej miłości Akerman pod nogi położę i Dobruczę położę — i te ordy, które tu ałusy mają — i te, które w Dzikich Polach koczują — i te, co wszędy tu w zimownicach leżą, będą raby twoje, jako ja twój rab!... Każesz — chana krymskiego nie usłucham i sułtana nie usłucham i mieczem ich będę wojował i pomoc Rzeczypospolitej dam i nową ordę w tych stronach założę, a nad nią ja będę chanem, a nade mną ty będziesz jedna, tobie jednej będę pokłony bił, twojej łaski i zmiłowania prosił!

To rzekłszy, przechylił się na kulbace i porwawszy wpół przerażoną i jakby ogłuszoną słowami jego niewiastę, tak dalej mówił prędkim, chrapliwym głosem:

— Zaliś nie widziała, żem ja cię jedną miłował!... A nacierpiał się!... Ja cię i tak wezmę!... Ty moja już i będziesz moja!... Nikt cię tu nie wyrwie z moich rąk! Ty moja! ty moja! ty moja!

— Jezus, Marya! — zawołała Basia.

Lecz on ją cisnął tak w ramionach, jakby chciał zadławić...

Krótki oddech wydobywał się z jego warg, oczy zachodziły mgłą, wreszcie wywlókł ją ze strzemion, z kulbaki i wziął przed siebie, cisnąc jej piersi do swoich i sinawe wargi jego, otwierając się łakomie, jak usta ryby, poczęły szukać jej ust.

Ona nie wydała okrzyku, lecz poczęła się opierać z niespodziewaną siłą.

Zaczęła się między niemi walka, w której słychać było tylko zdyszane ich oddechy. Gwałtowne ruchy i blizkość jego twarzy wróciły jej przytomność. Przyszła na nią chwila takiego jasnowidzenia jaka przychodzi na tonących. Od razu, z największą jasnością, odczuła wszystko. Więc naprzód, że ziemia zarwała się pod jej nogami i otworzyła się w jar bezdenny, do którego on ją ciągnął koniecznie; ujrzała jego miłość, jego zdradę, swój straszny los, swoją niemoc i bezradność, odczuła trwogę, odczuła okropną boleść i żal —

i jednocześnie buchnął w niej płomień niezmierzonego oburzenia i wściekłości i zemsty.

Taka była dzielność tej duszy rycerskiego dziecka, tej wybranej żony najdzielniejszego w Rzeczypospolitej rycerza, że w tej oto strasznej chwili pomyślała naprzód: „Pomścić się!“ potem dopiero: „Ratować się!“ Wszystkie władze jej umysłu naprężyły się, tak jak włos napręża się z przerażenia na głowie i ta jasność widzenia tonących stała się w niej niemal cudowną. Ręce wśród szarpaniny poczęły szukać przy nim broni i trafiły wreszcie na kościany łeb wschodniego pistoletu; ale jednocześnie miała przytomność pomyśleć i o tem, że choćby pistolet był nabity, choćby zdołała odwieść skałkę, nim przegnie dłoń, nim skieruje lufę ku jego głowie, on chwyci niechybnie jej rękę i odbierze jej ostatni sposób ratunku — więc postanowiła uderzyć inaczej.

Trwało to wszystko jedno mgnienie oka. On istotnie przewidział zamach i wyciągnął dłoń tak szybko, jak migoce błyskawica, ale nie zdołał obrachować jej ruchu, to też ręce ich minęły się i Basia z całą rozpaczliwą siłą swej młodej i dzielnej pięści uderzyła go, jak gromem, kościaną głownią pistoletu między oczy.

Cios był tak straszny, że Azya nie zdołał nawet krzyknąć i padł na wznak, pociągając ją za sobą w upadku.

Basia podniosła się w jednej chwili i skoczywszy na swego dzianeta, pomknęła, jak wicher, w przeciwną stronę od Dniestru, ku szerokim stepom.

Zasłona mgły zamknęła się za nią. Dzianet, stuliwszy uszy, biegł naoślep wśród skał, rozpadlin, jarów, wyrw. Lada chwila mógł runąć w jaką szczelinę, lada chwila mógł rozbić siebie i jeźdźca o skaliste rogi, lecz Basia nie zważała już na nic; najstraszniejszem niebezpieczeństwem byli dla niej Lipkowie i Azya... Dziwna rzecz! Teraz, gdy uwolniła się z rąk drapieżnika i gdy ów leżał prawdopodobnie martwy wśród skał, nad wszystkiemi jej uczuciami zapanowała trwoga.

Leżąc twarzą na grzywie dzianeta, mknąc w tumanie,

jak sarna, ścigana przez wilki, teraz poczęła się bać Azyi więcej, niż w tej chwili, gdy była w jego objęciach — i czuła strach i czuła niemoc i czuła to, co czuje dziecko słabe, zabłąkane na woli Bożej samotne i opuszczone. Jakieś głosy płaczące wstały w jej sercu i poczęły z jękiem, z bojaźnią, ze skargą i żałością wzywać opieki:

— Michale, ratuj!... Michale, ratuj!...

A dzianet mknął i mknął; cudownym wiedzion instynktem, przeskakiwał wyrwy, omijał gibkim ruchem wyskakujące kanty skał, aż wreszcie kamienny pokład przestał dzwonić pod jego kopytami: widocznie wpadł na jeden z tych otwartych „ługów", które tu i owdzie ciągnęły się między jarami.

Pot go okrywał; nozdrza poczęły oddychać głośno, lecz biegł i biegł.

— Dokąd uciekać? — pomyślała Basia.

I w tej chwili odpowiedziała sobie:

— Do Chreptiowa!

Lecz nowa trwoga ścisnęła jej serce na myśl o tej dalekiej, przez straszne pustynie wiodącej drodze. Natychmiast też przypomniało się jej, że Azya pozostawiał oddziały Lipków w Mohilowie i Jampolu. Niezawodnie wszyscy Lipkowie byli zmówieni; wszyscy służyli Azyi, a zatem schwytaliby ją niechybnie i odwieźli do Raszkowa; należało zatem zapuścić się głęboko w step i dopiero obrócić na północ, omijając naddniestrzańskie osady.

Należało postąpić tak, tem bardziej, że jeśli będzie pościg, pójdzie niezawodnie brzegiem, a tymczasem na szerokich stepach można będzie spotkać którą z polskich komend, wracającą do fortalicyi.

Bieg dzianeta wolniał stopniowo. Basia, będąc doświadczonym jeźdźcem, zrozumiała natychmiast, że trzeba dać mu czas wytchnienia, inaczej padnie. A czuła i to, że jeśli zostanie wśród tych pustyń bez konia, to jest zgubiona.

Wstrzymała więc bieg i czas jakiś jechała stępą. Mgła rzedła, ale z biednego dzianeta podnosiła się chmurą gorąca para.

Basia poczęła się modlić.

Nagle rżenie końskie ozwało się wśród mgły o kilkaset kroków za nią.

Wówczas włosy zjeżyły się jej na głowie.

— Mój padnie, ale i tamte padną! — rzekła głośno.

I znów pomknęła.

Czas jakiś dzianet biegł lotem gołębia, ściganego przez raroga i biegł znów długo, prawie do ostatka sił, lecz rżenie odzywało się ciągle za nim w oddali. Było w tem rżeniu, dochodzącem z tumanu, coś zarazem niezmiernie tęsknego i groźnego.

Jednakże, po pierwszej chwili trwogi, przyszło Basi na myśl, że gdyby na tym ścigającym ją koniu siedział ktokolwiek, toby ów koń nie rżał, bo jeździec, nie chcąc zdradzać pościgu, zahamowałby rżenie.

— Nie może być, tylko to bachmat Azyi bieży za moim — pomyślała Basia.

Dla ostrożności wyciągnęła obie krócice z olster, lecz była to zbytnia ostrożność.

Po chwili zaczerniało coś w rzednącej mgle i bachmat Azyowy nadbiegł z rozdętemi chrapami. Ujrzawszy dzianeta, począł zbliżać się ku niemu w podskokach, wydając krótkie i urywane rżenie, a dzianet odpowiedział mu natychmiast.

— Łosz! łosz! — zawołała Basia.

Zwierz, przyuczony do ręki ludzkiej, zbliżył się i pozwolił schwytać się za uzdę. Basia podniosła oczy ku niebu i rzekła:

— Opieka Boska!

Rzeczywiście, schwytanie Azyowego rumaka, było dla niej okolicznością ze wszech miar pomyślną.

Naprzód dwa najlepsze z całego oddziału rumaki były w jej ręku; powtóre miała konia do zmiany, po trzecie nakoniec, obecność jego upewniała ją, że pościg nie prędko wyjdzie. Gdyby bachmat pobieżał był za całym oddziałem, Lipkowie, zaniepokojeni jego widokiem, niechybnie wróciliby natychmiast szukać swego wodza; obecnie zaś było do

przewidzenia, że do głowy im nie przyjdzie, by cośkolwiek mogło się przygodzić Azyi i że wyruszą na poszukiwania dopiero wtedy, gdy zaniepokoją się zbyt długą jego nieobecnością.

— A wówczas ja będę już daleko! — dokończyła w myśli Basia.

Tu przypomniało się jej po raz wtóry, że oddziały Azyowe stoją w Jampolu i Mohilowie.

— Trzeba mijać szerokim stepem i nie zbliżać się do rzeki wpierw, aż się w okolicy Chreptiowa znajdę. Chytrze ten straszny człek pozastawiał obieże, ale mnie Bóg z nich wyratuje!

Tak pomyślawszy, nabrała ducha i poczęła czynić przygotowania do dalszej drogi.

Przy terlicy Azyowej znalazła muszkiet, róg z prochem, worek z kulami i worek z siemieniem konopnem, które Tatar miał zwyczaj gryźć ustawicznie. Basia, przykrócając strzemiona bachmata na miarę swej nogi, pomyślała sobie, że przez całą drogę będzie się żywić, jako ptak, tem siemieniem i zachowała je starannie przy sobie.

Postanowiła omijać ludzi, chutory, bo na tych pustyniach od każdego człeka złego raczej, niż dobrego, można było się spodziewać. Serce jej ściskała obawa, czem będzie konie karmić? Same one będą wygrzebywać trawę z pod śniegu i wyskubywać mchy ze szczelin skalistych, ale nuż padną od złej trawy i uciążliwych pochodów? Przecie nie mogła ich oszczędzać...

Druga obawa była, czy się nie zabłąka w pustyni? Łatwo było nie zbłądzić, jadąc brzegiem dniestrowym, ale tej drogi nie mogła obrać. Co będzie, gdy wyjedzie w puszcze mroczne, ogromne, a bezdrożne? jak pozna, czy się kieruje na północ, czy w inną stronę, jeśli przyjdą dnie mgliste, bezsłoneczne i noce bez gwiazd? Że puszcze roiły się od dzikiego zwierza, mniej o to dbała, mając odwagę w dzielnem sercu — i broń. Wilki, chodzące gromadnie, mogły być wprawdzie niebezpieczne, ale wogóle

więcej się obawiała ludzi, niż zwierząt, a najbardziej zbłąkania.

— Ha! Bóg mi drogę wskaże i do Michała wrócić pozwoli — rzekła Basia.

I przeżegnawszy się, otarła rękawem twarz z wilgoci, która ziębiła jej pobladłe policzki, bystremi oczyma rozejrzała się po okolicy i wypuściła konie w skok.

ROZDZIAŁ X.

Tuchay-beyowicza nikt nie myślał szukać, więc leżał w pustkowiu, póki sam nie oprzytomniał.

Oprzytomniawszy, siadł i pragnąc zrozumieć, co się z nim dzieje, począł oglądać się po okolicy.

Ale widział ją, jakoby w mroku; następnie poznał, że widzi tylko jednem okiem i to źle. Drugie było wybite, albo zalane krwią.

Azya podniósł ręce do twarzy. Palce jego trafiły na sople krwi, okrzepłej na wąsach; usta miał także pełne krwi, która go dławiła, tak, że musiał charkać i odpluwać ją kilkakrotnie; straszliwy ból przeszywał mu przy owem spluwaniu twarz; posunął palec ku górze od wąsów, ale odjął je natychmiast z jękiem boleści.

Uderzenie Basi zmiażdżyło mu górną część nosa i nadwerężyło kość w policzku.

Chwilę przesiedział bez ruchu; następnie tem okiem, w którem pozostało mu nieco światła, począł rozglądać się dokoła, a ujrzawszy w szczelinie pasmo śniegu, przyczołgał się do niego i chwyciwszy go pełną garść, przyłożył do swej rozbitej twarzy.

Przyniosło mu to natychmiast wielką ulgę, więc gdy śnieg, topniejąc, spływał różowymi strumieniami na jego wąsy, znów go nabierał w garść i znów przykładał. Prócz tego począł go jeść chciwie i to również przynosiło mu ulgę. Po pewnym czasie ów ciężar niezmierny, który czuł na

swojej głowie, stał się o tyle lżejszy, że Azya przypomniał sobie wszystko, co się stało.

Ale w pierwszej chwili nie odczuł ni wściekłości, ni gniewu, ni rozpaczy. Ból cielesny zgłuszył wszystkie inne uczucia i pozostawił tylko jedną chęć — chęć prędkiego ratunku.

Azya, zjadłszy jeszcze kilka przygarści śniegu, począł oglądać się za koniem: konia nie było; wówczas zrozumiał, że jeśli nie zechce czekać, aż Lipkowie po niego przyjadą, to musi iść piechotą.

Więc, oparłszy się rękoma o ziemię, próbował wstać, ale tylko zawył z bólu i siadł.

Przesiedział może z godzinę i znów jął czynić usiłowania! Tym razem udało mu się o tyle, że wstał i oparty plecami o skałę, zdołał utrzymać się na nogach; ale gdy pomyślał, że trzeba opuścić podporę i dać krok, potem drugi i trzeci w pustą przestrzeń, poczucie niemocy i strachu owładło nim tak silnie, że omal nie siadł znowu.

Jednakże się przemógł i wydobywszy szablę, wsparł się na niej i posunął się naprzód. Szło. Po kilku krokach uczuł, że nogi jego i całe ciało są silne, że włada niemi doskonale, tylko głowa jest jakby nie jego i nakształt olbrzymiej wagi chwieje mu się to w prawo, to w lewo — to w tył, to naprzód. Miał także poczucie, jakby tę głowę, zbyt ciężką i chwiejną, niósł z największą ostrożnością i nadzwyczajną obawą, aby jej nie uronić na kamienie i nie rozbić.

Czasem też ta głowa zawracała nim całym, jakby jej na tem zależało, by chodził w kółko. Chwilami czyniło mu się ciemno w jedynem oku; wówczas podpierał się obu rękoma na szabli.

Lecz zawrót głowy przechodził zwolna — natomiast ból wzrastał ciągle — i wiercił tak w czole, w oczach, w całej głowie, aż skowytanie wydobywało się z piersi Azyi.

Echa skał powtarzały jego jęki i szedł wśród tej pu-

styni, krwawy, straszny, do upiora, niż do człowieka, podobniejszy.

Mroczyło się już, gdy usłyszał przed sobą tętent konia. Był to dziesiętnik lipkowski, który przyjeżdżał po rozkazy.

Tego wieczora Azya znalazł jeszcze tyle siły, że pościg zarządził, ale zaraz potem legł na skóry i przez trzy dni następne nikogo widzieć nie mógł, prócz Greka cyrulika, który mu rany opatrywał i Halima, któren cyrulikowi pomagał.

Dopiero czwartego dnia odzyskał mowę, a z nią i świadomość tego, co zaszło.

I zaraz gorączkowa myśl jego pobiegła za Basią. Widział ją biegnącą przez skały i pustynie; wydawała mu się ptakiem, który odlatywał raz na zawsze; widział ją przybywającą do Chreptiowa; widział ją w objęciach męża i na ów widok porywał go ból sroższy, niż od rany, a razem z bólem żal, a z żalem srom poniesionej klęski.

— Uciekła, uciekła! — powtarzał ustawicznie i wściekłość dławiła go tak, że chwilami przytomność zdawała się go znów opuszczać.

— Gorze! — odpowiadał Halimowi, gdy ten starał się go uspokajać i zapewniał, że Basia przed pościgiem ujść nie może — i kopał nogami skóry, któremi stary Tatar go okrywał i nożem groził jemu i Grekowi — i wył, jak dziki zwierz — i zrywał się, chcąc sam lecieć, dognać ją, schwytać, a potem z gniewu i dzikiej miłości zadusić własnemi rękoma.

Chwilami bredził w gorączce: więc wołał na Halima, by mu przynosił co prędzej głowę małego rycerza, a żonę jego związaną zamknął obok w komorze. Czasem rozmawiał z nią, prosił, groził; czasem wyciągał ramiona, by ją przygarnąć; wreszcie zapadł w głęboki sen i spał dobę całą. Natomiast, gdy się rozbudził, gorączka opuściła go zupełnie i mógł widzieć się z Kryczyńskim i Adurowiczem.

Im zaś było pilno do tego, bo nie wiedzieli, co począć. Wojska, które wyszły pod młodym Nowowiejskim, nie miały wprawdzie wrócić przed dwoma tygodniami, ale jakiś niespodziewany wypadek mógł przyspieszyć ich powrót, a wówczas należało wiedzieć, jak się zachować.

Wprawdzie Kryczyński i Adurowicz pozornie tylko chcieli wrócić w służbę Rzeczypospolitej, ale Azya prowadził całą sprawę; on jeden mógł im dać wskazówki, co mają na razie czynić; on jeden mógł objaśnić, po której stronie była większa korzyść, czy zaraz wrócić na sułtańską ziemię, czy też udawać i jak długo udawać, że służą Rzeczypospolitej? Obaj oni wiedzieli dobrze, że koniec końcem i Azya chce zdradzić Rzeczpospolitą, ale przypuszczali, że z ujawnieniem zdrady każe im czekać do wojny, by zdradzić jak najskuteczniej.

Wskazówki jego miały być przytem dla nich rozkazem, bo im się narzucił na wodza, jako głowa całej sprawy, najchytrzejszy, najbardziej wpływowy, wreszcie jako Tuchay-beyowicz, sławnego między wszystkiemi ordami witezia syn.

Skwapliwie też stanęli przy jego łożu i bili mu pokłony, on zaś witał ich osłabiony jeszcze, z przewiązaną twarzą i jednem okiem, ale już zdrów zupełnie. I zaraz na wstępie rzekł im:

— Chory jestem. Niewiasta, którą chciałem porwać i sobie zachować, wyrwała się z rąk moich, głownią od pistoletu mnie zraniwszy. Komendanta Wołodyjowskiego to była żona... oby zaraza spadła na niego i cały jego ród!...

— Niech tak będzie, jak rzekłeś! — odpowiedzieli dwaj rotmistrzowie.

— Niech Bóg da wam, wiernym, szczęście i pomyślność!...

— I tobie, panie!

Poczem jęli zaraz rozmawiać o tem, co im czynić należy.

— Nie można zwłóczyć, ani sułtańskiej służby aż do

wojny odkładać — rzekł Azya — bo już po tem, co się z niewiastą ową zdarzyło, oni nam ufać nie będą i szablami na nas uderzą. Ale nim oni uderzą, my na miasto uderzmy i spalmy je na chwałę Bogu! A ową garść żołnierzy, która tu została, w jassyr weźmiem, a mieszkańców, którzy są Rzeczypospolitej poddani, także w jassyr weźmiem, a dobrem Wołochów, Ormian i Greków się podzielim i za Dniestr pójdziem, w sułtańskie ziemie.

Kryczyńskiemu i Adurowiczowi, którzy, koczując już od dłuższego czasu wśród najdzikszej ordy i grabiąc razem z nią, zdziczeli zupełnie, oczy się zaświeciły.

— Dzięki tobie, panie — rzekł Kryczyński — puszczono nas do tego miasta, które Bóg nam teraz wydaje!...

— Nowowiejski nie czynił wam wstrętu? — pytał Azya.

— Nowowiejski wiedział, że do Rzeczypospolitej przechodzimy i wiedział, że ty nadchodzisz, aby się z nami połączyć, więc nas uważał za swoich, jako ciebie za swego uważa.

— Myśmy stali po multańskiej stronie — wtrącił Adurowicz — ale obaj z Kryczyńskim jeździliśmy do niego w gości, a on nas, jako szlachtę, podejmował, bo mówił tak: teraźniejszym uczynkiem dawny grzech zgładzacie, a że hetman wam za Azyowem poręczeniem przebacza, przeto i mnie się na was boczyć nie godzi. Chciał nawet, abyśmy w mieście stanęli, aleśmy rzekli: „Nie uczynim tego, nim Azya Tuchay-beyowicz pozwoleństwo hetmańskie nam przyniesie“... Wszelako, gdy odchodził, jeszcze nam ucztę wyprawił i prosił, byśmy nad miastem czuwali...

— Na owej uczcie — dodał Kryczyński — widzieliśmy ojca jego i staruchę, która męża z jassyru wygląda i tę pannę, z którą się Nowowiejski żenić zamyśla.

— A! — rzekł Azya — jeszczem nie pomyślał, że oni tu są wszyscy... A pannę Nowowiejską ja przywiozłem!...

I zaklaskał w dłonie, gdy zaś Halim ukazał się natychmiast, rzekł mu:

— Niech moi Lipkowie, skoro płomień w mieście zobaczą, zaraz na tych żołnierzy, którzy tu są w fortalicyi, uderzą i gardła im popodrzynają; niewiasty zaś i starego szlachcica niech zwiążą i strzegą, póki rozkazu nie wydam.

To rzekłszy, zwrócił się do Kryczyńskiego i Aduro wicza:

— Sam nie pomogę, bom słaby, ale siądę na koń i choć popatrzę, a wy towarzysze mili poczynajcie, poczynajcie!

Kryczyński i Adurowicz rzucili się natychmiast we drzwi, on zaś wyszedł za nimi i kazawszy sobie konia podać, pojechał do częstokołu spoglądać z bramy wysokiej fortalicyi na to, co się w mieście dziać będzie.

Wielu Lipków poczęło się także wdzierać na wał przez częstokoły, aby oczy swe widokiem rzezi nasycić. Ci żołnierze Nowowiejskiego, którzy w step nie wyszli, widząc gromadzących się Lipków i sądząc, że jest coś do widzenia w mieście, pomieszali się zaraz z nimi, bez cienia trwogi, lub podejrzenia. Zresztą było tych piechurów zaledwie dwudziestu, reszta była w mieście, w szynkach.

Tymczasem ściahy Adurowicza i Kryczyńskiego rozsypały się w mgnieniu oka po miasteczku. Byli w tych ściahach niemal wyłącznie Lipkowie i Czeremisy, zatem dawniejsi mieszkańcy Rzeczypospolitej, po większej części szlachta, ale że dawno już granice jej opuścili, więc przez ten czas tułaczki stali się wielce do dzikich Tatarów podobni. Dawniejsze żupany ich zdarły się, powszechnie więc byli przybrani w tołuby baranie, wełną do góry, nałożone na nagie, zawiędłe od wichrów stepowych i dymu ognisk ciała; broń ich była jednak lepsza od broni dzikich Tatarów, wszyscy mieli szable, wszyscy łuki w ogniu prażone, a wielu samopały. Twarze ich natomiast wyobrażały toż samo okrucieństwo i żądzę krwi, co twarze ich dobruckich, białogrodzkich, lub krymskich współbraci.

Teraz, rozsypawszy się po miasteczku, poczęli je przebiegać w różnych kierunkach, krzycząc przeraźliwie, jak gdyby tymi okrzykami pragnąc się wzajemnie zachęcić i podniecić do mordów i grabieży.

Ale mimo, iż wielu powkładało już, obyczajem tatarskim, noże w usta, ludność miejscowa, złożona, jak i w Jampolu, z Wołochów, Ormian, Greków i częścią z Tatarów-kupców, patrzyła na nich bez żadnej nieufności. Sklepy były pootwierane; kupcy siedzieli przed sklepami po turecku, na ławach, przesuwając paciorki różańców.

Krzyki Lipków sprawiły tylko to, że patrzono na nich ciekawiej, w przypuszczeniu, iż igrzysko jakoweś sobie wyprawiają.

Nagle jednak na rogach rynku podniosły się dymy i z ust wszystkich Lipków zabrzmiało wycie tak okropne, że blady przestrach ogarnął Wołochów, Ormian i Greków, wszystkie ich niewiasty i dzieci.

Naraz i ulewa strzał lunęła na spokojnych mieszkańców. Krzyki ich, huk zamykanych na prędce drzwi i okiennic, pomieszały się z tętentem koni i wyciem grabieżników.

Rynek zawlókł się dymami. Podniosły się głosy: „Gore! gore!“ Jednocześnie poczęto odbijać sklepy, domy, wywlóczyć za włosy przerażone niewiasty, wyrzucać na ulicę statki, safiany, towary sklepowe, pościel, z której pióra podniosły się zaraz obłokiem ku górze — rozległy się jęki wyrzynanych mężów, lament, wycia psów, ryk bydła, które pożar ogarniał w tylnych zabudowaniach; czerwone języki ognia, widne nawet w dzień na tle czarnych kłębów dymu, strzelały coraz wyżej ku niebu.

W fortalicyi zaś Azyowi jeźdźcy rzucili się zaraz na początku rzezi na bezbronnych po większej części piechurów.

Nie było tam prawie walki; kilkanaście noży pogrążyło się niespodzianie w każdej polskiej piersi; potem poobcinano głowy nieszczęsnym i znieslono je do kopyt Azyowego konia.

Tuchay-beyowicz pozwolił większej części Lipków iść połączyć się w krwawej robocie ze współbraćmi; sam stał i patrzył.

Dym przesłaniał robotę Kryczyńskiego i Adurowicza; swąd spalenizny doleciał aż do fortalicyi; miasto zapłonęło, jak stos olbrzymi i dymy przesłaniały widok; czasem tylko w tych dymach rozlegał się wystrzał sąmopału, jakoby piorun w chmurze, czasem mignął uciekający człowiek, lub oddział Lipków w pościgu.

Azya stał ciągle i patrzył, mając w sercu radość; srogi uśmiech rozszerzał mu wargi, z pod których błyskały białe zęby — uśmiech tem sroższy, że pomieszany z bólem przyschłej rany.

Prócz radości i pycha wzbierała w sercu Lipka. Zrzucił oto z piersi ów ciężar udawania i pierwszy raz dał folgę nienawiści, ukrywanej przez długie lata; teraz czuł się sobą, czuł się prawdziwym Azyą, synem Tuhaj-beyowym.

Lecz jednocześnie wstał w nim dziki żal, że Basia nie ogląda tego pożaru, tej rzezi, że go nie może widzieć w nowym zawodzie. Kochał ją, a równocześnie rozpierało go dzikie pragnienie zemsty nad nią.

— Stałaby oto tu, przy koniu! — myślał sobie — i za włosy-bym ją trzymał i nóg-by mi się czepiała, a potembym ją wziął i usta-bym jej wycałował i byłaby moja, moja, moja... niewolnica!...

Od desperacyi wstrzymywała go tylko nadzieja, że może oddziały posłane w pościg, albo te, które zostawił po drodze, przywiodą ją napowrót. Nadziei tej uczepił się, jak tonący deski i to dodawało mu siły. Nie mógł myśleć wyłącznie o stracie jej, bo zbyt wiele myślał o chwili, w której ją odzyska i weźmie.

Stał wedle bramy, póki wyrzynane miasto nie ucichło, co wprędce się stało, bo ściahy Adurowicza i Kryczyńskiego tyle prawie liczyły głów, ile całe miasteczko — więc pożar tylko przetrwał jęki ludzkie i huczał jeszcze do wieczora.

Azya zlazł z konia i poszedł wolnym krokiem do ob-

szernej izby; tam, na środku, nasłano mu skór baranich, na których zasiadł i czekał przybycia dwóch rotmistrzów.

Ci nadeszli niebawem, a z nimi setnicy. Wszystkich twarze były uradowane, bo łup przeszedł oczekiwania. Miasteczko podniosło się już wielce od czasów inkursyi chłopskiej i było zamożne. Wzięto też około stu młodych niewiast i gromadę dzieci od lat dziesięciu, które można było pomyślnie sprzedać we wschodnich bazarach. Mężczyzn, stare niewiasty i zbyt małe, niezdolne do drogi dzieci wycięto. Ręce Lipków dymiły od krwi ludzkiej, a w swych tołubach wynieśli zapach spalenizny. Wszyscy zasiedli naokół Azyi i Kryczyński przemówił:

— Kupa popiołów jeno po nas zostanie... Nim komendy wrócą, moglibyśmy jeszcze na Jampol ruszyć, dobra tam wszelkiego tyle, albo więcej, niźli w Raszkowie.

— Nie! — odrzekł Tuchay-beya syn — w Jampolu są moi ludzie, którzy miasto zażegną, a nam czas w chanowe i sułtańskie ziemie.

— Jak przykażesz! Wrócimy ze sławą i łupem! — ozwali się rotmistrze i dziesiętnicy.

— Tu, w fortalicyi, są jeszcze niewiasty i ów szlachcic, który mnie hodował — rzekł Azya — słuszna należy mu się nagroda.

To rzekłszy, zaklaskał w ręce i kazał sprowadzić jeńców. Sprowadzono ich niebawem; panią Boską, zalaną łzami, Zosię, bladą, jak chusta, Ewkę i starego pana Nowowiejskiego. Ten miał ręce i nogi łykami skrępowane. Wszyscy byli przerażeni, ale jeszcze więcej zdumieni tem, co się stało, a co było zupełnie dla nich niezrozumiałe. Ewka jedna, lubo gubiąc się w domysłach, co przygodziło się z panią Wołodyjowską, dlaczego Azya nie pokazywał się dotąd, dlaczego uczyniono rzeź w mieście, a ich, jako niewolników, wiązano, domyślała się jednak, że idzie o jej porwanie, że Azya wściekał się po prostu z miłości dla niej i nie chcąc w pysze swej prosić o jej rękę ojca, postanowił ją siłą porwać. Było to wszystko samo przez

się straszne, ale Ewka nie drżała przynajmniej o życie własne.

Jeńcy wprowadzeni nie poznali Azyi, bo twarz jego była niemal zupełnie zawiązana. Lecz przestrach tembardziej schwytał za kolana niewiasty, w pierwszej chwili bowiem sądziły, że to dzicy Tatarowie jakimś niepojętym sposobem starli Lipków i zawładnęli Raszkowem. Dopiero widok Kryczyńskiego i Adurowicza przekonał ich, że właśnie znajdują się w ręku Lipków.

Czas jakiś patrzyli w milczeniu jedni na drugich, wreszcie stary pan Nowowiejski ozwał się niepewnym, ale silnym głosem:

— W jakich-że jesteśmy rękach?

Azya począł odkręcać z głowy nawiązki i wkrótce ukazała się z pod nich twarz jego, niegdyś piękna, choć dzika, oszpecona raz na zawsze, ze złamanym nosem i czarnosiną plamą, zamiast jednego oka; twarz straszna, skupiona zimną zemstą i uśmiechem, do konwulsyjnego wykrzywienia podobnym.

Przez chwilę jeszcze milczał, poczem utkwił swe jarzące oko w starym szlachcicu i odrzekł:

— W mojem: w Tuchay-beyowego syna!

Ale stary Nowowiejski poznał go, nim się wymienił, poznała i Ewka, choć serce ścisnęło się jej przerażeniem i wstrętem na widok tej potwornej głowy.

Dziewka zakryła oczy niezwiązanemi rękoma, a szlachcic otworzył usta, począł mrugać ze zdumienia oczyma i powtarzać:

— Azya! Azya!

— Któregoś waćpan hodował, któremuś był ojcem i któremu pod twą rodzicielską ręką grzbiet krwią opłynął...

Szlachcicowi krew nabiegła do głowy.

— Zdrajco! — rzekł — przed sądem odpowiesz za swe uczynki!... Żmijo!... Mam jeszcze syna...

— I masz córkę — odpowiedział Azya — za którąś mnie puhą na śmierć kazał ćwiczyć, a tę córkę ja teraz

ostatniemu ordyńcowi daruję, aby zaś miał w niej sługę i rozkosz!

— Wodzu! daruj ją mnie! — ozwał się nagle Adurowicz.

— Azya! Azya! jam ciebie zawsze... — krzyknęła Ewka, rzucając się do jego nóg.

Lecz on ją kopnął nogą, a Adurowicz chwycił ją za ramiona i począł ciągnąć ku sobie po podłodze. Pan Nowowiejski stał się z czerwonego siny. Łyka skrzypiały na jego rękach, tak je naprężał, a z ust wydobywały się niezrozumiałe słowa.

Azya podniósł się ze skór i szedł ku niemu, z początku wolno, potem coraz prędzej, jak dzikie zwierzę, pragnące rzucić się na zdobycz. Nakoniec, przyszedłszy blizko, schwytał go zakrzywionymi palcami swej chudej dłoni za wąsy, drugą zaś począł go bić bez miłosierdzia po twarzy i głowie.

Chrapliwy ryk wyrywał się z jego gardzieli, nakoniec, gdy szlachcic padł na ziemię, Tuchay-beyowicz klęknął mu na piersi i nagle jasny blask noża rozświecił mrok izby.

— Miłosierdzia! ratunku! — wyła Ewka.

Lecz Adurowicz uderzył ją w głowę, a potem swą szeroką dłoń położył na jej usta; Azya tymczasem zarzynał pana Nowowiejskiego.

Widok był tak straszny, że nawet dziesiętnikom lipkowskim uczyniło się zimno w piersiach, Azya bowiem z wyrachowanem okrucieństwem, zwolna, wodził nożem po gardle nieszczęsnego szlachcica, a ów rzęził i chrapał okropnie. Z otwartych żył krew bluzgała coraz silniej na ręce rezuna i strumieniem ciekła na podłogę. Wreszcie rzężenie i chrapanie cichło stopniowo, tylko powietrze poczęło świstać w przeciętej gardzieli, a nogi umierającego, drgając konwulsyjnie, kopały ziemię.

Azya wstał.

Oko jego padło teraz na bladą i słodką twarzyczkę Zosi Boskiej, która zdawała się zmarłą, bo zemdlona, zwieszała się przez ramię podtrzymującego ją Lipka — i rzekł:

— Tę dziewkę zachowuję sobie, póki jej nie daruję, lub nie przedam.

Poczem zwrócił się do Tatarów:

— A teraz, jeno pościg wróci, pojedziem na sułtańską ziemię.

Pościg wrócił w dwa dni później, ale z próżnemi rękoma.

Więc poszedł Tuchay-beyowicz na sułtańską ziemię z rozpaczą i wściekłością w sercu, zostawując po sobie szarą i niebieskawą kupę popiołów.

ROZDZIAŁ XI.

Dziesięć do dwunastu mil ukraińskich oddzielało owe miasta, przez które przejeżdżała Basia z Chreptiowa do Raszkowa, czyli cała owa droga, dniestrzańskim szlakiem, wynosiła około trzydziestu. Prawda, że z noclegów wyruszano jeszcze po ciemku i nie zatrzymywano się, aż późną nocą — jednakże cały pochód, wraz z popasem, mimo trudnych przepraw i przejazdów, odbył się w trzy dni. Ówcześni ludzie i ówczesne wojska nie czyniły zwykle pochodów tak szybkich, ale kto chciał, lub musiał — mógł je czynić.

Biorąc to na uwagę, Basia wyrachowała sobie, że odwrotna droga, droga do Chreptiowa, powinna jej zabrać jeszcze mniej czasu, zwłaszcza, że odbywała ją konno i że droga ta była ucieczką, w której ratunek od szybkości zależał.

Pierwszego jednak dnia pomiarkowała zaraz, że się łudzi, bo nie mogąc uciekać dniestrzańskim szlakiem, jeno kołując stepami, musiała nakładać ogromnie drogi. W dodatku mogła zbłądzić i było prawdopodobnem, że zbłądzi; mogła trafić na odtajałe rzeki, na nieprzebyte gąszcze leśne, na błota, zimą nawet nie zamarzające, na przeszkody od ludzi lub zwierza, więc chociaż i nocami zamierzała wciąż pędzić, mimo chęci utwierdzała się w przekonaniu, że nawet,

gdyby jej szło pomyślnie, Bóg wie, kiedy stanie w Chreptiowie.

Udało jej się wyrwać z ramion Azyi, lecz co dalej będzie? Niewątpliwie wszystko było lepsze od tych ohydnych ramion, jednakże na myśl, co ją czeka, krew ścinała jej się lodem w żyłach.

Oto przyszło jej zaraz do głowy, że jeśli będzie szczędzić konie, może zostać doścignięta. Lipkowie znali te stepy na wylot i skryć się w nich przed ich okiem, przed pogonią, było prawie niepodobieństwem. Oni to przecie po całych dniach ścigali nawet wiosną i latem Tatarów, gdy kopyta końskie nie zostawiały śladów w śniegu, w rozmokłej ziemi; oni czytali w stepie, jak w otwartej księdze; oni przezierali te równie, jak orły, umieli w nich wietrzyć, jak psy gończe; im życie całe schodziło na pościgach. Próżno Tatarzy szli nieraz strumieniami, by nie zostawić śladów — Kozacy, Lipkowie i Czeremisy, zarówno jak i polscy stepowi zagończycy, umieli ich odnaleźć, „sposobami“ na ich „sposoby“ odpowiedzieć i wpaść tak nagle, jakby z pod ziemi wyrośli.

Jakże tu uciekać przed takim ludem? Chyba zostawić ich tak daleko za sobą, by sama odległość uczyniła pościg niemożliwym. Ale w takim razie popadają konie.

— Popadają niechybnie, jeśli ciągle będą tak iść, jak dotąd — myślała z przerażeniem Basia, spoglądając na mokre, dymiące ich boki i na pianę, która płatami spadała na ziemię.

Więc chwilami zatrzymywała bieg i poczynała słuchać, ale wówczas, w każdym powiewie wiatru, w szmerze liści, obrastających jary, w suchym szeleście, z jakim uderzały o się wyschłe łodygi stepowych badylów, w szumie skrzydeł przelatującego ptaka, nawet w ciszy pustynnej, dzwoniącej w uszach, słyszała odgłosy pogoni.

I przerażona, znów wypuszczała konie i biegła szalonym pędem, póki chrapanie ich nie oznajmiło, że nie mogą tak biedz dalej.

Ciężar samotności i niemocy przygniatał ją coraz bar-

dziej! Ach! jakąż czuła się sierotą, jakiż żal, równie ogromny, jak niesłuszny, wzbierał w jej sercu do wszystkich ludzi, do najbliższych i najdroższych, że ją tak opuścili!

Potem pomyślała jeszcze, że to pewnie Bóg ją karze za jej żądze przygód, za jej wyrywanie się na wszystkie łowy, na wyprawy, wbrew nieraz chęciom męża, za płochość i brak statku.

Pomyślawszy to, rozpłakała się serdecznie i podniósłszy główkę do góry, jęła powtarzać, chlipiąc:

— Ukarz, ale nie opuść! Michała nie karz, Michał niewinny!

Tymczasem zbliżała się noc, a z nią chłód, pomroka, niepewność drogi i niepokój. Przedmioty poczęły się zacierać, mącić, tracić określone kształty, a zarazem jakby się ożywiać tajemniczo i czaić. Nierówności na zrębach wysokich skał wyglądały, jakby głowy, poprzybierane w czapki spiczaste i okrągłe, które wychylają się z za jakichś olbrzymich murów i spoglądają cicho a złożyczliwie, kto tam przejeżdża dołem. Gałęzie drzew, poruszane powiewem, miały jakieś ruchy ludzkie: jedne kiwały na Basię, niby chcąc ją przywołać i tajemnicę jakąś straszną jej powierzyć; drugie zdawały się mówić i ostrzegać: „Nie zbliżaj się!“ Skarpy przewróconych drzew podobne były do jakichś potwornych istot, skurczonych do skoku.

Basia była odważna, bardzo odważna, ale jak wszyscy ówcześni ludzie — zabobonna. To też, gdy pomroka zapadła zupełnie, włos wyprężał się jej na głowie, a dreszcz przechodził przez ciało na myśl o nieczystych siłach, które mogą zamieszkiwać te strony. Bała się szczególniej upiorów. Wiara w nie była szczególniej rozpowszechniona po całem „Naddniestrzu“, z powodu sąsiedztwa Multan i właśnie te strony, koło Jampola i Raszkowa, miały pod tym względem złą sławę. Tylu tu ludzi schodziło ustawicznie ze świata nagłą śmiercią, bez spowiedzi, rozgrzeszenia.

Basia przypomniała sobie wszystkie opowieści, które wieczorami w Chreptiowie prawili przy ogniu rycerze: więc o dolinach przepaścistych, w których, gdy wiatr powiał,

zrywały się nagle jęki: „Jezu, Jezu!“ — o płomieniach błędnych, w których coś chrapało — o śmiejących się skałach — o bladych dzieciach „sysunach“, z zielonemi oczyma i potwornej głowie, które prosiły, by je zabrać na koń, a zabrane, poczynały wysysać krew — wreszcie o głowach bez kadłubów, chodzących na pajęczych nogach i o najstraszniejszych z tych wszystkich okropności, dorosłych upiorach, czyli tak zwanych z wołoska: „brukołakach“, które wprost rzucały się na ludzi.

Poczęła się żegnać znakiem krzyża i nie przestawała dopóty, dopóki nie zemdlała jej ręka, ale i wówczas odmawiała litanię, bo żadną inną bronią przeciw nieczystym siłom nie można było nic poradzić. Otuchy dodawały jej konie, które, nie okazując żadnej trwogi, parskały raźno. Chwilami dłonią klepała kark swego dzianeta, jakby chcąc się tym sposobem przekonać, że się na rzeczywistym znajduje świecie.

Noc, z początku bardzo ciemna, stawała się zwolna jaśniejszą i wreszcie przez rzadką mgłę zamigotały gwiazdy. Dla Basi była to okoliczność nadzwyczaj pomyślna, bo naprzód strach jej zmniejszył się, a powtóre, patrząc na wielki wóz, mogła się kierować ku północy, czyli w stronę Chreptiowa.

Rozglądając się po okolicy, wyrachowała sobie, że oddaliła się już znacznie od Dniestru, bo mniej tu było skał, kraj rozłożystszy, więcej wzgórz, porośniętych dębiną i częste, obszerne równie.

Raz po raz jednak musiała przebywać jary i spuszczała się w nie zawsze z obawą w sercu, w głębiach bowiem było ciemno i chłód tam leżał surowy, przenikliwy. Niektóre tak były strome, iż należało je objeżdżać, z czego wynikała wielka strata czasu i nakładanie drogi.

Gorzej jednak było ze strumieniami i rzeczkami, których sieć cała płynęła od wschodu ku Dniestrowi. Wszystkie były rozmarznięte i konie chrapały bojaźliwie, wchodząc nocą w nieznane, o niewiadomej głębinie wody. Basia przeprawiała się tylko w tych miejscach, gdzie rozłożysty brzeg

pozwalał przypuszczać, że rozlana szeroko woda jest płytka. Jakoż po większej części tak bywało; na niektórych jednak przeprawach woda dochodziła do połowy brzuchów końskich; Basia wówczas klękała, obyczajem żołnierskim, na kulbace i trzymając się rękoma za przednią kulę, starała się nie zamoczyć nóg. Jednakże nie ze wszystkiem to jej się udało i wkrótce zimno dotkliwe chwyciło ją od stóp do kolan.

— Daj Boże dzień, pojadę raźniej! — powtarzała sobie co chwila.

Nakoniec wyjechała na obszerną równinę, porosłą rzadkim lasem i widząc, że konie ledwie już nogi wloką, zatrzymała się na wypoczynek. Oba rumaki powyciągały w tej chwili szyje ku ziemi i wysuwając jedną z nóg przednich, poczęły skubać chciwie mchy i zwiędłą trawę. W lesie była zupełna cisza, którą przerywał tylko donośny oddech koni i chrupanie traw w ich potężnych szczękach.

Zaspokoiwszy, a raczej oszukawszy pierwszy głód, oba rumaki miały widocznie ochotę się wytarzać, ale Basia nie mogła dogodzić tej ich chęci. Nie śmiała nawet popuścić popręgów i sama zleźć na ziemię, bo chciała być w każdej chwili do dalszej ucieczki gotową.

Przesiadła się jednak na Azyowego bachmata, bo dzianet niósł ją już od ostatniego popasu, a lubo dzielną i szlachetną krew w żyłach mający, był jednak od bachmata delikatniejszy.

Urządziwszy to, po pragnieniu, które gasiła kilkakrotnie w czasie przepraw, poczuła głód, więc zaczęła jeść owo siemię, którego woreczek znalazła przy kulbace Tuchaybeyowicza. Wydało się jej bardzo dobre, choć nieco zgorzkniałe, więc jadła, dziękując Bogu za ten niespodziany posiłek.

Lecz jadła oszczędnie, by starczyło aż do Chreptiowa. Potem zaraz sen jął kleić z nieprzepartą siłą jej powieki, ale jednocześnie, gdy ruch koński przestał ją rozgrzewać, przejęło ją dotkliwe zimno. Nogi miała zupełnie skostniałe; czuła też niezmierne znużenie w całem ciele, szczególniej

w krzyżu i w ramionach, wysilonych pasowaniem się z Azyą. Ogarnęła ją wielka słabość i oczy jej przymknęły się.

Lecz po chwili otworzyła je przemocą.

— Nie! W dzień, w czasie jazdy, spać będę — pomyślała — bo jeśli teraz zasnę, to zmarznę...

Jednakże myśli jej mąciły się coraz bardziej, lub zachodziły jedne na drugie, przedstawiając bezładne obrazy, w których puszcza, ucieczka i pogoń, Azya, mały rycerz, Ewka i ostatnie zdarzenia, mieszały się ze sobą w pół sen, w półjawę. Wszystko to gdzieś biegło naprzód, jak biegnie fala, gnana wiatrem, a ona, Basia, biegła razem, bez strachu, bez radości, jakoby z umowy. Azya niby ją gonił, ale jednocześnie rozmawiał z nią i frasował się o konie; pan Zagłoba gniewał się, że wieczerza wystygnie, Michał pokazywał drogę, a Ewka jechała za nimi w saniach, jedząc daktyle.

Potem te osoby zacierały się coraz bardziej, jak gdyby je poczęła przesłaniać mglista zasłona lub pomroka — i stopniowo nikły; została tylko ciemność jakaś dziwna, bo lubo wzrok nie przebijał jej wcale, wydawała się jednak pustą i idącą niezmiernie daleko... Przenikała ona wszędy, przenikała następnie do głowy Basi i pogasiła w niej wszystkie widzenia, wszystkie myśli, jak powiew wiatru gasi palące się nocą na otwartem powietrzu pochodnie.

Basia usnęła, ale na szczęście dla niej, zanim chłód zdołał zwarzyć krew w jej żyłach, obudził ją niezwykły hałas. Konie szarpnęły się nagle: widocznie działo się w puszczy coś nadzwyczajnego.

Basia, odzyskawszy w jednej chwili przytomność, chwyciła Azyowy muszkiet i pochylona na koniu, ze skupioną uwagą i rozdętemi nozdrzami, poczęła nasłuchiwać. Była to tego rodzaju natura, że każde niebezpieczeństwo w pierwszem mgnieniu oka budziło w niej czujność, odwagę i gotowość do obrony.

Lecz tym razem, przysłuchawszy się pilniej, uspokoiła się zaraz. Odgłosy, które ją zbudziły, były rechtaniem dzi-

kich świń. Czy basiory podbierały się ku warchlakom, czy też odyńce poczęły się ciąć o samury, dość, że naraz rozbrzmiała cała puszcza. Ów warchoł odbywał się niezawodnie dość daleko, ale wśród ciszy nocnej i powszechnego uśpienia wydawał się tak blizkim, iż Basia słyszała nie tylko rechtanie i kwiki, ale świst głośny oddychających gwałtownie nozdrzy. Nagle rozległ się łomot, tętent, trzask łamanych chrustów i całe stado, lubo niewidzialne dla Basi, przeleciawszy w pobliżu, pogrążyło się w głębiach puszczy.

A w onej niepoprawnej Basi, mimo jej strasznego położenia, zbudziła się na mgnienie powieki żyłka myśliwska i zrobiło się jej żal, że nie widziała przelatującego stada.

— Człowiek-by się trocha przypatrzył — rzekła sobie w duszy — ale to nic! Jadąc tak lasami, pewnie jeszcze co zobaczę...

I dopiero po tej uwadze, przypomniawszy sobie, że lepiej nic nie widzieć, a jak najprędzej uciekać, puściła się w dalszą drogę.

Nie można było stać dłużej jeszcze i dlatego, że chłód ogarniał ją coraz dotkliwszy, a ruch koni rozgrzewał ją znacznie, mało stosunkowo nużąc. Konie za to, które nieco tylko mchu i zmarzłych traw zdołały uszczknąć, ruszyły wielce niechętnie i z pospuszczanemi głowami. Szron w czasie postoju okrył im boki i zdawało się, że ledwie nogi wloką. Szły przecie od południowego popasu niemal bez wytchnienia.

Przejechawszy polanę, z oczyma utkwionemi w wielki wóz na niebie, Basia pogrążyła się w puszczę, niezbyt gęstą, ale pagórkowatą, poprzecinaną wązkimi jarami. Stało się też i ciemniej, nie tylko z powodu cienia, jaki rzucały rozłożyste drzewa, ale także i dlatego, że opary podniosły się z ziemi i skryły gwiazdy. Trzeba było jechać naoślep. Jedne tylko jary dawały Basi jakąkolwiek wskazówkę, że posuwa się w słusznym kierunku, bo to wiedziała, że wszystkie one ciągną się od wschodu ku Dniestrowi, że więc, przebywając coraz nowe, zdąża wciąż ku północy.

Pomyślała jednak, że mimo tej wskazówki, grozi jej zawsze: albo zbytnie oddalenie się od Dniestru, albo zbytnie zbliżenie się ku niemu.

I jedno i drugie mogło być niebezpieczne, bo w pierwszym razie wypadałoby nałożyć ogromnie drogi, w przeciwnym mogła wyjechać na Jampol i tam wpaść we wraże ręce. Czy zaś była jeszcze przed Jampolem, czy właśnie na jego wysokości, czy też zostawiła go już za sobą, o tem nie miała najmniejszego pojęcia.

— Prędzej będę wiedziała, kiedy ominę Mohilów — mówiła sobie — bo ten leży w jarze wielkim i ciągnącym się daleko, któren może poznam.

Poczem, spojrzawszy w niebo, myślała dalej:

— Daj mi Boże przebrać się jeno za Mohilów, bo tam zaczyna się już Michałowe panowanie, tam mnie już nic nie ustraszy...

Tymczasem noc stała się jeszcze ciemniejsza. Szczęściem, na podłożu leśnem leżał tu już śnieg, na którego białem tle można było odróżniać ciemne pnie drzew, niższe konary i omijać je. Natomiast musiała Basia jechać wolniej i skutkiem tego na duszę jej padły znów te strachy przed siłą nieczystą, które na początku nocy ścinały jej krew lodem.

— Jeśli zobaczę świecące ślepie nizko — rzekła do swej strwożonej duszy — nic to! będzie wilk; ale jeśli na wysokości człowieka...

W tej chwili krzyknęła głośno:

— W imię Ojca i Syna!...

Bo, czy to było złudzenie, czy może dziki zdeb siedział na gałęzi, dość, że Basia wyraźnie ujrzała parę błyszczących ślepiów na wysokości człowieka.

Z trwogi jej samej zaszły oczy pomroką, ale gdy przejrzała znowu, nie było już nic widać, tylko jakiś szelest dał się słyszeć między konarami, tylko jej serce tłukło się w piersiach tak głośno, jak gdyby chciało pierś rozsadzić.

I jechała dalej, długo, długo, wzdychając do światła dziennego.

Noc dłużyła się jednak niezmiernie. Wkrótce potem znów rzeka przegrodziła jej drogę. Basia była już dość daleko za Jampolem, nad brzegami Rosawy, ale nic nie wiedziała, gdzie jest, zgadywała tylko, że jednak posuwa się wciąż na północ, skoro napotkała nową rzekę. Odgadywała także, że noc musi już być na schyłku, bo chłód powiększył się znacznie; widocznie brał mróz, tuman opadł i gwiazdy ukazały się znowu, jeno bledsze, niepewnem światłem świecące.

Nakoniec ciemność poczęła blednąć stopniowo. Pnie, gałęzie i gałązki stawały się widoczniejsze. W lesie zapanowała zupełna cisza — dniało.

Po pewnym czasie, Basia mogła już odróżnić maść koni. Nakoniec na wschodzie, między gałęziami drzew, ukazała się taśma świetlista — czynił się dzień i to dzień pogodny.

Wówczas Basia poczuła niezmierne znużenie. Usta jej otwierały się przeciągłem poziewaniem, a oczy kleiły się; niebawem zasnęła mocno, ale na krótko, bo zbudziła ją gałąź, o którą zawadziła głową. Szczęściem, konie szły niezmiernie wolno, poskubując po drodze mchy, więc uderzenie było tak lekkie, iż nie przyczyniło jej żadnej szkody. Słońce wstało już i blade, śliczne jego promienie przedzierały się przez bezlistne gałęzie. Na ów widok otucha wstąpiła w serce Basi; między sobą a pogonią zostawiła już tyle stepu, tyle gór, jarów i całą noc.

— Byle mnie nie chwycili ci z Jampola lub Mohilowa, to tamci — chyba nie zgonią — rzekła sobie.

Liczyła i na to, że z początku ucieczki jechała skalistem podłożem, zaczem kopyta nie mogły zostawiać śladów.

Lecz wkrótce znów ogarnęło ją zwątpienie.

— Lipkowie i na skałach i na kamieniach śladów dopatrzą, a będą ścigać zawzięcie, chyba, że im konie popadają.

To ostątnie przypuszczenie było najprawdopodobniejsze.

Dość Basi było spojrzeć na swoje konie. I dzianet i bachmat miały boki wpadłe, głowy pospuszczane, wzrok zgasły. Idąc, raz wraz schylały łby ku ziemi, by zachwycić nieco mchu, lub skubały mimochodem rude liście, więdnące tu i owdzie na nizkich krzach dębowych. Musiała też trawić je i gorączka, bo u wszystkich przepraw piły chciwie.

Mimo tego, Basia wydostawszy się na nieporośnięte pole między dwoma borami, puściła znowu w skok utrudzone rumaki i pędziłą tak aż do drugiego boru.

Po przejechaniu onego, trafiła na drugą polanę jeszcze obszerniejszą i wzgórzystą. Za wzgórzami, w odległości mniej więcej ćwierci mili, widać było dym, podnoszący się strzeliście, jak sosna, ku niebu. Było to pierwsze zamieszkałe miejsce, na jakie trafiła Basia, bo zresztą kraj ten, z wyjątkiem samego pobrzeża, był, a raczej zmieniony został na pustynię, nie tylko wskutek napadów tatarskich, ale wskutek ciągłych wojen polsko-kozackich. Po ostatniej wyprawie pana Czarnieckiego, której ofiarą padła Busza, miasteczka zeszły na liche osady, wsie pozarastały młodym lasem. A przecie po panu Czarnieckim tyle jeszcze było wypraw, tyle bitew, tyle rzezi, aż do ostatnich czasów, w których wielki Sobieski wydarł te kraje nieprzyjacielowi. Życie poczynało się już plenić, ten jednak szlak, którym jechała Basia, szczególniej był pusty; kryli się w nim tylko zbóje, lecz i tych wygniotły już prawie zupełnie komendy, stojące w Raszkowie, Jampolu, Mohilowie i Chreptiowie.

Pierwszą myślą Basi, na widok owego dymu, było jechać ku niemu, odnaleźć chutor, czy też szałas, czy wreszcie proste ognisko, ogrzać się przy niem i pożywić! Lecz wkrótce przyszło jej do głowy, że w tych stronach lepiej spotkać się ze stadem wilków, niż z ludźmi; ludzie byli tu dziksi i okrutniejsi od zwierząt. Owszem, należało pognać konie i mijać czemprędzej to leśne ludzkie schronisko, bo tylko śmierć mogła w niem czekać.

Na samym skraju przeciwległego boru spostrzegła Basia mały stóg siana, więc nie zważając już na nic, zatrzymała

się przy nim, by konie pokarmić. Te jadły chciwie, zanurzając głowy razem z uszami w stóg i wyciągając spore wiechetki siana. Na nieszczęście, przeszkadzały im wielce munsztuki; ale Basia nie chciała ich rozkiełznać, tak sobie słusznie rozumując:

— Tam, gdzie było dym widać, musi być jakiś chutor, że zaś tu stóg stoi, więc w chutorze mają konie, na których mogliby mnie ścigać, zaczem trzeba być gotową.

Spędziła jednak przy stogu z godzinę czasu, tak, że konie podjadły nieźle, a i ona sama pożywiła się siemieniem. Ruszywszy dalej i przejechawszy kilka stajań, spostrzegła nagle przed sobą dwóch ludzi, niosących pęki chrustu na plecach.

Jeden był człowiek niestary, ale nie pierwszej już młodości, z twarzą poznaczoną ospą i z kosemi oczyma, szpetny, straszny, o okrutnym, zwierzęcym wyrazie oblicza; drugi, młody wyrostek, był obłąkany. Można to było poznać na pierwszy rzut oka, po jego głupkowatym uśmiechu i nieprzytomnym wzroku.

Obaj, na widok jeźdźca i broni, porzucili pęki chrustu na ziemię i widocznie zlękli się bardzo. Ale spotkanie było tak niespodziane i stali tak blizko, że nie mogli uciekać.

— Sława Bohu! — ozwała się Basia.

— Na wiki wików.

— A jako się zwie ów chutor?

— A po co on się ma nazywać. Ot, chata!

— Daleko zaś do Mohilowa?

— My ne znajem...

Tu stary począł się pilnie przypatrywać twarzy Basi. Ponieważ miała na sobie męski ubiór, wziął ją za wyrostka i zaraz na twarzy jego, na miejscu dawnego strachu, pojawiła się zuchwałość i okrucieństwo.

— A szczo wy takij mołodenkij, pane łycar?

— A tobi szczo?

— I sami jedziecie? — mówił chłop, postępując krok naprzód.

— Wojsko za mną idzie.

Ów zatrzymał się, popatrzył na ogromną polanę i odparł:

— Nieprawda. Nikogo niema.

To rzekłszy, postąpił jeszcze parę kroków; kose oczy zaświeciły mu ponuro, a jednocześnie, złożywszy usta, począł naśladować głos przepiórki, widocznie, chcąc kogoś w ten sposób przywołać.

Wszystko to wydało się Basi nader wrogiem, więc bez wahania wymierzyła mu krócicę w piersi.

— Milcz, bo zginiesz!

Chłop zamilkł, a co więcej, rzucił się natychmiast plackiem na ziemię. To samo uczynił obłąkany wyrostek, ale ów począł przytem wyć ze strachu, jak wilk. Być może, że w swoim czasie umysł jego obłąkał się z jakiegoś strachu, bo teraz wycie jego brzmiało okropnem przerażeniem.

Basia wypuściła konie i pomknęła, jak strzała. Szczęściem, las był nie podszyty, a drzewa stały rzadko. Wkrótce też zaświeciła nowa polana, wązka, ale bardzo długa. Konie, podjadłszy przy stogu, nabrały nowych sił i gnały wichrem.

— Dopędzą do domu, siądą na konie i będą mnie ścigali — myślała Basia.

Pocieszało ją tylko to, że konie dobrze idą i że od miejsca, w którem spotkała owych ludzi, do chutoru było dość daleko.

— Nim dojdą do chaty, nim konie wyprowadzą, ja, tak jadąc, będę od nich w mili, albo we dwóch.

Istotnie tak było. Ale gdy upłynęło kilka godzin i Basia, przekonawszy się, że nie jest ściganą, zwolniła biegu, wielki przestrach, wielkie pognębienie opanowało jej serce, a do oczu cisnęły się przemocą łzy.

Spotkanie owo nauczyło ją, czem są ludzie w tych stronach i czego można się było od nich spodziewać. Wprawdzie nie było to dla niej niespodziane. I z własnego doświadczenia i z opowiadań chreptiowskich wiedziała, że dawni spokojni osadnicy albo wynieśli się z tych pustyń,

albo ich wojna pożarła, ci zaś, co pozostali, żyjąc w ustawicznych trwogach wojennych, wśród okropnej zawieruchy domowej i tatarskich napadów, w stosunkach, w których człowiek człowiekowi był wilkiem, bez kościołów, wiary, bez innych przykładów, jak przykłady mordu i pożogi, nie znając innego prawa nad pięść, wyzbyli się wszelkich uczuć ludzkich i zdziczeli na podobieństwo zwierza leśnego. Basia wiedziała o tem dobrze; jednakże człowiek samotny, w pustyniach zabłąkany, w uścisku od głodu i chłodu zostający, mimowiednie przedewszystkiem od pokrewnych sobie istot pomocy wygląda.

Tak i ona, ujrzawszy ów dym, siedlisko ludzkie oznajmujący, mimowiednie, idąc za pierwszym porywem serca, chciała tam biedz, imieniem Boskiem mieszkańców powitać i pod ich dachem zmęczoną główkę przytulić. Tymczasem okrutna rzeczywistość wyszczerzyła zaraz na nią zęby, jak zły pies; dlatego serce jej wezbrało goryczą i łzy żalu a zawodu napłynęły do oczu.

— Znikąd pomocy, jeno od Boga — pomyślała — bodaj mi już ludzi nie napotkać.

Poczem jęła rozważać, czemu ów chłop począł udawać przepiórkę: niechybnie w pobliżu byli jeszcze jacyś ludzie i ów przywołać ich pragnął. Przyszło jej do głowy, że jest na szlaku zbójów, którzy, wyparci z jarów nadrzecznych, widocznie schronili się do puszcz, głębiej w kraju leżących, w których sąsiedztwo szerokich stepów zapewniało im większe bezpieczeństwo i łatwiejszą w potrzebie ucieczkę.

— Ale co będzie — spytała Basia — gdy ich spotkam kilku, lub kilkunastu? — Muszkiet — to jeden, dwie krócice — to dwóch, szabla — niechby dwóch jeszcze, jeśli jednak będzie ich więcej, zginę straszną śmiercią.

I o ile poprzednio, wśród nocy i jej trwóg, życzyła sobie, by dzień uczynił się jak najprędzej, tak teraz z tęsknotą wyglądała pomroki, która mogła skryć ją łatwiej przed złemi oczyma.

Dwakroć jeszcze w czasie wytrwałej jazdy zdarzyło jej się przejeżdżać w pobliżu ludzi.

Raz ujrzała na skraju wysokiej równi kilkanaście chat. Może nawet nie mieszkali w nich zbóje z rzemiosła, ale wolała je ominąć skokiem, wiedziała bowiem, że i wieśniacy niewiele są lepsi od zbójów, drugi raz do uszu jej doszedł odgłos siekier, rąbiących drzewo.

Upragniona noc okryła wreszcie ziemię. Basia tak już była znużona, że gdy dostała się na goły, nieobrośnięty lasem step, rzekła sobie:

— Tu nie rozbiję się o drzewo, zaczem usnę teraz, choćbym miała zmarznąć.

Gdy przymykała już oczy, zdało jej się, że hen, w oddali, na białym śniegu, widzi kilka czarnych punktów, które poruszają się w różnych kierunkach. Przez chwilę jeszcze przezwyciężała sen.

— To pewnie wilki! — mruknęła z cicha.

Nim jednak przejechała kilkanaście kroków, owe punkta znikły, więc usnęła zaraz tak mocno, że zbudziła się dopiero, gdy bachmat Azyowy, na którym siedziała, zarżał pod nią.

Obejrzała się wokoło; była na skraju lasu i zbudziła się w porę, inaczej bowiem mogłaby się rozbić o drzewo.

Nagle spostrzegła, że drugiego konia niema przy niej.

— Co się stało? — zawołała z trwogą wielką.

Stała się jednak rzecz bardzo prosta: oto Basia uwiązała wprawdzie lejce od uzdy dzianeta do kuli kulbaki, na której siedziała sama, ale skostniałe ręce źle jej posłużyły i nie zdołały zadzierzgnąć dobrze węzła; następnie lejce rozwiązały się i znużony koń został, by szukać karmu pod śniegiem, lub położyć się.

Na szczęście, Basia miała krócice nie w olstrach, ale za pasem; róg z prochem i woreczek z siemieniem także były przy niej. Ostatecznie nieszczęście nie było zbyt straszne, bo bachmat Azyowy, jeśli nawet ustępował w szybkości dzianetowi, to natomiast niezawodnie przewyższał go wytrwałością na trud i zimno. Jednakże Baśce żal się zrobiło

ulubionego rumaka i w pierwszej chwili postanowiła go odszukać.

Zdziwiło to ją jednak, gdy obejrzawszy się na step, nie ujrzała go wcale, choć noc była nadzwyczaj widna.

— Pozostał, pozostał — pomyślała — nie popędził z pewnością naprzód, ale musiał się położyć w jakiemś wgłębieniu i dlatego go nie widzę.

Bachmat zarżał drugi raz, przyczem zatrząsł się jakoś i uszy położył na karku, lecz od strony stepu odpowiedziało mu milczenie.

— Pojadę, poszukam! — rzekła Basia.

I już zwróciła konia, gdy naraz niespodziewana trwoga chwyciła ją, zupełnie jakby głos ludzki wołał:

— Basiu, nie wracaj!

Jakoż w tej chwili ciszę zmąciły inne złowróżbne głosy, blizkie, a wychodzące niby z pod ziemi: były to wycia, charkotania, skomlenia, jęki, wreszcie kwik okropny, krótki, urywany... Było to wszystko tem straszniejsze, że na stepie nic nie było widać.

Basię zimny pot oblał od stóp do głowy, a z jej zsiniałych warg wyrwał się okrzyk:

— Co to jest? co się dzieje?

Odgadła wprawdzie od razu, że wilki zarzynają jej konia, lecz nie mogła zrozumieć, dlaczego tego nie widzi, kiedy, sądząc po odgłosach, działo się to nie dalej, jak o jakie pięćset kroków od niej.

Nieczas jednak było lecieć na ratunek, bo koń musiał być już rozszarpany, a zresztą trzeba było myśleć o własnem ocaleniu; więc Basia, wypaliwszy na postrach z krócicy, ruszyła w dalszą drogę. Jadąc, rozmyślała o tem, co się stało i przez chwilę przemknęło jej przez głowę, że to może nie wilki porwały jej konia, skoro owe głosy słychać było z pod ziemi?

Na tę myśl mrówki poczęły zaraz chodzić jej po krzyżach, lecz zastanowiwszy się lepiej, przypomniała sobie, że we śnie majaczyło się jej, że zjeżdża z góry, a potem znów wdziera się na górę.

— Tak musiało być — rzekła sobie — musiałam, śpiąc, przejeżdżać jakiś jar, mało stromy, tam został mój dzianet i tam napadli go wilcy.

Reszta nocy zeszła bez przygody. Bachmat, podjadłszy nieco siana zeszłego ranka, szedł bardzo wytrwale, tak, iż sama Basia podziwiała jego siłę. Był to tatarski koń, „wilczar", wielkiej urody i wytrwałości prawie bez granic. W czasie krótkich postojów, które czyniła Basia, żarł wszystko, nie przebierając; mchy, liście, obgryzał nawet korę drzewną i szedł, a szedł. Na polanach puszczała go w skok. Wówczas stękał nieco i oddychał rozgłośnie; powstrzymywany — sapał, trząsł się i spuszczał nizko głowę ze znużenia, ale nie padał.

Dzianet, choćby nie zginął pod wilczymi zębami, nie wytrzymałby takiej drogi.

Nazajutrz Basia, odmówiwszy ranne pacierze, poczęła czynić rachunek czasu:

— Azyi wyrwałam się we czwartek z południa — mówiła sobie — i jechałam w skok do nocy; potem przeszła w drodze jedna noc, potem cały dzień, potem znów cała noc i teraz zaczął się trzeci dzień. Chyba pogoń, choćby była, musiała już wrócić i Chreptiów powinien być niedaleko, bo przecie nie żałowałam koni.

Po chwili zaś dodała:

— Oj czas, czas już! Boże, zmiłuj się nade mną!

Chwilami brała ją chęć zbliżyć się ku rzece, bo przy brzegu prędzejby pomiarkowała, gdzie jest, ale bała się, pomnąc, że pięćdziesięciu Azyowych Lipków zostało u pana Gorzeńskiego w Mohilowie. Przychodziło jej na myśl, że kołując tak bardzo, mogła jeszcze nie przejechać Mohilowa.

W drodze, o ile sen nie zamykał jej oczu, starała się wprawdzie uważać pilnie, czy nie natrafi na jar bardzo obszerny, podobny do tego, w którym leżał Mohilow, ale nie zauważyła nic takiego; jar zresztą mógł się zwężać i wyglądać zupełnie inaczej przy Mohilowie, niż w głębi, mógł się kończyć, albo zwężać o kilkanaście stajań za miastem,

słowem, Basia nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje.

Prosiła tylko nieustannie Boga, żeby to było już blizko, bo czuła, że niedługo już wytrzyma trudy, zimno i bezsenność i wreszcie głód; od trzech dni żywiła się tylko siemieniem, a chociaż oszczędzała go bardzo, jednak ostatnie ziarnko zjadła tego ranka i nic nie było już w woreczku.

Teraz mogła się tylko żywić i rozgrzewać nadzieją, że Chreptiów blizko.

Prócz nadziei, rozgrzewała ją zapewne i gorączka. Basia czuła doskonale, że ją ma, bo jakkolwiek na świecie było coraz zimniej, a nawet po prostu mroźno, ręce jej i nogi, o ile były na początku podróży skostniałe, o tyle teraz rozpalone i pragnienie dokuczało jej wielkie.

— Byle przytomności nie utracić — mówiła sobie — byle choć na ostatnie tchnienie zdążyć do Chreptiowa, zobaczyć Michała, a potem dziej się wola Boża...

Przyszło jej znowu przeprawiać się przez liczne strumienie i rzeki, ale albo były płytkie, albo zamarznięte; na niektórych wierzchem płynęła woda, a spodem był lód, twardy i mocny. Jednakże najbardziej ze wszystkiego, bała się tych przepraw dlatego, że i bachmat, jakkolwiek nieustraszony, bał się ich widocznie. Wchodząc w wodę lub na lód, chrapał, tulił uszy, częstokroć opierał się, a zmuszony, wchodził ostrożnie, stawiając zwolna nogę przed nogą i wietrząc rozdętemi nozdrzami.

Było już dobrze z południa, gdy Basia, jadąc gęstym borem, stanęła przed jakąś rzeką, większą od innych, a zwłaszcza znacznie szerszą. Wedle jej przypuszczenia, mogła być to Ladawa, albo Kałusik. Na ten widok zabiło jej serce radością.

W każdym razie Chreptiów musiał być niedaleko; choćby go zaś Basia i minęła, zawsze mogła się uważać za ocaloną, bo tam i kraj był więcej osiadły i ludzi mniej się należało obawiać. Rzeka, jak Basia mogła sięgnąć okiem, miała brzegi strome, w jednem tylko miejscu widocznie

był szczerk i spętana lodem woda zachodziła na brzeg, jak gdyby rozlana w płytkiem, a rozłożystem naczyniu. Brzegi były zupełnie zmarznięte, środkiem płynęła szeroka wstęga wody; lecz Basia spodziewała się, że znajdzie pod nią lód, jak zwykle.

Bachmat wszedł, opierając się nieco, jak przy każdej przeprawie, ze zgiętym karkiem i obwąchując nozdrzami śnieg przed sobą. Przybywszy do bieżącej wierzchem wody, Basia uklękła, wedle zwyczaju, na kulbace, dzierżąc się obu rękoma za przednią kulę.

Woda zachlupotała pod kopytami. Lód był istotnie pod nią twardy, obmoczony; kopyta uderzały weń, jakby w kamień, lecz widocznie kacele podków stępiły się przez długą, a miejscami skalistą drogę, bo wnet bachmat począł się ślizgać; nogi rozchodziły mu się, jak gdyby uciekały z pod niego; nagle padł naprzód, aż nozdrza zamoczyły mu się w wodzie, więc zerwał się, padł znów na zad, znów się zerwał, lecz przerażony, począł się rzucać i bić kopytami rozpaczliwie.

Basia szarpnęła za uzdę, a wtem dał się słyszeć głuchy trzask i zadnie nogi konia, aż do kłębów, zapadły w głębinę.

— Jezus, Jezus! — krzyknęła Basia.

Rumak, stojący jeszcze przedniemi nogami na twardym gruncie, uczynił straszne wysilenie, lecz widocznie kawały lodu, na których się wspinał, jęły się teraz wysuwać z pod jego nóg, bo zapadał głębiej i począł jęczeć chrapliwie.

Basia miała jeszcze tyle czasu i przytomności, że chwyciwszy za grzywę rumaka, po jego karku wydostała się na lód niepołamany, leżący przed koniem. Tam upadła i zamoczyła się w wodzie. Lecz podniósłszy się i uczuwszy twardy grunt pod nogami, wiedziała, że jest ocaloną.

Chciała nawet jeszcze ratować konia, więc przechyliwszy się, chwyciła za lejce i cofając się ku drugiemu brzegowi, poczęła je ciągnąć z całej mocy.

Ale bachmat zasuwał się w głębinę i nie mógł już wy-

dostać z niej nawet przednich nóg, by je zaczepić o nieporuszony dotąd zrąb lodu. I lejce wyprężały się coraz silniej, a on pogrążał się coraz bardziej. Wreszcie zanurzył się zupełnie, tylko szyja i łeb wystawały mu nad lodem. Począł nakoniec stękać prawie ludzkim głosem, wyszczerzając przytem zęby; oczy jego patrzyły w Basię z nieopisanym smutkiem, jakby jej chciał mówić: „Niema już dla mnie ratunku; puść lejce, bo i ciebie jeszcze wciągnę“...

Jakoż nie było dla niego ratunku i Basia musiała puścić lejce.

Poczem, gdy zupełnie skrył się pod lodem, poszła na drugi brzeg, tam siadła pod ogołoconym z liści krzem i poczęła szlochać, jak dziecko.

Energia jej była chwilowo zupełnie złamana. A oprócz tego ta gorycz i to rozżalenie, które po spotkaniu się z ludźmi napełniły jej serce, zalały je teraz jeszcze silniej. Oto wszystko było przeciw niej: błędność dróg, ciemność, żywioły, człowiek, zwierz, jedna tylko ręka Boża zdawała się nad nią czuwać.

W tej dobrej, słodkiej, ojcowskiej opiece złożyła całą swą ufność dziecinną, a obecnie i to ją zawiodło. Było to uczucie, którego Basia nie wypowiedziała tak wyraźnie, ale natomiast tem silniej odczuwała sercem.

Cóż jej pozostawało? Skarga i łzy! A przecie zdobyła się na tyle dzielności, na tyle odwagi, na tyle wytrwania, na ile takie biedne, słabe stworzenie zdobyć się mogło. I oto koń jej się utopił, ostatnia nadzieja ratunku, ostatnia deska ocalenia — jedyne żywe stworzenie, które było przy niej. Bez tego konia czuła się bezsilną wobec tej nieznanej przestrzeni, która ją oddzielała od Chreptiowa, wobec borów, jarów i stepów, nie tylko bezbronną wobec pościgu ludzi i zwierząt, ale daleko więcej samotną, daleko bardziej opuszczoną.

Płakała, póki jej nie zbrakło łez. Potem przyszło wyczerpanie, zmęczenie i poczucie bezradności, tak silne, że niemal podobne do spokoju. Więc westchnąwszy głęboko raz i drugi, rzekła sobie:

— Przeciw woli Boskiej nie poradzę... tu już zamrę...

I zmrużyła oczy, tak dawniej jasne i wesołe, a dziś zgoła zapadnięte, podkrojone.

Swoją drogą, lubo ciało jej stawało się z każdą chwilą coraz bardziej ociężałe, myśl biła się jednak w jej głowie, jak strwożony ptak — i tak samo serce. Żeby to jej nikt nie kochał na świecie, mniejszy byłby żal umierać, ale przecie ją tak bardzo wszyscy kochali!

I wyobrażała sobie, co będzie, jak już zdrada Azyi i jej ucieczka staną się głośne; jak będą jej szukali, jak znajdą wreszcie, siniuchną, zmarzniętą, śpiącą snem wiecznym, pod owym krzem nad rzeką. I nagle ozwała się głośno:

— O! to będzie Michalisko desperował! Aj! aj!

Potem zaczęła go przepraszać, że to nie jej wina.

— Ja, Michałku — mówiła, obejmując go w myśli rękoma za szyję — uczyniłam wszystko, co w mocy mojej, ale trudno, mój drogi, Pan Bóg nie chciał...

I naraz owładnęła nią taka serdeczna miłość do ukochanego człowieka, taka chęć, by chociaż umrzeć w pobliżu tej drogiej głowy, że zebrawszy siły, podniosła się z nad brzegu i poszła..

Z początku szło jej niezmiernie trudno. Nogi jej odwykły, podczas długiej jazdy, od chodzenia, doznała takiego uczucia, jakby szła na cudzych. Szczęściem, nie było jej zimno, było jej nawet dość ciepło, bo gorączka nie opuszczała jej ani na chwilę.

Pogrążywszy się w las, szła wytrwale naprzód, uważając, aby słońce mieć po lewej ręce. Przeszło ono już istotnie na multańską stronę, bo była to druga połowa dnia, godzina może czwarta.

Basia mniej teraz zwracała uwagi na to, by nie zbliżyć się do Dniestru, bo ciągle zdawało jej się, że jest już za Mohilowem.

— Gdyby tak wiedzieć na pewno, gdyby tak wiedzieć! — powtarzała, podnosząc swą zsiniałą, a jednocześnie rozpaloną twarzyczkę ku niebu. — Gdyby zwierz jaki, lub jakie drzewo przemówiło i rzekło: do Chreptiowa mila, dwie — jeszczebym może doszła,..

Ale drzewa milczały, owszem, zdawały się jej nieprzyjazne i zagradzały korzeniami drogę. Basia potykała się co chwila o przypruszone śniegiem węzły i odskoki tych korzeni.

Po pewnym czasie stało jej się nieznośnie ciężko, więc zrzuciła z ramion ciepłą delijkę i pozostała w samym kubraczku. Ulżywszy sobie w ten sposób, szła i szła jeszcze spieszniej, to potykając się, to chwilami upadając na głębszym śniegu. Buciki z cienkiego safianu, podszyte futrem, bez osobnych podeszew, wyborne do sani lub konnej jazdy, nie chroniły dostatecznie jej stóp przed uderzeniami o kamienie i odziomki, a przytem zmoczone wielokrotnie na przeprawach i utrzymywane w stanie wilgoci przez ciepło rozpalonych teraz gorączką nóg, prędko mogły się zedrzeć w lesie.

— Dojdę bosa, albo do Chreptiowa, albo do śmierci — myślała Basia.

I uśmiech żałosny rozświecał jej twarzyczkę, bo cieszyło ją jednak, że idzie tak wytrwale i że jeśli zamrze w drodze, to Michał nie będzie mógł jej pamięci nic a nic zarzucić.

I ponieważ teraz rozmawiała już ciągle z mężem, więc zaraz rzekła:

— Oj, Michałku, innaby i tyle nie dokazała, na przykład Ewka...

O Ewce przychodziło jej nieraz myśleć w czasie tej ucieczki, nieraz też modliła się za nią, bo to było dla niej jasne, że jeśli Azya nie kochał tej dziewczyny, tedy los jej i wszystkich jeńców w Raszkowie pozostałych będzie straszny.

— Gorzej im, niż mnie — powtarzała co chwila i na myśl o tem nabierała nowych sił.

Ale teraz, gdy upłynęła jedna godzina, druga i trzecia, sił tych ubywało za każdym krokiem. Powoli słońce zatoczyło się za Dniestr i oblawszy niebo zorzą czerwoną, zgasło. Śnieg nabrał fioletowego odblasku. Potem owa złocista i purpurowa zórz topiel poczęła ciemnieć i zwężać się coraz

bardziej; z morza rozlanego do wpół nieba zmieniła się w jezioro, z jeziora w rzekę, z rzeki w strumień, nakoniec zabłyszczała, jak świetlista nić, rozciągnięta na zachodzie — i ustąpiła ciemności.

Nastała noc.

Upłynęła jeszcze godzina. Bór stał się czarny i tajemniczy, a nieporuszany żadnym powiewem, milczał, jakby się skupiał i rozważał, co ma uczynić z tem oto biednem, zabłąkanem stworzeniem. Nie było jednak nic dobrego w tej jego martwocie i ciszy, owszem, była nieczułość i zdrętwiałość.

Basia szła ciągle, chwytając coraz szybciej spieczonemi ustami powietrze, padała też coraz częściej i z powodu ciemności i braku sił.

Główkę miała zadartą do góry, ale nie patrzyła już na przewodni „wielki wóz“, bo straciła zupełnie poczucie kierunku. Szła, żeby iść. Szła dlatego, że poczęły na nią nadlatywać przedśmiertne widzenia, bardzo jasne i słodkie.

Oto naprzykład cztery strony boru poczynają się zbiegać szybko, łączą się w cztery ściany i tworzą świetlicę chreptiowską. Basia jest w niej i widzi wszystko wyraźnie. Na kominie pali się wielki ogień, a na ławach siedzą, jak zwykle, oficerowie; pan Zagłoba przekomarza się z panem Snitką; pan Motowidło siedzi milczący i patrzy w płomień, a gdy w płomieniu coś zapiszczy, to mówi swym przeciągłym głosem: „Duszo czyścowa, czego potrzebujesz?“ Pan Muszalski i pan Hromyka grają w kości z Michałem. Basia przychodzi ku nim i mówi: „Michałku, siądę na ławie i trocha się przytulę, bo mi nieswojo“. Michał wnet ją obejmuje: „Co ci, kocie? a może?...“ I pochyla się do jej ucha i coś szepce, a ona odpowiada: „Oj, jak mi nieswojo!“ Co to za jasna i spokojna świetlica, jaki kochany ten Michał — jeno Basi coś tak nieswojo, że aż ją trwoga bierze...

Basi jest tak dalece nieswojo, że gorączka opuszcza ją nagle, bo już zmogło ją przedśmiertne osłabienie. Widzenia znikają. Przytomność, a z nią pamięć wraca.

— Uciekam przed Azyą — mówi sobie Basia — jestem w lesie, w nocy, nie mogę dojść do Chreptiowa i umieram.

Po gorączce chłód obejmuje ją teraz szybko i przedostaje się przez ciało, aż do kości. Nogi uginają się pod nią i klęka wreszcie w śniegu, przed drzewem.

Najmniejsza chmurka nie zaciemnia teraz jej umysłu. Żal jej życia okrutnie, ale wie doskonale, że umiera i pragnąc polecić duszę Bogu, poczyna mówić przerywanym głosem:

— W imię Ojca i Syna...

. . . . . .

Dalszą modlitwę przerywają jej zaraz jakieś głosy dziwaczne, ostre, przeraźliwe i skrzypiące; rozlegają się one przykro i donośnie w ciszy nocnej.

Basia otwiera usta. Pytanie: „Co to jest?“ zamiera jej na wargach. Na chwilę przykłada drżące palce do twarzy, jakby nie chciała dać wiary i z ust jej wyrywa się nagle okrzyk:

— O Jezu, o Jezu! to żórawie studzienne, to Chreptiów! O Jezu!

Poczem, ta konająca przed chwilą istota, zrywa się i dysząc, drżąc, z oczyma wezbranemi łzami, z falującą piersią, pędzi przez las, upada i podnosi się znowu, powtarzając:

— Tam konie poją! To Chreptiów! to nasze żórawie!... Chociaż do bramy! choć do bramy... O Jezu!... Chreptiów, Chreptiów!...

A tu las rzednie, odkrywa się śnieżne pole i wzgórze, z którego kilkanaście par błyszczących oczu spogląda na biegnącą Basię.

Lecz to nie oczy wilcze... Ach, to okna chreptiowskie migocą słodkiem, jasnem i zbawczem światłem — to „fortalicya“, tam, na wzgórzu, właśnie tą wschodnią stroną zwrócona do lasu.

Było jeszcze drogi na stajanie, ale Basia nie wiedziała już, kiedy ją przebiegła. Żołnierze, stojący od strony wsi

przy bramie, nie poznali jej po ciemku, ale puścili, sądząc, że to pachołek, za czemś wysłany, wraca do komendanta; więc ostatnim tchem wpadła do środka, przebiegła przez majdan, obok żórawianych studni, przy których dragoni, wróciwszy przed chwilą z objazdu, poili na noc konie — i stanęła we drzwiach głównego domu.

Mały rycerz z panem Zagłobą siedzieli właśnie konno na ławie przed ogniem i popijając krupnik, rozmawiali o Basi, mniemając, że ona tam hen, gdzieś, zagospodarowywa się w Raszkowie. Obaj byli markotni, bo im tęskno za nią było okrutnie i obaj codzień spierali się o termin jej powrotu.

— Broń Boże nagłych odwilży, dżdżów i roztopów, to Bóg wie, kiedy wróci — mówił posępnie pan Zagłoba.

— Zima jeszcze zdzierży — odrzekł mały rycerz — a za jakie ośm, albo dziesięć dni, będę już coraz to spoglądał ku Mohilowu.

— Wolałbym, żeby nie była wyjeżdżała. Nic tu po mnie bez niej w Chreptiowie.

— A czemuś waćpan radził?

— Nie zmyślaj, Michale! Twoją się to głową stało...

— Byle tylko zdrowo wróciła!

Tu westchnął mały rycerz i dodał:

— Zdrowo i jako najprędzej!...

Wtem skrzypnęły drzwi i jakieś małe, nędzne, obdarte, pokryte śniegiem stworzenie, poczęło piszczeć żałośnie u proga:

— Michale, Michale!...

Mały rycerz, zerwał sie, ale w pierwszej chwili tak zdumiał, że stanął, jak skamieniały, na miejscu, ręce otworzył, oczyma jął mrugać — i stał.

— Michale!... Azya zdradził... mnie chciał porwać... alem uciekła i... ratuj!

To rzekłszy, poczęła chwiać się i padła, jak martwa, na ziemię; wtedy on skoczył, porwał ją, jak piórko, na ręce, krzyknąwszy przeraźliwie:

— Chryste miłosierny!

Lecz jej biedna, zsiniała głowa, zwisła bez życia na jego ramieniu, więc sądząc, że trupa tylko trzyma w objęciach, począł ryczeć okropnym głosem:

— Baśka umarła!.. umarła!... rety!...

ROZDZIAŁ XII.

Wieści o przybyciu Basi piorunem rozleciały się po Chreptiowie, ale nikt, prócz małego rycerza, pana Zagłoby i niewiast służebnych, nie widział jej ni tego wieczora, ni następnych.

Po omdleniu przy progu izby, odzyskała jeszcze do tyla przytomności, że mogła przynajmniej w kilku słowach powiedzieć, jak i co się zdarzyło, lecz wnet poczęły się nowe omdlenia, a w godzinę później, lubo ją cucono wszelkimi sposobami, ogrzewano, pojono winem, próbowano karmić, nie poznawała już nawet męża i nie było wątpliwości, że poczyna się dla niej długa i ciężka choroba.

Tymczasem jednak ruch uczynił się w całym Chreptiowic. Żołnierze, dowiedziawszy się, że „pani“ wróciła pół-żywa, wysypali się na majdan, jak rój pszczół; oficerowie zebrali się wszyscy w świetlicy i szepcąc z cicha, wyglądali niecierpliwie nowin z alkierza, w którym złożono Basię. Przez długi czas jednak nie można się było niczego dowiedzieć. Wprawdzie chwilami przemykały pędem służebne niewiasty, to do kuchni po grzaną wodę, to do apteki po plastry, maście i dryakwie, ale te nie pozwalały się zatrzymywać. Niepewność zaciążyła ołowiem na wszystkich sercach. Coraz większe tłumy nawet ze wsi, zbierały się na majdanie; pytania krążyły z ust do ust; rozeszła się wieść o zdradzie Azyi i o tem, że „pani“ ocaliła się ucieczką, ale że uciekała cały tydzień, bez jadła i spania.

Na ową wieść podnosiły się piersi wściekłością. Wreszcie ogarnęło gromady żołnierzy dziwne, a straszne wrzenie, bo tłumione obawą, by głośnym wybuchem nie narazić zdrowia chorej.

Nakoniec, po długiem oczekiwaniu, wyszedł do oficerów pan Zagłoba z czerwonemi oczyma i zjeżonemi resztkami włosów na głowie, a oni skoczyli ku niemu hurmem i sypnęły się wnet ciche, gorączkowe pytania:

— Żyje? żyje?

— Żyje — odparł staruszek — ale Bóg raczy wie dzieć, czy za godzinę...

Tu głos mu uwiązł w gardzieli, dolna warga poczęła mu się trząść i chwyciwszy się nagle rękoma za głowę, usiadł ciężko na ławie.

Poczem tłumione łkania poczęły poruszać jego pierś.

Na ów widok, pan Muszalski chwycił w objęcia pana Nienaszyńca, choć go zwyczajnie mniej lubił i zawył z cicha, a pan Nienaszyniec zawtórował mu zaraz. Pan Motowidło oczy wybałuszył, jakby chciał coś połknąć i nie mógł, pan Snitko począł drżącemi rękoma żupan rozpinać, a pan Hromyka ręce podniósł do góry i tak chodził po izbie.

Dojrzeli żołnierze przez okna te oznaki desperacyi, więc sądząc, że pani już umarła, wszczęli gwar i lament. Pan Zagłoba, posłyszawszy ten hałas, wpadł nagle w furyę i wyskoczył, jak z procy, na majdan.

— Cicho, szelmy! żeby was pioruny potrzaskały! — zawołał przyduszonym głosem.

Oni zaś umilkli naraz, zrozumiawszy, że jeszcze nie czas na lament, ale nie schodzili z majdanu. Pan Zagłoba zaś wrócił do świetlicy uspokojony nieco i znów siadł na ławie.

W tej chwili niewiasta służebna pokazała się znowu we drzwiach alkierza.

Pan Zagłoba zerwał się ku niej.

— Co tam?

— Śpi.

— Śpi? Chwała Bogu!

— Może Bóg da...

— Co pan komendant robi?

— Pan komendant przy łożu.

— To dobrze! ruszaj, pocoć posłano!

Pan Zagłoba zwrócił się do oficerów i rzekł, powtarzając słowa niewiasty:

— Może Bóg Najwyższy się zmiłuje. Śpi! Jakowaś nadzieja we mnie wstępuje... Uf!...

I oni odetchnęli równie głęboko. Potem zbili się naokół pana Zagłoby w ciasne kółko i poczęli dopytywać:

— Dla Boga! jakże się to stało? Co to było? Jakim sposobem piechotą uciekła?

— Z początku nie piechotą uciekała — odszepnął pan Zagłoba — jeno na dwóch koniach, bo i tego psa, żeby go mór pobił, zrzuciła z kulbaki.

— Uszom nie wierzym!

— Głownią od pistoletu dała mu między oczy, a że się wonczas przyzostali, nikt nie widział i nikt nie gonił. Jednego konia wilcy jej zarżnęli, drugi się utopił pod lodem. O Chryste miłosierny! Szło niebożątko samo przez bory, nic nie jedząc, nic nie pijąc!...

Tu ryknął znowu pan Zagłoba i przerwał na czas jakiś opowiadanie, a oficerowie także, aż się pokładali na ławy i z podziwu i ze zgrozy i z żalu nad ukochaną przez wszystkich niewiastą.

— Przyszedłszy pod Chreptiów — ciągnął po chwili pan Zagłoba — nie poznała już miejsca i gotowała się zamrzeć, dopieroż usłyszawszy skrzypienie studni, pomiarkowała, że blizko już i dowlokła się ostatnim tchem...

— Bóg ją strzegł w takich terminach — rzekł pan Motowidło, obcierając mokre wąsy — ustrzeże jej i dalej.

— Tak będzie! W sednoś waćpan ugodził! — poszepnęło kilka głosów.

Wtem z majdanu doszedł znowu gwar głośniejszy, pan Zagłoba znów się zerwał ze wściekłością i wypadł przed drzwi.

Głowa tam stała przy głowie; żołnierze, na widok pana Zagłoby i dwóch innych oficerów, cofnęli się półkolem.

— Cicho mi, sobacze dusze! — zaczął pan Zagłoba — bo każę...

Lecz z półkola wystąpił Zydor Luśnia, wachmistrz dra-

goński, szczery Mazur, ulubiony żołnierz pana Wołodyjowskiego i postąpiwszy parę kroków, wyprostował się, jak struna i rzekł stanowczym głosem:

— A to proszę, waszej miłości, inaczej nie ma być, jeno skoro ten taki syn panią naszą chciał ukrzywdzić, to my na niego chcemy ruszyć, by też mieć pomstę. Co ja gadam, tego wszyscy proszą. A jak pan pułkownik nie może, to my i pod inną komendą pójdziem, choćby do samego Krymu, byle onego dostać i za naszą panią nie darować!...

Zawzięta, zimna, chłopska groźba brzmiała w głowie wachmistrza; inni zaś dragoni i pocztowi z towarzyskich chorągwi poczęli zgrzytać zębami i z cicha w szable trzaskać i sapać i mruczeć.

Głuchy ten pomruk, jak pomruk niedźwiedzia w mroku nocnym, miał w sobie coś po prostu strasznego.

Wachmistrz stał wyprostowany i czekał odpowiedzi, za nim czekały całe szeregi i znać w nich było upór i zaciekłość tak wielką, że wobec niej nie ostała się nawet zwykła karność żołnierska.

Przez chwilę trwało milczenie. Nagle głos jakiś w dalszych szeregach ozwał się:

— Krew onego, najlepsze dla „pani“ lekarstwo!

Gniew pana Zagłoby opadł, bo rozczuliło go to przywiązanie żołnierstwa do Basi, a przytem na wzmiankę o lekarstwie, zaświtał mu w głowie inny zamiar, mianowicie sprowadzenia medyka do Basi.

W pierwszej chwili, w pustynnym Chreptiowie, nikt o tem nie pomyślał, ale przecie w Kamieńcu mieszkało kilku medyków, między nimi zaś jeden Grek, człek sławny, bogaty, kamienic kilka mający, a tak uczony, że niemal za czarnoksiężnika powszechnie go uważano. Była tylko wątpliwość, czy, będąc bogatym, chciałby jechać za jakąbądź cenę w taką pustynię, on, którego nawet magnaci „acanem“ tytułowali.

Pan Zagłoba zadumał się przez małą chwilę, poczem rzekł:

— Słuszna pomsta tego arcy-psa nie minie; ja wam to przyrzekam, a wolałby on pewnie, żeby mu król jegomość pomstę poprzysiągł, niźli Zagłoba. Jeno nie wiadomo, czy żyw jeszcze, bo go pani, wyrywając mu się z rąk, głownią od pistoletu w sam rozum ugodziła. Teraz wszelako nie czas o tem myśleć, bo naprzód trzeba panią ratować.

— My-by choćby własnem zdrowiem radzi! — odparł Luśnia.

A tłumy znów zamruczały na potwierdzenie słów wachmistrza.

— Słuchaj Luśnia — rzekł Zagłoba. — W Kamieńcu mieszka medyk, Rodopuł. Pojedziesz do niego; powiesz mu, że pan generał podolski zaraz pod miastem nogę wykręcił i ratunku czeka. A gdy ów jeno za murem będzie, chwycisz go za łeb, wsadzisz na koń, albo do worka i przywieziesz jednym pędem do Chreptiowa. Konie każę co parę stajań porozstawiać i będziecie w skok jechać. Bacz tylko, byś go żywego dowiózł, bo nic nam po umarłym.

Pomruk zadowolenia dał się słyszeć ze wszystkich stron, Luśnia zaś ruszył srogimi wąsami i rzekł:

— Już ja go dostanę i nie uronię, aż w Chreptiowie!

— Ruszaj!

— Proszę waszej miłości?

— Czego jeszcze?

— A jakby potem skapiał?

— Niech skapieje, byle dojechał żyw! Bierz sześciu ludzi i ruszaj!

Luśnia skoczył.

Inni radzi, że mogą coś dla pani uczynić, rzucili się konie kulbaczyć i w kilka pacierzy sześciu ludzi ruszyło do Kamieńca, za nimi zaś inni prowadzili luźne konie, by je porozstawiać po drodze.

Pan Zagłoba, zadowolony ze siebie, wrócił do świetlicy.

Po chwili, wyszedł z alkierza Wołodyjowski, zmieniony, wpół-przytomny, obojętny na słowa współczucia i pocie-

chy. Oświadczywszy panu Zagłobie, że Basia śpi ciągle, siadł na ławie i patrzył błędny w drzwi, za któremi leżała. Zdawało się oficerom, że nasłuchuje, więc wszyscy dech wstrzymywali i w izbie zapanowała cisza zupełna.

Po upływie pewnego czasu, Zagłoba zbliżył się na palcach do małego rycerza.

— Michale — rzekł — posłałem po medyka do Kamieńca, ale... ale możeby jeszcze po kogo posłać?...

Wołodyjowski patrzył, zbierał myśli i widocznie nie rozumiał.

— Po księdza — rzekł Zagłoba. — Ksiądz Kamiński na rano mógłby zdążyć?

Wówczas mały rycerz zamknął oczy, odwrócił pobladłą, jak chusta, twarz do komina i począł powtarzać prędkim głosem:

— Jezu, Jezu, Jezu!

Więc pan Zagłoba, nie pytając więcej, wyszedł i wydał rozporządzenia.

Gdy wrócił, Wołodyjowskiego nie było już w świetlicy. Oficerowie powiedzieli panu Zagłobie, że chora poczęła wołać męża, nie wiadomo: czy w gorączce, czy przytomnie.

Stary szlachcic przekonał się niebawem naocznie, że to w gorączce.

Policzki Basi kwitły jasnymi rumieńcami; pozornie wydawała się zdrową, ale oczy jej, jakkolwiek błyszczące, były mętne, jak gdyby źrenice rozpuściły się w białku; białawe jej ręce szukały czegoś przed sobą jednostajnym ruchem na kołdrze. Wołodyjowski leżał u jej nóg półżywy.

Od czasu do czasu chora mruczała coś z cicha, lub wymawiała głośniej niektóre wyrazy, między nimi zaś „Chreptiów“ powtarzał się najczęściej. Widocznie chwilami zdawało jej się, że jest jeszcze w podróży.

Pana Zagłobę szczególniej zaniepokoił ów ruch rąk na kołdrze, bo w jego bezświadomej jednostajności widział oznakę zbliżającej się śmierci. Człek był doświadczony

i wielu ludzi umierało w jego oczach, lecz nigdy serce nie krajało mu się takim żalem, jak na widok tego kwiatka, więdnącego tak wcześnie.

Więc zrozumiawszy, że Bóg jeden może uratować to gasnące życie, klęknął przy łożu i począł się modlić żarliwie.

Tymczasem oddech Basi stawał się coraz cięższy, a stopniowo zmieniał się w rzężenie. Wołodyjowski zerwał się od jej nóg. Zagłoba wstał z klęczek; obaj nie rzekli do się ani słowa, tylko spojrzeli sobie w oczy, a w spojrzeniu było przerażenie. Zdawało się im, że już kona. Ale trwało to tylko chwilę. Wkrótce oddech jej uspokoił się i nawet zwolniał.

Odtąd byli ciągle między obawą a nadzieją. Noc wlokła się leniwie. Oficerowie nie poszli także na spoczynek, ale siedzieli w świetlicy, to spoglądając na drzwi alkierza, to szepcąc między sobą, to drzemiąc. Pachoł wchodził co pewien czas dorzucać drzewa na komin, a za każdem poruszeniem klamką oni zrywali się z ław, sądząc, że to wchodzi Wołodyjowski lub Zagłoba i ze usłyszą straszne słowa:

— Już nie żyje!

Tymczasem kury poczęły piać, a ona tam jeszcze zmagała się z gorączką. Nad ranem zerwał się wicher okrutny z deszczem i huczał w belkach, wył w dachu, chwilami chwiał płomieniem w kominie, wyrzucając na izbę kłęby dymu i skry. O pierwszym brzasku pan Motowidło wyszedł po cichu, bo miał jechać na objazd. Nakoniec wstał dzień blady, chmurny i oświecił twarze zmęczone.

Na majdanie począł się zwykły ruch, słychać było wśród poświstów wichru tupot koński po stajennych dylach i ciągnienie żórawi i głosy żołnierskie, lecz wkrótce ozwał się dzwonek: przyjechał ksiądz Kamiński.

Gdy wszedł, przybrany w białą komżę, oficerowie poklękali. Zdawało się wszystkim, że nastała uroczysta chwila, po której niewątpliwie śmierć musi nadejść. Chora nie od-

zyskała przytomności, więc ksiądz nie mógł jej spowiadać. Dał jej tylko ostatnie namaszczenie, poczem zaczął małego rycerza pocieszać i namawiać, by poddał się woli Bożej. Atoli było temu nic po tej pociesze, bo żadne słowa nie mogły przez jego boleść przeniknąć.

Przez cały dzień śmierć krążyła nad Basią. Jak pająk, ukryty gdzieś w mrocznym kącie pułapu, wypełznie czasem na światło i na niewidzialnej nici spuszcza się ku dołowi, tak ona zdawała się chwilami zstępować tuż nad głowę Basi. I nieraz widziało się obecnym, że już cień jej pada na Basine czoło, że ta duszka jasna już, już roztwiera skrzydła, aby ulecieć z Chreptiowa gdzieś w nieskończone przestrzenie, na drugą stronę życia; poczem znów śmierć, jak pająk, kryła się pod pułapem i nadzieja napełniała serca.

Była to jednak niezupełna i czasowa tylko nadzieja, bo tego, żeby Basia miała przeżyć tę chorobę, nikt nie śmiał się spodziewać. Nie spodziewał się i Wołodyjowski, to też boleść jego stała się tak wielka, że pan Zagłoba, acz sam srodze strapiony, począł się lękać i polecać go opiece oficerów.

— Dla Boga! pilnujcie go — mówił — bo się nożem pchnie!

Wołodyjowskiemu wprawdzie nie przychodziło to do głowy, ale w tej targaninie żalu i bólu pytał się jednakże siebie ustawicznie:

— Jakże to ja mam zostać, kiedy ona odchodzi? Jakże mi puszczać samo to kochanie najdroższe? Co ona powie, gdy, obejrzawszy się, nie znajdzie mnie koło siebie.

I tak rozmyślając, pragnął umrzeć z nią razem ze wszystkich sił duszy, bo równie jak sobie nie wyobrażał życia na ziemi bez niej, tak samo nie rozumiał, aby ona w tamtem życiu mogła być szczęśliwą bez niego i za nim nie tęsknić.

Po południu złowrogi pająk skrył się znowu pod pułapem, rumieńce Basi przygasły i gorączka zmniejszyła się do tyla, że chorej wróciło nieco przytomności.

Czas jakiś leżała z zamkniętemi oczyma, poczem, otworzywszy je, popatrzała w twarz małego rycerza i spytała:

— Michałku, czy ja w Chreptiowie?

— Tak jest kochanie! — odrzekł, zaciskając zęby Wołodyjowski.

— I ty naprawdę stoisz przy mnie?

— Tak jest! Jak się czujesz?

— Oj, dobrze!...

Widać sama nie była pewna, czy to nie gorączka stawia jej przed oczyma złudne widzenia. Ale od tej chwili odzyskiwała coraz więcej przytomności.

Wieczorem nadjechał, wraz z ludźmi, wachmistrz Luśnia i wytrząsnął z worka przed fortalicyą kamienieckiego medyka, wraz z lekarstwami. Ów ledwie żył. Ale poznawszy, iż nie jest w zbójeckiem, jak mniemał, ręku, ale że do chorej został w ten sposób zaproszony, wkrótce, po przemijających mdłościach, zabrał się żywo do ratunku, zwłaszcza, że mu pan Zagłoba pokazał w jednej ręce mieszek, pełen czątych, w drugiej nabity pistolet, mówiąc:

— To nagroda za życie, a to za śmierć!

I tej samej nocy jeszcze, prawie o samem świtaniu, złowrogi pająk skrył się gdzieś raz na zawsze; natomiast wyrok medyka: „Będzie długo chorować, ale ozdrowieje“ — rozebrzmiał radosnem echem po całym Chreptiowie. Gdy go pierwszy Wołodyjowski usłyszał, padł na ziemię i rozszlochał się tak, iż zdawało się, że łkania piersi mu rozerwą; pan Zagłoba zesłabł całkiem z radości, aż twarz pokryła mu się potem i ledwie zdołał zawołać: „pić!“ Oficerowie brali się wzajem w ramiona.

A na majdanie zebrali się znów dragoni, pocztowi i Kozacy pana Motowidły. Ledwie ich można było wstrzymać od okrzyków. Chcieli koniecznie czemkolwiek okazać swą radość i poczęli prosić o kilku uwięzionych w chreptiowskich piwnicach lewensów, aby ich na intencyę „pani“ powiesić.

Ale mały rycerz odmówił.

ROZDZIAŁ XIII.

Przez tydzień jeszcze Basia chorzała tak ciężko, że gdyby nie zapewnienie medyka i mały rycerz i pan Zagłoba byliby przypuszczali, że płomyk jej życia zgaśnie lada chwila. Dopiero po upływie tego czasu uczyniło się jej znacznie lepiej; przytomność wróciła jej zupełnie i chociaż medyk przewidywał, że przyjdzie jej z miesiąc, albo półtora leżeć, przecie było już rzeczą pewną, że do zupełnego zdrowia powróci i dawne siły odzyska.

Pan Wołodyjowski, który w czasie choroby krokiem niemal nie odchodził od jej wezgłowia, pokochał ją po tych terminach — o ile to było możliwem — jeszcze ogniściej i świata za nią nie widział. Chwilami, gdy siedział przy niej, gdy patrzył w tę twarzyczkę, wychudłą jeszcze i mizerną, ale wesołą, w te oczy, w które z każdym dniem powracał dawny ogień, brała go ochota i śmiać się i płakać i krzyczeć z radości:

— Zdrowieje moja Baśka jedyna, zdrowieje!

I rzucał się do jej rąk, a czasem całował te biedne, małe stopki, które tak walecznie brnęły przez śniegi głębokie do Chreptiowa, słowem, kochał ją i czcił nadzwyczajnie. Czuł się też okrutnie dłużnym Opatrzności i pewnego razu rzekł wobec pana Zagłoby i oficerów:

— Chudym pachołek, ale choćbym miał ręce do łokci urobić, już-że się przecie na kościołek, bogdaj drewniany, zdobędę. Bo ile razy w nim dzwony zadzwonią, tyle razy wspomnę miłosierdzie Boskie i dusza zgoła rozpłynie się we mnie z wdzięczności!

— Daj Boże wpierw szczęśliwie turecką wojnę przebyć — odrzekł mu pan Zagłoba.

Na to mały rycerz ruszył wąsikami i odpowiedział:

— Pan Bóg najlepiej wie, co Go więcej udelektować może: zechce-li kościółka, to mnie uchroni, a jeśli będzie wolał krew moją, to Mu jej też nie poskąpię, jak mi Bóg miły!

Basia, wraz ze zdrowiem, odzyskiwała i humor. W dwa tygodnie później kazała odchylić nieco, wieczorem, drzwi od alkierza i gdy oficerowie zebrali się w świetlicy, ozwała się do nich swym srebrzystym głosem:

— Dobry wieczór waćpanom! Już nie zamrę, aha!

— Bogu Najwyższemu dzięki! — odpowiedzieli chórem żołnierze.

— Sława Bohu, detyno myłenkaja! — zawołał osobno pan Motowidło, który szczególniej ojcowskim afektem Basię kochał, a w chwilach wielkiego wzruszenia zawsze mówił po rusińsku.

— Patrzcie waćpanowie — mówiła dalej Basia — co to się stało! Ktoby się był tego spodziewał? Szczęście, że się jeszcze tak skończyło!

— Bóg czuwał nad niewinnością — ozwał się znów chór przeze drzwi.

— A pan Zagłoba nieraz mnie wyśmiewał, że to do szabli mam więcej ochoty, niż do kądzieli. Dobrze! Siłaby mi pomogła kądziel, albo igła! A przecie-żem się wcale po kawalersku spisała, nieprawdaż?

— Że i anioł-by się lepiej nie spisał!

Dalszą rozmowę przerwał pan Zagłoba zamknięciem drzwi od alkierza, bo się obawiał zbytniego zmęczenia dla Basi. Lecz ona poczęła na niego prychać, jak kotka, bo miała ochotę do dalszej pogawędki, a zwłaszcza do słuchania dalszych pochwał swego męstwa i dzielności. Teraz, gdy niebezpieczeństwo przeszło i stało się tylko wspomnieniem, była bardzo dumna ze swego postępku z Azyą i wymagała koniecznie pochwał. Niejednokrotnie też zwracała się do małego rycerza i dotykając palcem jego piersi, mówiła z miną rozpieszczonego dziecka:

— Chwalić za męstwo!

A on, posłuszny, chwalił, a on pieścił, całował po oczach i po rękach, aż pan Zagłoba, lubo sam rozczulał się nad nią w duszy niepomiernie, udając zgorszenie, począł mruczeć:

— Ha! rozpuści się do reszty, jak dziadowski bicz!...

Radość ogólną w Chreptiowie, z powodu ocalenia Basi,

mąciła tylko myśl o szkodzie, jaką zdrada Azyi Tuchaybeyowicza wyrządziła Rzeczypospolitej i o strasznym losie starego pana Nowowiejskiego, obydwóch pań Boskich i Ewki. Basia trapiła się tem niepomału, a z nią i wszyscy, bo już zdarzenia raszkowskie wiadome były dokładnie, nie tylko w Chreptiowie, ale w Kamieńcu i dalej. Przed kilku dniami zatrzymał się właśnie w Chreptiowie pan Myśliszewski, który pomimo zdrady Azyi, Kryczyńskiego i Adurowicza, nie tracił nadziei, że mu się jeszcze uda przeciągnąć na polską stronę innych lipkowskich rotmistrzów. W też ślady za panem Myśliszewskim przyjechał pan Bogusz, a po nim przyszły wiadomości wprost z Mohilowa, z Jampola i z samego Raszkowa.

W Mohilowie pan Gorzeński, widocznie lepszy żołnierz, niż mówca, nie dał się podejść. Przejąwszy rozkaz Azyi do pozostałych załogą Lipków, sam napadł na nich z garścią mazurskiej piechoty i wyciął, lub w niewolę zabrał; oprócz tego wysłał ostrzeżenie do Jampola, przez co i to drugie miasto ocalało. Potem wkrótce wróciły wojska. Tak więc jeden tylko Raszków padł ofiarą. Wołodyjowski odebrał stamtąd właśnie list od pana Białogłowskiego, donoszący o tamtejszych zdarzeniach i innych sprawach, dotyczących całej Rzeczypospolitej.

„Dobrze, żem przyjechał (pisał między innemi pan Białogłowski), gdyż Nowowiejski, który mnie zastępował, teraz nie byłby w stanie tej funkcyi pełnić. Już on do kościeja podobniejszy, niż do człowieka i pewnikiem wielkiego kawalera stracimy, bo go boleść nad miarę sił przycisnęła. Ojca mu zarżnięto, siostra w ostatniem pohańbieniu, przez Azyę Adurowiczowi darowana, a pannę Boską Azya wziął sobie. Nic już po nich, choćby się i udało je z jassyru wydobyć. Wiemy o tem od jednego Lipka, który przy przeprawie przez rzekę karku sobie nakręcił i uchwycon przez naszych, na węglach wszystko dywulgował. Azya Tuchay-beyowicz, Kryczyński i Adurowicz poszli aż hen, pod Adryanopol. Nowowiejski wydziera mi się za nimi koniecznie, mówiąc, że Azyę musi, choćby ze środka sułtań-

skiego obozu, wziąć i za swoje mu zapłacić. Zawsze on był zawzięty i rezolut, a teraz mu się nie dziwić, ile że o pannę Boską chodzi, której zły termin łzami rzewnemi wszyscy oblewamy, bo dziewka była słodka i nie wiem, któregoby serca tu sobie nie zjednała. Ja przecie Nowowiejskiego hamuję i powiadam, że Azya sam do niego przyjdzie, bo wojna pewna, a równie i to pewne, że ordy przodem ruszą. Mam wiadomości z Multan od perkułabów, ba! i od kupców tureckich, że pod Adryanopolem wojska już poczynają się zbierać. Ordy moc. Ściąga też jazda turecka, jak to oni nazywają: „spahisy“, a sam sułtan ma nadciągnąć z janczarami. Dobrodzieju! mrowie będzie nie przebrane, bo cały Wschód wyruszy, a u nas wojska garść. Cała nadzieja w opoce kamienieckiej, którą, daj Bóg, aby przystojnie opatrzono. W Adryanopolu już wiosna, a u nas omal, bo dżdże idą okrutne i trawa się pokazuje. Ja idę do Jampola, bo Raszków jeno kupa popiołu i niemasz gdzie głowy skłonić, ani co w gębę włożyć. Przytem tak myślę, że wkrótce nas ze wszystkich komend pościągają“.

Mały rycerz miał swoje wiadomości, również pewne, a nawet jeszcze pewniejsze, bo z Chocimia pochodzące, że wojna nieunikniona. Niedawno nawet posłał je hetmanowi. Jednakże list Białogłowskiego, jako z ostatniej rubieży pochodzący, właśnie dlatego, że te wiadomości potwierdzał, silne na nim uczynił wrażenie. Nie wojny jednak obawiał się mały rycerz, ale chodziło mu o Basię.

— Rozkaz hetmański, aby komendy ściągać — mówił do pana Zagłoby — może przyjść lada dzień i — służba służbą — trzeba będzie ruszać, nie mieszkając, a tu Baśka leży i c[illegible]s zły.

— Żeby i dziesięć rozkazów przyszło — odrzekł pan Zagłoba — Baśka grunt. Będziem siedzieć, dopóki całkiem nie ozdrowieje. Wojna przecie się nie zacznie, nie tylko przed końcem zimy, ale i przed końcem roztopów, tembardziej, że armatę ciężką będą przeciw Kamieńcowi prowadzić.

— Kiedy w waćpanu to zawsze stary wolentaryusz sie-

dzi — odparł niecierpliwie mały rycerz — waćpan myślisz, że rozkaz można dla prywaty spostponować.

— Ha! jeślić milszy rozkaz od Basi, to ją pakuj na wóz i jedź. Wiem, wiem, tyś ją dla rozkazu gotów choćby widłami podsadzać, jeśli się pokaże, że o własnej mocy do bryki siąść nie zdoła. Niechże was kaduk porwie z taką dyscypliną! Po staremu człowiek robił, co mógł, a czego nie mógł, to i nie czynił. W gębie masz miłosierdzie, ale niech jeno krzykną: „Hajda na Turka!“ — to je wypluniesz, jak pestkę, a tę niebogę przy koniu na arkanie poprowadzisz!

— Ja nie mam młosierdzia dla Basi?! Bójże się waćpan ran Ukrzyżowanego! — zakrzyknął mały rycerz.

Pan Zagłoba sapał czas jakiś gniewnie, dopieroż spojrzawszy na strapioną twarz Wołodyjowskiego, tak przemówił:

— Michale, wiesz, że co mówię, to mówię z afektu iście rodzicielskiego dla Baśki. Inaczej, czybym ja tu jeszcze siedział pod obuchem tureckim, zamiast wczasu w bezpiecznej stronie zażywać, czegoby mi w moich leciech i nikt za złe mieć nie mógł? A kto ci Bąśkę zaswatał? Jeśli się pokaże, że nie ja, to mi rozkaż wypić kadź wody, niczego dla smaku do niej nie przylawszy.

— Życiem się waćpanu za to nie wypłacę! — odrzekł mały rycerz.

I wzięli się w ramiona, poczem zapanowała zaraz między nimi najlepsza zgoda.

— Już ja sobie tak ułożyłem — rzekł mały rycerz — że gdy przyjdzie wojna, waćpan zabierzesz Baśkę i pojedziesz z nią do Skrzetuskich, do ziemi Łukowskiej. Tam przecie czambuły nie dojdą.

— Uczynię to dla ciebie, choć na Turka znalazłaby się ochotka, bo niemasz dla mnie nic bezecniejszego nad ten świński naród, wina niepijący!

— Jednego się tylko boję, oto, że Baśka naprze się do Kamieńca, żeby być przy mnie. Skóra mi cierpnie, gdy o tem pomyślę, a jak Bóg Bogiem, będzie się napierała.

— To nie pozwolisz. Mało to już złego z tego wynikło,

że jej we wszystkiem folgujesz i żeś na ową ekspedycyę raszkowską pozwolił, chociażem od razu przeciw niej zakrzyknął?

— A nieprawda! Powiedziałeś waćpan, że nie chcesz radzić.

— Skoro ja mówię, że nie chcę radzić, to gorzej, niżbym odradzał.

— Powinna mieć Baśka naukę, ale co to z nią! Jak będzie widziała miecz nad moją głową, uprze się!

— To nie pozwolisz, powtarzam! Dla Boga! co za słomiany mąż?

— Kiedy, confiteor, że jak ona piąstki w oczy wsadzi, a pocznie płakać, albo niech-li tylko zacznie płacz symulować, oho! już we mnie serce jako masło na patelni. Nie może być inaczej, tylko musiała mi coś zadać. Odesłać ją, odeślę, bo mi jej przezpieczeństwo od własnego zdrowia milsze, ale gdy pomyślę, że przyjdzie ją tak zmartwić — dalibóg — dech mi z żałości zapiera.

— Michale, miej-że Boga w sercu, nie daj się za nos wodzić!

— Ba, nie daj się! Któż i tak mówił, jeśli nie waćpan, że miłosierdzia żadnego nad nią nie mam?

— Hę? — rzekł Zagłoba.

— Waćpanu niby na przemyślności nie zbywa, a sam się teraz za ucho skrobiesz!

— Bo się namyślam, jakiej najlepiej perswazyi zażyć.

— A jak od razu piąstki w oczy wsadzi?

— Wsadzi, jak mi Bóg miły! — rzekł z widoczną obawą pan Zagłoba.

I tak się kłopotali obaj, bo prawdę rzekłszy, Basia pozbadła zupełnie ich obydwóch. Rozpieścili ją do ostatka w chorobie i tak kochali, że konieczność postąpienia wbrew jej sercu i chęci, napełniała ich przestrachem. Że Basia oporu nie stawi i podda się z pokorą wyrokowi, o tem wiedział dobrze i jeden i drugi, ale, nie mówiąc już o Wołodyjowskim, nawet pan Zagłoba wolałby uderzyć samotrzeć na cały pułk janczarów, niż widzieć ją wsadzającą piąstki do oczu.

ROZDZIAŁ XIV.

Tymczasem tego samego dnia nadeszła im niezawodna, jak sądzili, pomoc, w osobach niespodzianych, a miłych nad wszystko gości. Oto, pod wieczór, przyjechali bez żadnego poprzednio oznajmienia, oboje Ketlingowie. Radość i zdumienie na ich widok były w Chreptiowie nieopisane; oni zaś, dowiedziawszy się od pierwszego pytania, że Basia przychodzi już do zdrowia, ucieszyli się również bardzo. Krzysia skoczyła zaraz do alkierza i w tejże chwili wychodzący stamtąd pisk i okrzyki oznajmiły rycerzom o uszczęśliwieniu Basi.

Ketling z Wołodyjowskim trzymali się długi czas w objęciach, to odsuwając się wzajem od siebie na odległość ramienia, to znów łącząc się w uścisku.

— Dla Boga! — rzekł mały rycerz — Ketling! Do buławy mniejbym się ucieszył, niż do ciebie, ale co porabiasz w tych stronach?

— Pan hetman mnie przełożonym nad artyleryą kamieniecką uczynił — odrzekł Ketling — więc przyjechaliśmy z żoną do Kamieńca. Tam, dowiedziawszy się o terminach, jakie was spotkały, wybraliśmy się bez zwłoki do Chreptiowa. Chwała Bogu, mój Michale, że się wszystko szczęśliwie zakończyło. Jechaliśmy w strapieniu wielkiem i niepewności, bośmy jeszcze nic nie wiedzieli, czy tu na radość, czy na smutki przyjeżdżamy.

— Na uciechę, na uciechę! — wtrącił pan Zagłoba.

— Jakże się to stało? — pytał Ketling.

Mały rycerz i pan Zagłoba poczęli na wyprzodki opowiadać, a Ketling słuchał, oczy i ręce do góry wznosił i Basine męstwo podziwiał.

Nagadawszy się do syta, jął mały rycerz dopytywać Ketlinga, co się z nim działo, a ów szczegółowie zdawał sprawę. Po ślubie mieszkali na pograniczu Kurlandyi. Było im ze sobą tak dobrze, że i w niebie nie mogło być lepiej.

Ketling, biorąc Krzysię, wiedział doskonale, że „nadziemską istotę“ bierze i tego zdania dotychczas nie zmienił.

Panu Zagłobie i Wołodyjowskiemu przypomniał się po tem wyrażeniu dawny Ketling, zawsze wyrażający się dwornie a górno — i poczęli go na nowo ściskać, a gdy już tymi uściskami nasycili swą przyjaźń dostatecznie, stary szlachcic spytał:

— Zali tej nadziemskiej istocie nie przytrafił się jakowyś ziemski casus, który nogami wierzga i palcem w gębie zębów szuka?

— Bóg nam dał syna! — odrzekł Ketling — a teraz znowu...

— Zauważyłem — przerwał Zagłoba. — A tu u nas wszystko po staremu!

To rzekłszy, utkwił swoje zdrowe oko w małym rycerzu, ów zaś począł raz po razu wąsikami ruszać.

Dalszą rozmowę przecięło wejście Krzysi, która, ukazawszy się we drzwiach, rzekła:

— Baśka prosi.

Ruszyli zaraz wszyscy do alkierza i tam zaczęły się nowe powitania. Całował Ketling ręce Basi, a Wołodyjowski znów Krzysine, zarazem zaś przypatrywali się sobie wszyscy ciekawie, jak ludzie, którzy nie widzieli się dawno.

Ketling nie zmienił się prawie nic: włosy miał tylko krótko obcięte i to czyniło go młodszym; natomiast Krzysia była zmieniona, przynajmniej w owym czasie, niepomiernie. Nie była tak wiotka i wysmukła, jak dawniej i na twarzy była bledsza, przez co meszek nad jej ustami wydawał się ciemniejszy. Zostały jej tylko dawne, prześliczne oczy, z niezmiernie długiemi rzęsami i dawna w obliczu pogoda. Ale rysy jej, niegdyś tak cudne, straciły dawną subtelność. Mogło to być wprawdzie chwilowe tylko, jednakże Wołodyjowski, spoglądając na nią i porównując ją ze swą Baśką, mimowoli mówił sobie:

— Dla Boga! jak ja mogłem w tej się kochać, tam, gdzie obie były razem? Gdzie ja miałem oczy?

Przeciwnie zaś Baśka, wydawała się Ketlingowi prześli-

czną. Bo też była śliczna ze swoją płową, wichrowatą czupryną nasuniętą na brwi, ze swoją cerą, która straciwszy nieco rumieńców, stała się po chorobie do listka białej róży podobna. Teraz jednak twarzyczka jej, zarumieniona cokolwiek z radości i delikatne jej chrapki poruszały się szybko. Wydawała się tak młoda, że prawie niedorosła i na pierwszy rzut oka możnaby było sądzić, że jest o jakie dziesięć lat od Ketlingowej młodsza.

Ale jej piękność podziałała tylko w ten sposób na czułego Ketlinga, że jeszcze z większą tkliwością począł myśleć o żonie, bo czuł się względem niej winnym.

Obie niewiasty wypowiedziały sobie już wszystko, co w krótkim przeciągu czasu można było wypowiedzieć, więc teraz cała kompania, zasiadłszy przy łóżku Basi, poczęła wspominać dawne czasy. Ale ta rozmowa nie szła jakoś, były bowiem w tych dawniejszych czasach różne drażliwe materye: były konfidencye pana Michałowe z Krzysią i obojętność małego rycerza względem ukochanej teraz Baśki i różne przyrzeczenia i różne desperacye. Pobyt w Ketlingowym dworku miał dla wszystkich urok i wdzięczną pozostawił po sobie pamięć, ale mówić o tem było niezręcznie.

Wkrótce też Ketling rozpoczął z innej beczki.

— Nie wspominałem jeszcze — rzekł — iżeśmy po drodze wstępowali do państwa Skrzetuskich, którzy nas przez dwie niedziele puścić nie chcieli i tak podejmowali, że i w niebie nie mogłoby nam być lepiej.

— Na miły Bóg! jak się mają Skrzetuscy? — zawołał pan Zagłoba. — To i jegoście w domu zastali?

— Zastaliśmy, bo na czas od pana hetmana z trzema starszymi synami przyjechał, którzy w kompucie służą.

— Skrzetuskich nie widziałem od czasu naszego wesela — rzekł mały rycerz. — Był on tu w Dzikich Polach i synowie byli z nim razem, ale nie przygodziło się spotkać.

— Okrutnie tam wszyscy tęsknią za jegomością! — rzekł Ketling, zwracając się do pana Zagłoby.

— Ba! a ja za nimi! — odparł stary szlachcic. — Ale to tak: siedzę tu, kuczy mi się bez nich; pojadę tam, będzie mi się kuczyć bez tej łasicy... Takie to życie ludzkie, że nie w jedno, to w drugie ucho wiatr wieje... A najgorzej sierocie, bo żebym ja miał co swego, tobym cudzego nie kochał.

— Waćpana-by i rodzone dzieci więcej od nas nie miłowały — odrzekła Basia.

Usłyszawszy to pan Zagłoba, uradował się bardzo i porzuciwszy tęskne myśli, wpadł zaraz w jowialny humor, więc posapawszy nieco, odrzekł:

— Ha! głupi byłem wtedy u Ketlinga, żem oto i Krzyśkę i Baśkę wam swatał, a o sobie nie pomyślał! Jeszcze był czas...

Tu zwrócił się do niewiast:

— Przyznajcie się, że obie kochałybyście się we mnie i że każda wolałaby za mnie iść, niż za Michała, albo Ketlinga.

— Ma się rozumieć! — zawołała Basia.

— Halszka Skrzetuska tężby mnie była w swoim czasie wolała. Ha! stało się! To mi dopiero niewiasta stateczna, nie żadna powsinoga, co Tatarom zęby wybija! A zdrowa tam ona?

— Zdrowa, jeno nieco strapiona, bo im dwóch średnich z Łukowa ze szkół do wojska uciekło — odrzekł Ketling — sam Skrzetuski jeszcze rad, że to w wyrostkach taka fantazya, ale matka, zwyczajnie matka!

— Siła tam wszystkich dzieci? — spytała z westchnieniem Baśka.

— Chłopców jest dwunastu, a teraz poczęła się płeć nadobna — odrzekł Ketling.

Na to pan Zagłoba:

— Ha! szczególne błogosławieństwo Boże nad tym domem! Wszystkom to pohodował na własnem łonie, jako pelikan... Muszę średniakom uszu nakręcić, bo jeśli mieli uciekać, niechby byli tu, do Michała, uciekli... Czekajcie-no, to musiał drapnąć Michałek z Jaśkiem? Takie tam było

tego mrowie, że samemu ojcu imiona się mieszały. A wrony to na pół mili naokół nie ujrzysz, bo wszystko, szelmy, z guldynek wystrzelały. Ba, ba! drugiej takiej niewiasty ze świecą szukać! Co jej, bywało, powiem: „Halszka! basałyki mi dorastają, trzeba mi nowej uciechy!“ — to niby na mnie fuknie, a na termin jest! jakoby kto zapisał! Imainujcie sobie: do tego doszło, że jak która podwika w okolicy nie mogła się konsolacyi doczekać, to szat od Halszki pożyczała — i pomagało, jak mi Bóg miły!...

Wszyscy zdziwili się bardzo, tak, że nastąpiła chwila milczenia — poczem ozwał się nagle głos małego rycerza:

— Baśka! słyszysz?

— Michał, będziesz cicho? — odpowiedziała Basia.

Lecz Michał nie chciał być cicho, bo mu różne chytre myśli przyszły do głowy, zwłaszcza zaś wydało mu się, że przy tej sprawie można będzie i drugą, równie ważną załatwić, więc począł mówić, niby tak sobie, od niechcenia, jako o rzeczy w świecie najzwyczajniejszej:

— Dalibóg, wartoby też Skrzetuskich odwiedzić! No, jego nie będzie, bo on do hetmana ruszy, ale ona przecie ma rozum i Pana Boga kusić nie zwykła, więc ostanie w domu.

Tu zwrócił się do Krzysi:

— Idzie wiosna i aura będzie piękna. Teraz dla Baśki jeszcze zawcześnie, ale później nieco, dalibóg, możebym się nie sprzeciwił, bo to przyjacielski obowiązek. Pan Zagłoba by was tam obie odwiózł, a na jesień, jak się to uspokoi, to i jabym za wami ściągnął...

— A to jest arcyprzednia myśl! — zawołał pan Zagłoba. — Ja i tak muszę jechać, bom już ich niewdzięcznością nakarmił. Ha! zapomniałem, że żyją na świecie! aż mi wstyd!

— Co waćpani na to? — pytał Wołodyjowski, patrząc pilnie w Krzysine oczy.

Lecz ta najniespodziewaniej odrzekła, ze zwykłym sobie spokojem:

— Radabym, ale nie może to być, bo ja w Kamieńcu przy mężu zostanę i żadną miarą go nie odstąpię.

— Dla Boga, co słyszę! — zawołał Wołodyjowski. — Waćpani w twierdzy zostaniesz, która napewno oblegana będzie i to przez nieprzyjaciela, żadnej dyskrecyi nieznającego. Nie mówię jeszcze, żeby z jakim politycznym nieprzyjacielem miała być wojna, ale tu przecie z barbarzyństwem sprawa. Azali waćpani wiesz, co to zdobyte miasto? co to turecki albo tatarski jassyr? Uszom swoim nie wierzę!

— A wszelako nie może inaczej być! — odrzekła Krzysia.

— Ketling! — zawołał w rozpaczy mały rycerz — tak-że to dałeś się już opanować? Człowieku, miej Boga w sercu!

— Deliberowaliśmy długo — odrzekł Ketling — i na tem stanęło.

— I syn nasz już w Kamieńcu jest, pod opieką jednej mojej powinowatej. Zali Kamieniec koniecznie ma być zdobyty?

Tu Krzysia podniosła swe pogodne źrenice do góry.

— Bóg i od Turka mocniejszy, ufności naszej nie zawiedzie! A żem przysięgła mężowi, iż go do śmierci nie opuszczę, przeto moje miejsce przy nim.

Mały rycerz zmieszał się okropnie, bo właśnie czego innego od Krzysi oczekiwał.

Basia zaś, która od samego początku rozmowy, spostrzegłszy zaraz, dokąd Wołodyjowski zdąża, uśmiechnęła się chytrze, teraz utkwiła w niego bystre swe oczka i rzekła:

— Michale, słyszysz?

— Baśka! będziesz cicho! — zawołał w najwyższej konfuzyi mały rycerz.

To rzekłszy, począł rzucać desperackie spojrzenia na pana Zagłobę, jakby oczekując od niego ratunku, ale ów zdrajca powstał nagle i rzekł:

— Trzeba też o jakowymś posiłku pomyśleć, bo nie samem słowem człowiek żyje.

I wyszedł z alkierza.

Pan Michał pognał wkrótce za nim i zastąpił mu drogę.

— No i co teraz? — spytał Zagłoba.

— No i co?

— A niech tę Ketlingową kule biją! Dla Boga! jak niema ginąć ta Rzeczpospolita, kiedy białogłowy w niej rządzą?...

— Nic-że waćpan nie wymyślisz?

— Jak ty się żony boisz, co ja ci na to wymyślę? Każ się kowalowi podkuć — ot, co!

ROZDZIAŁ XV.

Ketlingowie zabawili około trzech tygodni. Po upływie tego czasu Basia próbowała powstać z łóżka, ale pokazało się, iż jeszcze nie może utrzymać się na nogach. Zdrowie wracało jej wcześniej od sił — i medyk rozkazał jej leżeć, póki całkiem czerstwość nie wróci.

A tymczasem uczyniła się wiosna. Naprzód wstał od strony Dzikich Pól i Czarnego morza duży, a ciepły wiatr, porozrywał i poszarpał oponę chmur, jakby zetlałą ze starości szatę, a potem począł owe chmury zganiać i rozganiać po niebie, równie jak pies owczarski zgania i rozgania stado owiec. Chmury, uciekając przed nim, zlewały często ziemię dżdżem obfitym, o grubych, jak jagody kroplach. Roztopione resztki śniegu i lodu utworzyły na równym stepie jeziora; z wiszarów poczęły spływać wstążeczki wody, w jarach na dnie wezbrały strumienie, a wszystko to leciało z szumem, gwarem i hałasem do Dniestru, tak właśnie, jak dzieci lecą radośnie do matki.

W przerwach między chmurami przeświecało co chwila słońce jasne, odmłodzone, a jakieś mokre, jak gdyby w tej powszechnej topieli wykąpane.

Potem jasno-zielone źdźbła trawy poczęły się wychylać z rozmiękłej ziemi; cienkie gałązki drzew nabrzmiały obfitem pąkowiem. Słońce dogrzewało coraz mocniej; na niebie

pojawiły się stada ptastwa; więc klucze żórawi, dzikich gęsi, bocianów, zaczem wiatr począł przywiewać chmury jaskółek; zarechotały żaby wielkim chórem w ugrzanej wodzie; rozśpiewało się, aż do zapamiętania drobne, szare ptastwo — i przez bory, przez lasy, przez stepy i jary poszedł jeden wielki rozgłos, jakoby całe przyrodzenie krzyczało w radości i uniesieniu:

— Wiosna! uha! wiosna!

Lecz dla tych nieszczęsnych krain wiosna przynosiła żałobę, nie radość — i śmierć, nie życie. W kilka dni po wyjeździe Ketlingów, mały rycerz odebrał następującą wiadomość od pana Myśliszewskiego:

„Na błoniu Kuczunkauryjskiem coraz większy wojska congressus. Sułtan posłał znaczne sumy do Krymu. Chan w pięćdziesiąt tysięcy ordy idzie w pomoc Doroszeńce. Nawała, jak tylko wody obeschną, ruszy szlakiem Czarnym i Kuczmieńskim. Niech Bóg zmiłuje się nad Rzecząpospolitą!“

Wołodyjowski posłał natychmiast pachołka swego, Piętkę, z tą wiadomością do hetmana.

Sam jednak nie spieszył się z Chreptiowa. Naprzód, jako żołnierz, nie mógł owej stanicy bez rozkazu hetmańskiego opuścić, potem zbyt wiele lat spędził na „procederze“ z Tatary, aby nie miał wiedzieć, że czambuły tak prędko nie ruszą. Jeszcze-ż wody nie opadły, jeszcze trawy nie wyrosły dostatecznie, jeszcze i Kozacy na zimowiskach stali. Turków spodziewał się mały rycerz chyba dopiero latem, bo chociaż zbierali się już pod Adryanopolem, ale tak olbrzymi tabor, takie tłumy wojsk, sług obozowych, ciężarów, koni, wielbłądów i bawołów mogły się posuwać bardzo wolno. Komunika tatarskiego należało wyglądać wcześniej, bo w końcu kwietnia, lub na początku maja. Wprawdzie, przed głównem sieheniem, liczącem dziesiątki tysięcy wojowników, spadały zawsze na kraj luźne czambuliki i mniej więcej liczne watahy, jak pojedyncze krople dżdżu spadają przed walną ulewą. Ale tych nie bał się mały rycerz, nawet wyborowy komunik tatarski nie był w stanie dotrzymać w otwartem polu jeździe Rzeczypospolitej,

a cóż dopiero takie kupy, które na samą wieść o zbliżaniu się wojsk, rozpraszały się, jak kurzawa przed wichrem.

W każdym razie było czasu dość, a gdyby go nawet nieco zbrakło, nie byłby pan Wołodyjowski bardzo od tego, aby otrzeć się o jakowe czambuły, w sposób równie dla nich pamiętny, jak dotkliwy.

Był to żołnierz z krwi i kości, żołnierz z zawodu, więc blizkość wojny budziła w nim głód na krew nieprzyjacielską, a jednocześnie wracała mu spokój.

Pan Zagłoba, jakkolwiek z wielkiemi niebezpieczeństwy przez długie życie niezmiernie już otrzaskany, mniej jednak był spokojny. W nagłych razach umiał on znaleźć odwagę; wyrobił ją wreszcie w sobie przez długą, choć często mimowolną praktykę i znacznych w życiu przewag dokonał, zawsze jednak pierwsza wieść o wojennej grozie czyniła na nim wielkie wrażenie.

Lecz gdy mały rycerz wyłożył mu swój sposób widzenia, nabrał i on lepszej otuchy, a nawet począł wyzywać cały Wschód i odgrażać się na niego.

— Gdy chrześcijańskie nacye ze sobą wojują — mówił — i Pan Jezus smutny i wszyscy święci się w głowę skrobią, bo tak zwykle bywa, że gdy frasobliwy pan, frasobliwa i czeladź; ale kto Turka bije, nie może milszej rzeczy niebu uczynić. Słyszałem to od pewnej duchownej persony, że święci, to po prostu mdłości na widok onych psubratów dostają, przez co niebieskie jadło i napitki nie idą im na pożytek i nawet wiekuista szczęśliwość się psowa.

— Pewnie tak musi być — odrzekł mały rycerz — Tylko że to potęga turecka niezmierna, a nasze wojska w przygarść możnaby zmieścić.

— Przecie całej Rzeczypospolitej nie zwojują. Mało to miał potęgi Carolus Gustavus: pod te czasy były wojny i z Septentrionami i z Kozaki i z Rakoczym i z elektorem, a dziś, gdzie oni? Jeszcześmy do ich domowych pieleszy ogień a miecz ponieśli...

— Prawda jest. Personaliter nie bałbym ja się tej wojny, zwłaszcza, że jako mówiłem, muszę czegoś znacznego dokazać, aby się Panu Jezusowi i Najświętszej Pannie za miłosierdzie nad Baśką wypłacić. Daj Bóg jeno sposobność!... Ale o te ziemie mi chodzi, które wraz z Kamieńcem snadnie w ręce pogańskie przejść, choćby na czas, mogą. Wyimaginuj sobie waćpan, co to będzie za pohańbienie kościołów Pańskich i ucisk ludu chrześcijańskiego!

— Jeno mi o Kozactwie nie gadaj! Szelmy! To przeciw matce ręce podnosili, niechże ich spotka to, czego sami chcieli. Najważniejsza rzecz, żeby Kamieniec się oparł! Jak myślisz, Michale, oprze się?

— Myślę, że pan generał podolski nie opatrzył go należycie, a mieszczanie, ubezpieczeni położeniem, nie uczynili też tego, co powinni. Ketling mówił, że przyszły tam regimenty księdza biskupa Trzebickiego, bardzo moderowane. Dla Boga! oparliśmy się pod Zbarażem tylko za lichym wałem, równie wielkiej przemocy, powinniśmy się oprzeć i teraz, boć to orłowe gniazdo ten Kamieniec...

— Ha! orłowe gniazdo, ale nie wiadomo, czy się orzeł w niem znajdzie, jako był Wiśniowiecki, czy jeno wrona? Znasz-li generała podolskiego?

— Możny pan i dobry żołnierz, ale trocha niedbały.

— Wiem, znam. Nieraz-em mu to wyrzucał. Panowie Potoccy chcieli swego czasu, żebym z nim za granicę dla jego edukacyi jechał, żeby to pięknych manier przy mnie nabrał. Ale ja powiedziałem: „Nie pojadę właśnie dla jego niedbałości, bo on u żadnego buta dwóch uszów nie ma i w moichby się po dworach prezentował, a safian drogi“. Potem przy Maryi Ludovice po francusku chodził, ale ciągle go pończochy opadały i gołemi łydkami świecił. Nie dorośnie on i do pasa Wiśniowieckiemu!

— Łyczkowie kamienieccy także się wielce oblężenia boją, bo w czasie oblężenia handel stoi. Woleliby oni i do Turków należeć, byle sklepów nie zamykać.

— Szelmy! — rzekł Zagłoba.

I obaj z małym rycerzem zakłopotali się srodze przy-

szłym losem Kamieńca; chodziło im prywatnie o Basię, która w razie poddania twierdzy, musiałaby los wszystkich mieszkańców podzielić.

Lecz po chwili pan Zagłoba uderzył się w czoło.

— Dla Boga! — rzekł — czego my się frasujem? A po co do tego parszywego Kamieńca chodzić i w nim się zamykać? Nie lepiej ci to przy hetmanie zostać i w polu przeciw nieprzyjacielowi czynić? A w takim razie Baśka przecie się do chorągwi nie zaciągnie i musi gdzieś odjechać, ale nie do Kamieńca, jeno gdzieś daleko, chociażby do Skrzetuskich. Michale! Bóg patrzy w moje serce i widzi, jaką mam przeciw poganom żądzę, ale już dla ciebie i dla Baśki to uczynię, że ją odwiozę.

— Dziękuję waćpanu — odrzekł mały rycerz. — Jużci żebym ja nie miał być w Kamieńcu, nie napierałaby się tam i Baśka, ale co robić, jak rozkaz od hetmana przyjdzie?

— Co robić, jak rozkaz przyjdzie?... Bodaj kaduk porwał wszystkie rozkazy!... Co robić... Czekaj! poczynam myśleć bystrze. Oto trzeba rozkaz uprzedzić!

— Jakże to?

— Napisz zaraz do pana Sobieskiego, niby o nowinach mu donosząc, a wkońcu powiedz, że coram blizkiej wojny, chciałbyś z miłości, jaką dla niego masz, przy jego osobie zostawać i w polu czynić. Na rany Boskie! to jest arcyprzednia myśl! Bo naprzód i to jest niepodobne, żeby takiego zagończyka, jak ty jesteś, za murem zamykano, zamiast go w polu zażywać, a powtóre za list takowy hetman jeszcze bardziej cię pokocha i zechce przy sobie mieć. Będzie on także potrzebował wiernych żołnierzy... Słuchaj tylko, jeśli się Kamieniec obroni, to sława na generała podolskiego spadnie, a czego w polu dokażesz, to na chwałę hetmańską pójdzie. Nie bój się! hetman cię generałowi nie odda!... Prędzejby kogo innego oddał, ale ciebie, ni mnie, nie odda!... Pisz list! Przypomnij się mu! Ha! wart mój dowcip jeszcze czegoś lepszego, niż żeby go

kury na śmieciach dziobały! Michale! napijmy się przy tej okazyi, albo co! Pisz list!

Wołodyjowski uradował się istotnie bardzo; uściskał pana Zagłobę i pomyślawszy chwilę, rzekł:

— I ani Pana Boga, ani ojczyzny, ani hetmana przytem nie oszukam, bo pewnie, że w polu siła będę mógł dokazać. Dziękuję waści z serca! Tak i ja myślę, że hetman zechce mnie mieć pod ręką, zwłaszcza po liście. Ale żeby i Kamieńca nie zaniechać, wiesz waćpan, co uczynię? Oto przygarść piechoty swoim sumptem wymoderuję i Kamieńcowi poślę. Zaraz do hetmana i o tem napiszę.

— Jeszcze lepiej! Ale, Michał, skądże ludzi weźmiesz?

— Mam w piwnicach ze czterdziestu zbójców i lewensów, tych wezmę. Baśka (że to, ile razy kazałem kogo powiesić, zawsze mnie molestowała, bym go darował zdrowiem) nieraz mi już radziła, żebym ze zbójów żołnierzy uczynił. Nie chciałem, bo trzeba było przykładu. Ale teraz wojna na karku i wszystko można. Chłopy to okrutne, którzy już proch wąchali. Rozgłoszę przytem, że kto dobrowolnie do regimentu z jarów, albo z odojów się stawi, temu będą dawne zbójeckie uczynki darowane. Zbierze się ze sto ludzi. Baśka też będzie kontenta. Wielki ciężar waćpan zdjąłeś mi z serca!...

I tego samego dnia mały rycerz wyprawił nowego posłańca do hetmana, zbójom zaś ogłosił łaskę i darowanie życia, jeśli do piechoty się zaciągną. Ci przystali radośnie i obiecali innych pociągnąć. Basia uradowała się niezmiernie. Sprowadzono krawców z Uszycy, z Kamieńca i skąd było można, dla szycia barwy. Dawni zbóje musztrowali się na chreptiowskim majdanie, pan Wołodyjowski zaś radował się w sercu na myśl, że sam w polu przeciw nieprzyjacielowi będzie czynił, żony na niebezpieczeństwa oblężenia nie narazi, a przecie Kamieńcowi i ojczyźnie znaczną przysługę odda.

I owe roboty trwały już przez kilka tygodni, gdy pewnego wieczora wrócił posłaniec z listem od pana hetmana Sobieskiego.

Hetman pisał, co następuje:

„Mój kochany i wielce mi miły Wołodyjowski! Że mi tak pilno wszystkie nowiny przysyłasz, za to i jać wdzięczności dochowam i ojczyzna wdzięczną ci być powinna. Wojna pewna. Mam i skądinąd wieści, że na Kuczunkaurach stoi potęga okrutna; z ordą będzie na trzysta tysięcy. Ordy ruszą ladachwila. O nic tak sułtanowi nie chodzi, jako o Kamieniec. Zdrajcy Lipkowie wszystkie drogi Turkom pokażą i o Kamieńcu ich nauczą. Mam nadzieję, że owego żmiję Tuchay-beyowicza Bóg wyda w twoje ręce, albo Nowowiejskiego, nad którego krzywdą szczerze boleję. Quod attinet tego, abyś i ty przy mnie był, Bóg widzi, jakobym rad, ale nie może to być. Pan generał podolski różną mi wprawdzie po elekcyi życzliwość okazywał, ja zaś najlepszego żołnierza chcę mu posłać, bo mi o ową opokę kamieniecką, jako o źrenicę oka, chodzi. Będzie tam siła ludzi, którzy raz, albo dwa razy w życiu wojny zaznali, ale tak, jakoby ktoś osobliwszą potrawę niegdy jadł, którą potem całe życie wspomina; człowieka zaś, któryby jej jako chleba powszedniego zażywał i doświadczoną radą mógł posłużyć — zbraknie, albo jeśli tacy będą, to bez należytej powagi. Przeto ja ciebie tam posyłam, bo Ketling dobry żołnierz, ale mniej znany, na ciebie zaś tamtejsze obywatelstwo będzie miało oczy obrócone i tak myślę, że chociaż komenda ostanie przy kim innym, jednako, co powiesz, tego chętnie posłuchają. Niebezpieczna to może być ta służba w Kamieńcu, wszelako my już do tego przywykli, że na owym deszczu mokniem, przed którym inni się chowają. Nam dość nagrody w sławie i wdzięcznej pamięci, ale główna rzecz ojczyzna, do której ratowania ekscytować cię nie potrzebuję".

List ten, czytany w gronie oficerów, wielkie uczynił wrażenie, bo wszyscy oni woleliby służyć w polu, niźli w twierdzy. Wołodyjowski schylił głowę.

— Co myślisz, Michale? — spytał Zagłoba.

Ów zaś podniósł twarz już uspokojoną i odrzekł równie

spokojnym głosem, jakby żadnego zawodu w nadziejach nie doznał:

— Pójdziem do Kamieńca... Co mam myśleć?

I mogło się zdawać, że nic innego nigdy nie powstało mu w głowie.

Po chwili jednak ruszył wąsikami i rzekł:

— Hej! towarzysze mili, pójdziemy do Kamieńca, ale go nie damy, chyba, że sami polegniem!

— Chyba, że polegniem! — powtórzyli oficerowie. — Raz człeku śmierć.

Pan Zagłoba milczał czas jakiś, wodząc oczyma po obecnych i widząc, że wszyscy czekają na to, co chce powiedzieć, nagle odsapnął i rzekł:

— Idę z wami. Niech dyabeł porwie!

ROZDZIAŁ XVI.

Zaś gdy ziemia obeschła i pobujniały trawy, ruszył chan własną osobą w pięćdziesiąt tysięcy ordy krymskiej i astrachańskiej na pomoc Doroszowi i zbuntowanym Kozakom. I sam chan i jego krewni sułtankowie i wszyscy znaczniejsi murzowie i beyowie, mieli na sobie kaftany, w podarunku od padyszacha przysłane i szli na Rzeczpospolitą nie tak już, jako chodzili zwykle po łup i jassyr, ale na wojnę świętą, na „kęsim“ i „pohybel“ Lechistanowi i chrześcijaństwu.

Druga, jeszcze większa burza, zbierała się pod Adrianopolem, a przeciw tej powodzi sterczała jedna kamieniecka opoka, zresztą Rzeczpospolita leżała, jak step otwarty, albo jak człowiek chory, niemocen nie tylko się bronić, ale i powstać na nogi. Wyczerpały ją poprzednie, chociaż przy końcu zwycięskie, wojny szwedzkie, pruskie, moskiewskie, kozackie, węgierskie; wyczerpały konfederacye wojskowe i bunty przeklętej pamięci Lubomirskiego, a teraz do reszty osłabiły ją domowe rozterki, niedołęstwo królewskie,

niezgody możnych, zaślepienie bezmyślnej szlachty i groza domowej wojny.

Próżno wielki Sobieski ostrzegał przed zatraceniem, nikt w wojnę wierzyć nie chciał; zaniechano środków obrony, więc skarb nie miał pieniędzy, hetman wojsk. Potędze, którejby przymierze wszystkich chrześcijańskich ludów zaledwie sprostać mogło, zdolen był hetman przeciwstawić zaledwie kilka tysięcy ludzi.

Tymczasem na Wschodzie, gdzie wszystko stawało się wolą padyszacha, a ludy były, jako miecz w ręku jednego człowieka, działo się zgoła inaczej. Z chwilą, gdy tylko rozwinięto wielką chorągiew proroka i rozwieszono buńczuki na serajowej bramie i wieży seraskieratu, a ulemowie poczęli głosić wojnę świętą, poruszyło się pół Azyi i cała północ Afryki.

Sam padyszach stanął o wiośnie na Kuczunkauryjskiem błoniu i jął zgromadzać niewidzianą od dawna w świecie potęgę. Sto tysięcy spahów i janczarów, wyboru tureckiego wojska, stanęło przy jego świętej osobie, a potem zaczęły ściągać wojska ze wszystkich najdalszych krajów i posiadłości. Którzy zamieszkiwali Europę, ci stanęli najwcześniej. Przyszły zastępy konnych begów bośniackich, barwą do zorzy, furyą do błyskawicy podobnych; przyszli dzicy wojownicy albańscy, handżarami piechotą walczący; przyszły watahy poturczeńców serbskich; nadciągnął lud, który nad brzegami Dunaju zamieszkiwał i niżej, z tamtej strony Bałkanów i jeszcze niżej, aż do gór greckich. Każdy basza wiódł armię całą, która sama jedna zdolnaby była zalać bezbronną Rzeczypospolitą.

Przyszli Wołochowie i Multańczycy, stanęli w sile Tatarzy dobruccy i białogrodzcy; stanęło kilka tysięcy Lipków i Czeremisów, którym straszny Azya Tuchay-beyowicz przewodził, a którzy przewodnikami po nieszczęsnej, dobrze sobie znanej krainie, być mieli.

Potem zaś jęło płynąć pospolite ruszenie z Azyi. Baszowie Siwasu, Brussy, Alepu, Damaszku, Bagdadu, prócz regularnych wojsk, przyprowadzili ze sobą tłumy orężne,

począwszy od dzikich górali, z cedrem okrytych gór Azyi Mniejszej, skończywszy na smagłych mieszkańcach pobrzeży Eufratu i Tygru.

Stanęli na wezwanie kalifa i Arabowie, których burnusy pokryły jakoby śniegiem Kuczunkauryjskie błonie; byli między nimi i koczownicy z pustyń piaszczystych i mieszkańcy miast od Medyny do Mekki.

Nie została w domowych pieleszach i hołdownicza egipska potęga. Którzy w rojnym Kairze siedzieli, którzy co wieczora patrzyli w płonące zorzą piramidy, którzy błądzili po tebańskich ruinach, którzy mieszkali w owych mrocznych krajach, skąd święty Nil wypływa, którym słońce spaliło na kolor sadzy skórę — ci wszyscy tkwili teraz orężnie na adryanopolskiej grudzi, modląc się co wieczora o zwycięstwo dla Islamu, o zagładę dla krainy, co sama jedna zasłaniała od wieków przed wyznawcami proroka resztę świata.

Były krocie zbrojnego ludu, setki tysięcy koni rżały na błoniu, setki tysięcy bawołów, owiec i wielbłądów, pasły się obok stad końskich. Można było mniemać, że z rozkazu Bożego anioł wypędził ludy z Azyi, jak niegdyś Adama z raju i kazał im iść w strony, w których słońce bledsze i step śniegiem się zimą pokrywa. Więc szli, wraz ze stadami, mrowiem nieprzebranem, biali, ciemni i czarni wojownicy.

Ileż tam było słychać języków, ile strojów odmiennych błyszczało w wiosennem słońcu! Narody dziwiły się narodom; obce były jednym drugich obyczaje, nieznana broń, odmienne wojowania sposoby i tylko wiara łączyła te wędrowne pokolenia, tylko, gdy muezzini poczęli wzywać na modlitwę, wówczas te różnojęzyczne zastępy zwracały się twarzą ku wschodowi, jednym głosem wzywając Allaha.

Samej służby przy sułtańskim dworze więcej było, niż wszystkich wojsk w Rzeczypospolitej. Za wojskiem i zbrojną ochotniczą hassą ciągnęły tłumy bazarników, sprzedających towar wszelaki; wozy ich, wraz z wojskowymi, płynęły rzeką.

Dwóch trójbuńczucznych baszów, na czele dwóch wojsk, nie miało innej roboty, jeno dostarczać spyży tej ćmie ludzkiej — i była wszystkiego obfitość. Sangrytański sandżak czuwał nad całym taborem prochów.

Z wojskiem szło dwieście dział, z tych dziesięć „burzących“, tak wielkich, jakich żaden król chrześcijański nie posiadał. Beglerbeyowie azyatyccy stali na prawem skrzydle, europejscy zaś na lewem. Namioty zajmowały tak wielką przestrzeń, że wobec nich Adryanopol wydawał się niezbyt wielkim grodem. Same sułtańskie, lśniące od purpury, jedwabych sznurów, atłasów i złotych haftów, stanowiły jakby osobne miasto.

Wśród nich mrowiły się zbrojne straże, czarni rzezańcy z Abisynii, w kaftanach żółtych i niebieskich: olbrzymi hamalowie z kurdyjskich plemion, przeznaczeni do noszenia ciężarów; młode pacholęta z pokoleń Uzbeków, o twarzach nad miarę pięknych, poprzysłanianych jedwabnemi frendzlami i mnóstwo innej służby, pstrej i barwnej, jako kwiaty stepowe, to masztalerskiej, to stołowej, to do noszenia lamp, to wreszcie do posługi ważniejszym dworzanom oddanej.

Na obszernym majdanie, naokół sułtańskiego dworu, który przepychem i rozkoszą raj obiecany wiernym przypominał, stały nie tak okazałe, ale królewskim równe, dwory wezyra, ulemów i anatolskiego baszy, młodego kajmakana Kara Mustafy, na którego i sułtańskie i wszystkie w całym obozie oczy zwrócone były, jako na przyszłe „słońce wojny“.

Przed namiotami padyszacha widać było świetne straże „polachskiej“ piechoty, przybranej w zawoje tak wysokie, że ludzie, noszący je, wydawali się olbrzymami. Zbrojna ona była w dziryty, osadzone na długich ratyszczach i krótkie, krzywe miecze. Płócienne jej schroniska dotykały do schronisk sułtańskich.

Dalej szedł obóz straszliwych janczarów, zbrojnych w muszkiety i włócznie, jądro potęgi tureckiej stanowiących. Ni cesarz niemiecki, ni król francuski, nie mogli się pochlubić

piechotą, równą tej liczbą i bojową sprawnością. W wojnach z Rzecząpospolitą, miększy wogóle lud sułtański nie mógł się mierzyć w równej sile z komputowemi wojskami — i czasem tylko niezmierną przewagą liczebną przygniatał je i zwyciężał. Lecz janczarowie nawet regularnym chorągwiom jazdy ośmielali się stawiać czoło. Budzili oni postrach w całym chrześcijańskim świecie, a nawet w samym Carogrodzie.

Częstokroć i sam sułtan drżał przed tymi pretoryanami, a główny aga tych „baranków“ bywał jednym z najważniejszych dygnitarzy w Dywanie.

Za janczarami stali spahowie, za nimi regularne wojska baszów, a dalej pospolitacka hassa. Cały ten obóz od kilku miesięcy stał już pod Konstantynopolem, czekając, aż się potęga uzupełni przybywającemi z najdalszych stron tureckiego władztwa zastępami i aż słońce wiosenne, wyssawszy wilgoć z ziemi, ułatwi pochód do „Lechistanu“.

Słońce zaś, jakoby także woli sułtana podległe, świeciło pogodnie. Od początku kwietnia do maja zaledwie kilka razy dżdże ciepłe zrosiły Kuczunkauryjskie błonie, zresztą nad namiotem sułtana zwieszał się błękitny Boży namiot bez chmurki. Blaski dzienne grały na białych płótnach, na bombiastych zawojach, na różnobarwnych kefijach, na ostrzach hełmów, chorągwi i dzirytów, zatapiając wszystko — i obóz i namioty i ludzi i stada — w morzu jasnego światła.

Wieczorem na pogodnem niebie połyskiwał nieprzesłonięty tumanem sierp księżyca i patronował cicho tym tysiącom, które pod jego znakiem ciągnęły na zdobywanie ziem coraz nowych; potem wybijał się coraz wyżej na niebo i bladł przy łunie ognisk. Lecz gdy one rozbłysły na całej niezmiernej przestrzeni, gdy piesi Arabowie z Damaszku i Alepu, zwani mianem „massała-działarów“, pozapalali zielone, czerwone, żółte i błękitne lampy wedle sułtańskich i wezyrskich namiotów, zdawać się mogło, że to szmat nieba upadł na ziemię i że to gwiazdy tak się mienią i migocą na błoniu.

Wzorowy ład i posłuch panowały wśród tych zastępów. Baszowie gięli się, jak trzcina pod wichrem, przed wolą sułtańską, przed nimi gięło się wojsko. Nie zbrakło spyży dla ludzi i stad. Wszystkiego dostarczano nad miarę, wszystkiego w porę. We wzorowym również porządku przechodziły godziny ćwiczeń wojennych, godziny posiłku i modlitwy.

W chwilach, gdy muezzini poczęli wzywać z pobudowanych naprędce drewnianych wieżyczek na modlitwę, całe wojsko obracało się twarzą ku wschodowi, każdy rozścielał przed sobą skórę lub dywanik i całe wojsko padało, jak jeden człowiek na kolana. Na widok zaś owego ładu i owych karbów, rosły serca w tłumach i dusze napełniały się pewną nadzieją zwycięstwa.

Sułtan, przybywszy do obozu pod koniec kwietnia, nie od razu w pochód ruszył. Czekał przeszło miesiąc, żeby wody obeschły; tymczasem wojsko ćwiczył, do obozowego życia je wezwyczajał, rządził, posłów przyjmował i roki pod purpurowym baldachimem odprawiał.

Cudna, jak sen, pierwsza małżonka, Kasseka, towarzyszyła mu na wyprawę, a z nią szedł, również do rajskiego snu podobny, dwór.

Złocony wóz wiózł panią pod namiotem z purpurowego tyftyku, za nim szły inne wozy i białe syryjskie wielbłądy, także purpurą kryte, juki niosące. Hurysy i bajadery śpiewały jej pieśni przez drogę. Słodkie tony cichych instrumentów odzywały się natychmiast, gdy zmęczona drogą przymykała jedwabiste zasłony swych oczu — i kołysały ją do snu. W czasie znoju dziennego powiewały nad nią wachlarze z piór strusich i pawich; wschodnie bezcenne wonie płonęły w indyjskich czarach przed jej namiotami.

Towarzyszyły jej wszystkie skarby, cuda i bogactwa, na jakie tylko Wschód i potęga sułtańska zdobyć się mogły. Hurysy, bajadery, czarni rzezańce, służebne, do aniołów podobne pacholęta, syryjskie wielbłądy, konie z pustyń

Arabii, słowem cały orszak połyskiwał od bisiorów, lam, złotogłowiów, lśnił się, jak tęcza od dyamentów, rubinów, szmaragdów i szafirów.

Padały przed nim na twarz narody, nie śmiąc spojrzeć w to oblicze, do którego jeden tylko padyszach miał prawo — i zdawał się ów orszak albo nadziemskiem widzeniem, albo rzeczywistością, przez samego Allaha ze świata widzeń i sennej ułudy na ziemię przeniesioną.

Lecz słońce grzało coraz silniej i nadeszły nareszcie dni znojne. Więc pewnego wieczora zaciągnięto chorągiew na wysoki maszt przed sułtańskim namiotem i wystrzał z działa zwiastował wojskom i ludom, iż pochód do Lechistanu się rozpoczyna. Zahuczał wielki święty bęben, huknęły wszystkie inne, ozwały się przeraźliwemi głosami piszczałki, zawyli pobożni półnadzy derwisze i rzeka ruszyła pod noc, dla uniknięcia słonecznego skwaru. Ale samo wojsko miało dopiero w kilka godzin od ogłoszenia pierwszego hasła wyruszyć.

Najpierw poszedł tabor, poszli ci baszowie, którzy spyżę dla wojska obmyślali, poszły legie całe rzemieślników, którzy mieli rozpinać namioty, poszły stada już to juczne, już na rzeź przeznaczone. Pochód miał trwać sześć godzin i tej nocy i następnych, a zaś odbywać się w takim porządku, aby żołnierz, przyszedłszy na postój, zastawał zawsze posiłek i spoczynek zapewniony.

Gdy wreszcie nadszedł czas ruszyć i na wojsko, sułtan wyjechał na wzgórze, aby całą swą potęgę okiem objąć i widokiem jej się nacieszyć. Był z nim wezyr i ulemowie i młody kajmakan, Kara Mustafa, „wschodzące słońce wojny“ i straż, z kompanii „polachskiej“ piechoty złożona. Noc była pogodna i widna; księżyc świecił bardzo jasno — i mógłby sułtan objąć okiem wszystkie swoje zastępy, gdyby nie to, że żadne oko ludzkie nie zdołałoby ich naraz ogarnąć, bo rozciągnąwszy się w pochodzie, choć idąc dość ciasno, kilka mil zajmowały.

Jednakże radował się w sercu i przesuwając wonne, z sandałowego drzewa, paciorki różańca, wznosił oczy ku

niebu w podzięce Allahowi, iż go panem tylu wojsk i tylu ludów uczynił.

Nagle, gdy już czoło taboru zasunęło się w dal prawie zupełnie, przerwał modlitwę, zwróciwszy się do młodego kajmakana, Czarnego Mustafy, rzekł:

— Przepomniałem, kto idzie w przedniej straży?

— Światłości rajska! — odrzekł Kara Mustafa — w przedniej straży idą Lipkowie i Czeremisy, a wiedzie ich twój pies, Azya, syn Tuchay-beya...

ROZDZIAŁ XVII.

Azya Tuchay-beyowicz, po długim postoju na Kuczunkauryjskiem błoniu, rzeczywiście ruszył z Lipkami na czele pochodu wszystkich wojsk tureckich, ku granicom Rzeczypospolitej.

Po ciężkiej porażce, jaką z dzielnej ręki Basi poniosły jego zamiary i jego osoba, pomyślna gwiazda zdawała się mu znów świecić. Naprzód wyzdrowiał. Uroda jego wprawdzie była raz na zawsze zniszczona: jedno oko wypłynęło mu zupełnie, nos był zmiażdżony, a twarz jego, niegdyś do sokolej głowy podobna, stała się potworna i straszna. Ale właśnie ów postrach, jakim przejmowała ludzi, czynił mu jeszcze większy mir między dzikimi dobruckimi Tatary.

Przybycie jego miało wielki rozgłos w całym obozie, a czyny jego w opowiadaniu ludzkiem rosły i olbrzymiały. Mówiono, że przywiódł wszystkich Lipków i Czeremisów w sułtańską służbę; że podszedł Lachów, jak nikt nigdy nie podszedł; że popalił wszystkie miasta na dniestrzańskim szlaku, wyciął ich załogi i wziął łupy znamienite.

Ci, którzy mieli dopiero iść do Lechistanu; ci, którzy nadciągnąwszy z dalekich kątów Wschodu, nie zaznali dotąd „lackiego“ oręża; ci, którym serca biły niespokojnie na myśl, że wkrótce przyjdzie im stanąć oko w oko stra-

sznej jeździe niewiernych — widzieli w młodym Azyi wojownika, który już „Lachom“ stawił czoło, który się ich nie uląkł, owszem, zwyciężył ich i uczynił szczęśliwy wojny początek.

Widok „bagadyra“ napełniał po prostu serca otuchą; że zaś Azya był synem strasznego Tuchay-beya, którego imię grzmiało na całym Wschodzie, więc tembardziej zwracały się nań wszystkie oczy.

— Lachy go chowali — mówiono — ale on syn lwa: pokąsał ich i wrócił na służbę padyszacha.

Sam wezyr zapragnął go widzieć, a „wschodzące słońce wojny“, młody kajmakan Kara Mustafa, rozkochany w sławie wojennej i dzikich wojownikach, pokochał go. Obaj pilnie wypytywali go o Rzeczpospolitą, hetmana, wojska, Kamieniec i radowali się z jego odpowiedzi, widząc z nich, że wojna będzie łatwą, że sułtanowi zwycięstwo, Lachom klęskę, im zaś obum miano „ghazich“, to jest zdobywców, przynieść musi.

Więc później często miewał Azya sposobność padać na twarz przed wezyrem, siadywać u progu kajmakanowego namiotu i liczne od obydwóch odebrał dary w wielbłądach, koniach i broni.

Wielki wezyr darował mu kaftan ze srebrnej lamy, którego posiadanie wywyższyło go w oczach wszystkich Lipków i Czeremisów. Kryczyński, Adurowicz, Morawski, Grocholski, Tworkowski, Aleksandrowicz, słowem wszyscy ci rotmistrze, którzy niegdyś w Rzeczypospolitej mieszkali i jej służyli, a teraz do sułtana wrócili, poddali się bezspornie pod komendę Tuchay-beyowicza, czcząc w nim zarówno kniaże pochodzenie, jak i wojownika, który kaftan otrzymał. Został więc murzą znacznym i przeszło dwa tysiące wojowników, nieporównanie dzielniejszych od zwykłych Tatarów, słuchało jego skinienia.

Nadchodząca wojna, w której młodemu murzy łatwiej, niż komu innemu, było się odznaczyć, mogła go wynieść wysoko; mógł w niej znaleźć dostojeństwa, sławę, władzę.

A jednak Azya nosił truciznę w duszy. Naprzód pychę jego bodło to, że Tatarzy wobec Turków samych, zwłaszcza wobec janczarów i spahów, niewiele więcej znaczyli, niż gończe psy wobec myśliwych.

Sam on znaczył, ale Tatarów wogóle za nikczemny uważano komunik. Turczyn potrzebował ich, czasem się obawiał, ale w obozie nimi pogardzał. Azya, spostrzegłszy to, wyłączył swoich Lipków z ogólnej tatarskiej hassy, jakby osobny, a lepszy rodzaj wojska, lecz zaraz oburzył tem na się innych dobruckich i białogrodzkich murzów, nie zdołał zaś wpoić przekonania w rozmaitych tureckich oficerów, aby Lipkowie mieli być czemś istotnie od czambułowych ordyńców lepszem.

Z drugiej strony, wychowany w kraju chrześcijańskim, wśród szlachty i rycerstwa, nie mógł przywyknąć do obyczajów Wschodu. W Rzeczypospolitej był tylko zwykłym oficerem i to pośledniejszego znaku, a przecie, stykając się ze starszyzną i z samym hetmanem, nie potrzebował się tak uniżać, jak tu, będąc murzą i wodzem wszystkich lipkowskich ściahów. Tu, przed wezyrem, trzeba było na twarz padać, w kajmakana przyjacielskim namiocie czołem do ziemi bić, płaszczyć się przed baszami, przed ulemami, przed głównym agą janczarskim.

Azya do tego nie przywykł; pamiętał o tem, że był witeziowym synem, duszę miał dziką i pełną pychy, tak wysoko mierzącą, jak orły mierzą, więc bolał srodze.

Lecz najbardziej paliło go ogniem wspomnienie Basi. Mniejsza już o to, że jedna słaba ręka zwaliła z konia jego, który pod Bracławiem, pod Kalnikiem i w stu innych miejscach wyzywał na harce i rozciągał trupem najgroźniejszych harcowników zaporoskich; mniejsza o wstyd, mniejsza o hańbę! Ale on tę niewiastę miłował bez miary, bez pamięci, chciałby ją posiadać w swoim namiocie, patrzyć na nią, bić, całować.

Gdyby mu dano do wyboru padyszachem zostać i rządzić połową świata, albo ją wziąć w ramiona, czuć sercem ciepło jej krwi, twarzą jej oddech, wargami jej wargi —

toby ją wolał, niż Carogród, Bosfor i miano kalifa. Pragnął jej, bo ją kochał; pragnął jej, bo jej nienawidził; im bardziej była cudzą, tem pragnął jej więcej; im czystszą, wierniejszą, bardziej niepokalaną, tem pragnął jej więcej. Nieraz, gdy w namiocie wspominał, że raz już w życiu całował w parowie po bitwie z Azbą-beyem jej oczy, że pod Raszkowem już czuł pierś jej na swojej, to porywało go szaleństwo żądz.

Nie wiedział nic, co się z nią stało, czy zginęła w drodze. Czasem doznawał ulgi na myśl, że zmarła; czasem chwytał go żal niezgłębiony. Były chwile, że myślał, iż lepiej było nie porywać jej, nie palić Raszkowa, lepiej było nie przychodzić tu, zostać Lipkiem w Chreptiowie — byle na nią choć patrzeć.

Natomiast nieszczęsna Zosia Boska była u niego w namiocie. Życie jej płynęło w niewolniczych posługach, w hańbie i ciągłem przerażeniu, bo w sercu Azyi nie było dla niej kropli litości. Po prostu znęcał się nad nią, za to tylko, że nie była Basią. Miała ona wszakże słodycz i urok polnego kwiatu, miała młodość i piękność, więc on nasycał się jej pięknością, lecz z lada powodu kopał ją nogami, lub smagał puhą białe jej ciało. Żyć w gorszem piekle nie mogła, bo żyła bez nadziei. Życie jej właśnie zakwitło w Raszkowie, jak wiosna, kwieciem miłości, dla młodego Nowowiejskiego. Kochała go z całej duszy, kochała ze wszystkich sił tę rycerską, szlachetną i poczciwą zarazem naturę, a oto była igraszką i niewolnicą tego potwornego ślepca: drżąca, jak bity pies, musiała się czołgać u jego nóg i patrzyć mu w twarz i patrzyć na ręce, czy nie chwytają za batog z surowca — i tamować dech — i tamować łzy.

Wiedziała o tem dobrze, że niema i nie może być nad nią miłosierdzia, bo choćby jaki cud wyrwał ją z tych strasznych rąk, już ona nie była dawną Zosią, białą, jak pierwsze śniegi, zdolną zapłacić czystem sercem za kochanie. Wszystko to minęło bezpowrotnie. A że w tem ogromnem pohańbieniu, w którem żyła teraz, nie było jej

najmniejszej winy, że przeciwnie, była przedtem zawsze dziewczyną bez zmazy, jak baranek, dobrą, jak gołąb, ufną, jak dziecko, prostą, kochającą — więc nie rozumiała, dlaczego dzieje się jej straszna krzywda, która już nie może być nagrodzoną, dlaczego cięży nad nią taki nieubłagany gniew Boży — i ta rozterka duszna zwiększała jej ból, jej rozpacz.

Tak jej poczęły płynąć dni, tygodnie, miesiące. Azya w zimie jeszcze przybył na Kuczunkauryjskie błonie, a pochód do granic Rzeczypospolitej rozpoczął się dopiero w czerwcu. Cały ten czas płynął Zosi w hańbie, w męce i pracy. Ponieważ Azya, mimo jej piękności i słodyczy, mimo, iż trzymał ją w namiocie, nie tylko nie kochał jej, ale raczej nienawidził za to, że nie była Basią i uważał za prostą niewolnicę, zatem musiała i pracować, jak niewolnica. Ona poiła jego konie i wielbłądy w rzece; ona nosiła wodę na ablucye, drwa na ogień; ona rozścielała skóry na noc; ona warzyła strawę. W innych oddziałach wojsk tureckich niewiasty nie wychodziły z namiotów, ze strachu przed janczarami, lub ze zwyczaju, ale lipkowski obóz stał opodal, obyczaj zaś ukrywania niewiast nie był między Lipkami rozpowszechniony, bo mieszkając niegdyś w Rzeczypospolitej, do czego innego przywykli. Niewolnice prostych żołnierzy, o ile który z nich brankę posiadał, nie zakrywały nawet twarzy jaszmakami. Niewiastom nie wolno było wprawdzie wydalać się z granic lipkowskiego majdanu, gdyż poza temi granicami porwanoby je niezawodnie, ale w samym majdanie mogły wszędy chodzić bezpiecznie i zajmować się obozową gospodarką.

Mimo ciężkiej pracy, było to dla Zosi nawet pewną pociechą wyjść po drwa, lub ku rzece, do „poiska“ z końmi, z wielbłądami, bo w namiocie bała się płakać, a przez drogę mogła dać folgę łzom bezkarnie. Raz, idąc z naręczami drzew, spotkała matkę, którą był Azya Halimowi darował. Padły sobie w objęcia i siłą je trzeba było rozrywać, a choć Azya wysmagał potem Zosię, nie szczędząc uderzeń puhy nawet po głowie, jednak było to słodkie.

spotkanie. Drugi raz, piorąc chusty i onuce Azyowe u brodu, ujrzała Zosia z daleka Ewkę, idącą z wiadrami wody. Ewka stękała pod ciężarem wiader; postać jej była już mocno zmieniona i ociężała, ale rysy, lubo przysłonięte jaszmakiem, przypomniały Zosi Adama — i taki ból chwycił jej serce, że przytomność opuściła ją na chwilę. Wszelako nie mówiły do siebie nic ze strachu.

Strach ów przytłumiał i opanowywał stopniowo wszystkie uczucia Zosi, aż wreszcie został sam jeden na miejscu pragnień, nadziei, pamięci. Nie być bitą — to stało się jej celem. Basia, na jej miejscu, byłaby zabiła Azyę jego własnym nożem, pierwszego dnia, bez względu na to, coby ją potem spotkać mogło; lecz bojaźliwa Zosia, pół-dziecko jeszcze, nie miała Basinej dzielności.

I oto przyszło wkońcu do tego, że uważała za łaskę, gdy straszny Azya, pod wpływem chwilowej żądzy, zbliżał czasem swoją zeszpeconą twarz do jej ust. Siedząc w namiocie, nie spuszczała oczu ze swego pana, pragnąc poznać, czy gniewny, czy niegniewny, śledząc jego ruchy, starając się odgadnąć chęci.

A gdy, bywało, odgadła źle i gdy mu z pod wąsów, jak ongi staremu Tuchay-beyowi, poczynały błyskać kły, wówczas bezprzytomna prawie z przerażenia czołgała mu się u nóg, przyciskając zbladłe wargi do jego butów, obejmując konwulsyjnie kolana i krzycząc, jak gnębione dziecko:

— Nie bij mnie, Azya! daruj, nie bij!

On nie przebaczał prawie nigdy, pastwił się zaś nad nią nie tylko z tego powodu, że nie była Basią. Oto była niegdyś narzeczoną Nowowiejskiego. Azya miał duszę nieulęknioną — jednak tak straszne były między nim a Nowowiejskim rachunki, że na myśl o tym olbrzymie, z zapiekłą w sercu zemstą, ogarniał młodego Lipka pewien niepokój. Miała być wojna, mogli się spotkać i było prawdopodobnem, że się spotkają. Azya nie mógł tego dokazać, żeby o tem nie myśleć, że zaś myśli owe przychodziły mu do głowy na widok Zosi, więc mścił się na niej za to, jakby własny niepokój chciał razami puhy rozpędzić.

Nadeszła wreszcie chwila, że sułtan wydał rozkaz pochodu. Oczywiście Lipkowie, a za nimi cała ćma Tatarów dobruckich i nowogrodzkich, miała iść w przedniej straży. Było to ułożonem między sułtanem, wezyrem i kajmakanem. Lecz z początku, zwłaszcza do Bałkanów szli wszyscy razem. Pochód był wygodny, bo dla rozpoczynających się upałów, szli tylko w nocy, po sześć godzin od postoju do postoju. Beczki smolne płonęły po ich drodze, a massałdziralowie przyświecali barwnymi kagankami sułtanowi. Mrowie ludzkie płynęło nakształt fali, przez nieprzejrzane równiny, napełniało, jak szarańcza, wygłębienia dolin, pokrywało góry. Za zbrojnym ludem szły tabory, w nich haremy, za taborem nieprzeliczone stada.

Tymczasem w przedbałkańskich mokradłach złocisty i purpurowy wóz Kasseki ugrzązł tak, że dwadzieścia bawołów nie mogło go z błota wyciągnąć. „Zła to wróżba, panie i dla ciebie i dla całego wojska!“ — rzekł sułtanowi najwyższy mufty. „Zła wróżba!“ — jęli powtarzać w obozie pół-obłąkani derwisze. Więc sułtan zląkł się i postanowił wszystkie niewiasty, wraz z cudną Kasseką, wyprawić z obozu.

Rozkaz został ogłoszony wojskom. Ci z żołnierzy, którzy nie mieli gdzie wyprawić niewolnic, a z miłości nie chcieli ich na rozkosz obcym przedawać, woleli je wyścinać. Inne kupowali na tysiące bazarnicy z Karawanseraju, by potem przedawać na rynkach Stambułu i wszystkich miast poblizkiej Azyi. Trzy dni z rzędu trwał jakby wielki jarmark. Azya wystawił bez wahania na sprzedaż Zosię, którą wnet i za dobre pieniądze kupił bogaty a stary stambulski kupiec bakalij dla swego syna.

Był to człowiek dobry, bo na łzy i zaklęcia Zosi, kupił także od Halima, prawda, że za bezcen, jej matkę. Na drugi dzień powędrowały obie w stronę Stambułu, wraz z czeredą innych niewiast. W Stambule los Zosi, nie przestając być haniebnym, poprawił się. Nowy właściciel pokochał ją i po upływie kilku miesięcy do godności małżonki podniósł. Matka nie rozłączała się z nią więcej.

Wiele ludzi, między nimi wiele niewiast, po długiej nawet czasem niewoli, wracało do kraju. Był podobno ktoś, co wszelkiemi sposoby, przez Ormian, przez kupców Greków, przez sługi posłów Rzeczypospolitej, szukał i Zosi, ale bezskutecznie. Potem szukania te urwały się nagle i Zosia nie obaczyła nigdy ni rodzinnego kraju, ni twarzy drogich.

Żyła do śmierci w haremie.

KONIEC TOMU SIEDMDZIESIĄTEGO DRUGIEGO.

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.72
486128
DATE.
NAME

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET